

ZUŻYTY

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO
WYCHODZI 3 RAZY W MIESIĄCU
REDAKTOR I WYDAWCA IGNACY PŁĄZEWSKI

WARUNKI PRENUMERATY:

Wychodzi 3 razy w miesiącu
Prenumerata (z przesyłką)

	brosz.	w opraw.
Kwartalnie	zł. 6.50	zł. 9.75
Półrocznie	„ 12.50	„ 19.—
Rocznie	„ 24.—	„ 37.—

Redakcja i Administracja:

Warszawa, ul. Chmielna 61.

Konto P. K. O. 9779.

ROK WYDAWNICTWA CZWARTY — TOM 8.

OG. ZBIORU T. 107.

1412
7-21

7
1788

KAZIMIERZ LASKOWSKI

Z U Ż Y T Y

POWIEŚĆ

84581

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO
WARSZAWA

~~2265~~

Okladkę projektował art.-mal. Henryk Nowins-Czerny
Czoczono w Zakł. Graficznych
B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie



258707



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0125019

W/239/01

45-

Ze się ja też od tego rannego „wiejskiego” wstania odzwyczać nie mogę; a co prawda, to nawet na wsi nie zrywałem się tak wcześnie, jak tutaj! Ta zmiana miejsca, wpływ miejskiego powietrza tak musiały oddziaływać na organizm. Tak, tak, niechybnie — nic innego. Szkoda jednak, że sypiać nie mogę: w mojem położeniu każda chwila snu, to skarb prawdziwy, zapominam o kłopotach, nie myślę poprostu. Jak mi się czasem myśleć nie chce! jak nie chce! a tu jak na złość snują się po głowie natrętnie przeróżne kombinacje, uciec od nich nie mogę, zagłuszyć nie mam czem. Żeby chociaż spać można! ale i tego nie.

Od tygodnia jak mieszkam w Warszawie, zaledwie szary, posepny, ten miejski świt — o, bo tu stanowczo i słońce inaczej świeci! — zajrzy w okna mej izdebki, zrywam się na równe nogi, sam nie wiedząc poco. Biegnę do okna, patrzę bezmyślnie na zwilgotzony bruk uliczny, na ten proletarjat miejski, wstający o świcie i snujący się ze smutnem obliczem po ulicach, na blaszane dachy kamienic...

Brr! jakie to jednostajne, szare, ponure. A jednak i tutaj ludzie żyją i ja prawdopodobnie żyć będę musiał — przywyknę czasem, ludzie przyzwyczajają się nawet do arszeniku, tylko wzwyczać się najtrudniej. Żebym tak mieszkał w zbytku, na pierwszym piętrze, w stylowo umeblowanym pokoju, zapewne nie odczuwałbym nudów, ani bezsenności. Słońce miałoby dłuższą drogę do przebiegnięcia, i później

rzucaloby mi złotym promieniem w oczy. Zresztą od czegoż żaluje? A tutaj, na wyżynach trzeciego piętra, gdy się poranny brzask w ciasną izdebkę wtłoczy, tak gburowato oświetla wszystko, że chociaż głowę kocową kołdrą okrywam, pod zamknięte powieki mi wgląda i budzi... Jakby mówiło: wstawaj, śpiochu! do pracy! nie pora wylegiwać się, kochanku, gdy majątek djabli wzięli...

Niežnośny weredyk świetlany! nie dosyć mi o tem ludzie nakładli w uszy, jeszcze mi z nieba przykrą prawdą świecić będą w oczy! Stanowczo za ostatni grosz kupię firanki i... choćby ze dwie doniczki kwiatów. Tak zawsze lubiłem zielen... kwiaty... a tutaj ani nawet liścia nie ujrzy! Czasem — ot, nie dawniej jak wczoraj, gdy m spojrział z okna na sinawe, jednostajne dachy kamienic, na tę istną symfonję płaszczyzn, ogarnęła mię dziwna nostalgja za strzechami wiejskimi, przerosłemi mchu kępkami. Jakaż to tam rozmaitość choćby w układzie słomy! Każde źdźbło mówi do cię, czytasz na poczerniałym kłosie lata jego istnienia, przetrwane słoty i burze — metrykę chaty masz nieomal wypisaną na dachu. A tu nic! zgola nic! blaszane równouprawienie.

Ale poco ja to wszystko wypisuję? Stało się — najżałośliwsze skargi żadnej zmiany nie sprowadzą, a rozstroją mię jeszcze bardziej.

Żeby mi ktoś był przed półrokiem powiedział, że ja, chłopak majątny, wychuchany, wypieszczony, „oczko w głowie” rodziców, przypuszczalny spadkobierca pańskiej fortuny, będę poszukiwał pracy na miejskim bruku... byłbym mu parsknął w żywe oczy! Bo i któżby mógł przypuścić — że nas jeden niefortunny interes z siodła wysadzi? Nie mam żalu do ojca, lecz pojąć nie mogę, jakim sposobem rozsądno człowieka można było w tak ryzykowną spekulację wplątać? Dobrodusznym był do zbytku i zapłacił

swą łatwowierność majątkiem i życiem... Przed śmiercią sądził jeszcze, że się dla mnie jakiś okrucz z pańskiej fortuny zostanie, z tem przekonaniem nawet umarł, a tymczasem!...

Przecież nie mogłem na to pozwolić, aby wierzyciele nasze nazwisko szarpali. Zaden CzarSKI bankrutem nie był! Popłaciłem wszystko, słuszne i niesłuszne pretensje pozaspakajałem — pozostało mi w spadku „dobre imię”, co się w bilansie kupieckim zerem nazywa. Zresztą choćbym był nawet kilka tysięcy rubli uratował... wielka rzecz! Cóż bym ja z tem począł? ja, co na swą osobę nieraz dwa razy tyle rocznie wydawałem. Oddając resztki, nie zrobiłem żadnego poświęcenia. Wszystko mi było jedno, tak będę żył z tą garstką grosza, jak bez niej — myślałem. Teraz, prawdę mówiąc, po głębszej rozwadze, żałuję, że za nadto może byłem „correct” w postępowaniu z wierzycielami. Trzeba było urwać coś tym krukom, zdałoby się obecnie, choćby na kupno lepszych mebelków... Siostra praktyczniejsza; ona ze swej części więcej uratowała. Nawet się po niej nie spodziewałem takiej energii. I mnie radziła „po swojemu”, ale dobrze; gdybym był poszedł za jej radą, moja eskapada do Warszawy nie byłaby potrzebna... Pocziwa Mania.

Swatała mię poprostu z bogatą swą koleżanką, panną Izą Wykolską, córką najbliższego naszego sąsiada. Pamiętam, jak dziś — było to już po wszystkich tych nieszczęśliwych perypetjach — gdy pojechałem z Manią do Wykolskich. Przyjeli nas serdecznie, serdeczniej może, niż zwykle, okazując, że mię sobie życzą. Cóż, kiedy panna Iza ma tak wbitnie zdrową twarzyczkę — żem się aż tego zbytku zdrowia przelekl. Przytem jechałem tam jedynie dla zadośćuczynienia życzeniu Mani, ale o żenieniu się mowy być nie mogło. I Mania wiedziała o tem,

próbowała jednak, czy po stracie majątku nie przyszło upamiętanie i czy jej się nie uda losu brata ustalić...

Trzeszczała mi siostrzyczka nad głową przez całą drogę; musiałem wysłuchać całego ekonomiczno-mażeńskiego traktatu, ale gdyśmy pod pałacyk Wykolskich zajechali, gdy uścisnąłem krwistą rączkę panny Izy, przepadła uległość braterska! Przed oczami stanęła, jak żywa, śliczna Wicunia Ostojewiczówna i najlepsze zamiary djabli wzięli. Mimo usilnych tentacyj Wykolskich, byłem zimny, jak lód. Mania mieniła się na twarzy, dając mi różnemi znakami do poznania, że jest ze mnie niezadowolona... a ja nic...

Po tych niefortunnych konkurach, przez trzy dni nie przemówiła do mnie słowa. Niewiele robiłem sobie z tego, myśląc, że się udobrucha, lecz gdy zrobiła mi straszliwą scenę, gdy się z wizytą do Ostojewiczów wybierałem, — wiedząc, co mnie tam ciągnie — i ja postawiłem sprawę na ostrzu miecza, nagadałem poczciwej, lecz nazbyt praktycznej siostrzyczce i szwagrowi, a podziękowawszy im za dotychczasową gościnność, machnąłem do Warszawy szukać posady.

Postąpiłem trochę za gorąco, żal mi teraz, że rozstałem się ze szwagrem i Manią w gniewie; przecież ona z najlepszego serca chciała skojarzyć ów marjaż z Izą... Byłbym teraz obywatelem, co się zowie panem na kilkudziesięciu włókach pszennej ziemi! ale wzięła się do tego niedość zręcznie, a te wycieczki przeciw Ostojewiczom wzburzyły mię do reszty. Jakże te kobiety przewrotne! najpoczciwsza, dla dopięcia celu, na poczekaniu najpotworniej skłamię — bez zajknięcia. I Mania, wiedząc, że się w Wicuni kocham, bez namysłu skłamała, iż stary Ostojewicz uprzedził ją, że Wicunia nakoniec zdeklarowała się wyjść za dalekiego kuzyna, Zenona, mającego doskonałą posadę w banku.

— Widzisz, — mówiła, — tego jej zapomnieć nie mogę — bogatego chłopaka ciągnęła panna ładnem oczkiem, ale hołysza nie chce, poszukała sobie innego...

Kłamstwo wierutne! przyjęto mnie, jak zwykle, ciepło, serdecznie, a gdym się Ostojewicza wprost o Zenona zapytał i to, co Mania mówiła, złagodziwszy nieco, powtórzył, przeżegnał się krzyżem świętym starzec i, chwyciwszy mię za głowę, ucałował, powtarzając:

— Miej tylko, panie Antoni, kawałek dachu nad głową i powszedniego kęs chleba, czego ci z serca życzę, a Wicia twoja...

Zbeczałem się, jak dzieciak, i nuż ze starym snuć plany przyszłości zacząłem. Pochwalił mój zamiar wyjazdu do Warszawy, doradzał to i owo, nawet proponował pożyczkę na początek, nim coś znajdę, ale nie przyjąłem. Dość mi było poczciwego serca...

Tak, dość było... lecz teraz na zimno biorąc, z twardym losem borykać się, mając tylko dziesięć palców do pomocy, to nie tak łatwa, ani przyjemna rzecz.

Niedość chcieć — trzeba umieć zapracować, a ja, przyznaję, że ani wielkiej ochoty nie czuję, ani wiem poprostu, jak się wziąć do tego...

Głupia sytuacja!

Tak, tak, istotnie głupia. Nadaremnie wmawiam w siebie, że się nie kłopotę. Ta troska i wewnętrzny niepokój odbierają mi sen, a tych najgęstsza firanka nie zasłoni. W łaściwie, to ja się nie troszczę o to, co będę robił — gryzie mię już sama myśl musu pracy. Co będę robił? mniejsza o to! coś się znaleźć musi. Mam listy polecające, znam języki; na modłę innych sądząc — nieinteligentny, ani tem bardziej głupi nie jestem, nie uczuwam żadnej obawy, abym posady nie znalazł, tylko... ten mus, samo już poszukiwanie wstręt we mnie budzi, i zabrać się do tego nie mogę.

Paradni są ci moralizatorowie, głoszący światu słowem i drukiem: praca — to potrzeba ducha ludzkiego! to rozkosz!... Faryzeuszostwo! gra słów! nic więcej!

Co do mnie, od tej miłej potrzeby wołałbym się wyłamać, a rozkoszy nie przewiduję. Zdaje mi się, że wszyscy tak samo sądzą, tylko boją się z tem wydać. Taki *lapsus* moralności nie uchodzi; ogół delectuje się panegirycznymi frazesami o pracy, ale w nie nie wierzy — stanowczo nie wierzy. Człowiek zawsze wierzy w to, co woli — mnie przynajmniej nie zdarzyło się spotkać nikogo, coby nie wołał niepracować. Od lazaronu włoskiego do lorda angielskiego wszyscy wyłamują się od tej konieczności. Udajemy zadowolenie podczas samego aktu pracy — lecz z bijącym gorączkowo sercem oczekujemy jej końca. Pragniemy odpoczynku — a to, co wymaga wychnienia, co wysiła nuzę, rozkoszen być nie może. I pies na deptaku kręci ogonem, nie mogąc zejść z ruchomych deszczek, ale wątpię, czy „kręcenie ogonem” może w tym wypadku być poczytane zwierzęciu za oznakę zadowolenia. Jest to może kwietyzm woli, rezygnacja psia, lecz ukontentowanie nigdy! I ludzie toż samo, poddają się, maskują często kroc tę niewolę uśmiechem, rezygnują z oporu, ale lubić pracy... nie lubią! Mogą sobie o tem „zamiłowaniu” wygłaszać bałwochwalcze dytyramby — ale dokumentu życiowego niema, nie.

Według teorii tych panów, to chyba jednym ze szczęśliwszych ludzi na ziemi winien być każdy konduktor tramwajów, mogący pracować kilkanaście godzin z rzędu, a najzarliwszym zwolennikiem pracy marrotrawca. Kto odkłada na jutro część dzisiejszych dochodów, kto oszczędza, czyni to jedynie dla zdobycia środków, umożliwiających odpoczynek. Tak się dzieje przynajmniej w większości wypadków —

chęć porzucenia pracy szczepi cnotę oszczędności. To nie jest bynajmniej sofizmat. Nawet w pierwiastkowych dziejach ludzkości można znaleźć tysiące na to dowodów.

Poco ja jednak rozpisuję się o tem? siebie przekonywać nie potrzebuję, innych nie chcę; bo i nacoby się to zdało?

Ciekawym mimo to — gdyby tak Szyllerowski „Rozdział darów” ucieleśnić można, gdyby Stwórca, zwoławszy rzesze ludzkie, zaczął podział, ileby się tu rąk po „pracę” wyciągnęło? Ręczę za to, że rozdrapanoby wszystko — a od tego gościńca każdyby się wymówił... Co do mnie, schowałbym obie ręce w kieszeń...

Zresztą, mniejsza o to! traktatu filozoficznego pisać nie myślę. Miljony istnień zgodziło się z tym przykrym przywilejem, żyło, wywalczyło sobie znośną egzystencję, ja porządku społecznego nie przekształca, smutnej konieczności poddać się muszę, przywyknę. Zczasem nawyk o władnie naturą, przyrodzony bunt słumi. Przecież turkot do potęgujących sen warunków nie należy! młynarz budzi się w ciszy, a chrapie w najlepsze, gdy żarna trzeszczą...

Gdyby mię ktoś zapytał o obecne *curriculum vitae*, musiałbym chyba odpowiedzieć: „Mieszkam na trzecim piętrze, szukam pracy i piszę pamiętniki z... nudów”. I to nawet nie byłoby w zupełności prawdą, bo właściwie pracy *jeszcze* nie szukam.

Nie mogę się na stanowczy krok zdecydować, co dnia mówiąc sobie: jutro. Tak upływa dzień za dniem. Raz przecież skończyć z tem trzeba; wyczekiwanie nie zmieni mego położenia. A jednak coś mię powstrzymuje. Prostu nie mam ochoty wyjść na ulicę, zdaje mi się, że przechodnie patrzą na mnie,

jak na raroga, że czytają mi na czole: oto człowiek, co na miejskim bruku poszukuje pracy...

Głupstwo! a jednak tak mi się zdaje. Nawet gdy biegnę do trzeciorzędnej restauracji na obiad — skradam się, niby złodziej pod cudze drzwi. A jak tam obrzydliwie jeść dają! żeby mój wiejski parzygnat podał mi był kiedy takie paskudztwo, wypędziłbym go na cztery wiatry! Skoro tylko obejmę jaką posiadłość, stanowczo zmienię kuchnię. Podobno wydają w Warszawie prywatne obiady na „prawdziwym maśle“; czytałem o tem w ogłoszeniach „Kurjerka“; muszę sobie coś podobnego wyszukać. Tymczasem trzymaj się dalej...

Jutro stanowczo pojedę do Werthausera. Od niego rozpocznę. List polecający od hr. Z. ułatwi mi wstęp. Ma to być największy w Warszawie dom bankierski, obracający milionami. Żeby się tak udało tam zawiesić.

Ha! spróbować trzeba — korona mi z głowy nie spadnie, pójdę jutro.

Bądź-co-bądź przykre jest takie pukanie do drzwi cudzych z prośbą o pracę. Boć to zawsze prośba. Praca nie jest towarem wymiennym. To się tylko tak mówi — ale w rzeczywistości nie jest. Nabywającemu pracę zawsze się wydaje, iż jest dobroczyńcą, że robi łaskę, biorąc towar, który wprawdzie jest mu potrzebny, ale go w każdej porze i w żądanej ilości dostać można. Nie jest to wymiana jednakowych wartości, ale rodzaj kiermaszu „na dobroczynność“, na którym nabywa się przedmiot nie dla przedmiotu, choć wartość jego przewyższa czasem zaofiarowaną cenę, lecz dlatego, że to „na dobroczynność“. Tu podobka jest prawdziwa — przy kupnie pracy udana, lecz pozory jednakowe.

A to się rozpisałem, już dziesiąta, jakoś mi się oczy do snu kleją. Posiedzę jeszcze trochę, z godzin-

kę — będę spał lepiej. Dziwię się, że mi jeszcze ta pisanina się nie nudzi. Słusznie powiedział Schopenhauer:

„Człowiek jest jedyną istotą, dziwiącą się... Zwierzę żyje w spokoju, niczemu się nie dziwić“.

Ja widocznie mam wyjątkową skłonność do rozmyślań, a przynajmniej nabyłem jej tu w Warszawie; im więcej wgłębiam się w obecne położenie, tem więcej się dziwię, a przecież to, co się stało, stało się z własnej mej woli, z woli mego serca. Rozum mi radził co innego, serce co innego. Tam, gdzie wola rozkazuje, inteligencja tylko słucha. Sprawdziłem to na sobie! Mogłem przecie żenić się z Wykolską, siedzieć na wsi, jak u Pana Boga za piecem, gospodarować, jeździć po jarmarkach, polować, grać w winta... O wiele przyjemniejszy pędziłbym żywot, niż teraz z myślą o jutrzejszej wizycie u pana Werthausera!

Djabli nadali serce! i całe rozumowanie na psa poszło! Zaiste, miał słuszność któryś uczony (teraz przypominają mi się jakoś cytaty filozoficzne), mówiąc: „Człowiek jest w sercu, nie w głowie“. Święta prawda. Serce bierze zawsze przewagę nad rozumem. Mózg nuży się i odpoczywa we śnie, jedynie tętno serca nie ustaje — chyba z życiem.

Żeby tak moje było zasnęło podczas konkurów do panny Izy, byłbym z pewnością poszedł za radami Mani i rozsądku, ale cóż, kiedy zasnąć nie mogło.

Nie żałuję tego bynajmniej — tylko tak sobie rozmyślam. Postanowiłem i dopnę swego; mam żelazny upór w charakterze. Bogiem a prawdą, to nawet jeszcze do tej pory nie zdaję sobie dokładnej sprawy, czy ja istotnie Wicunię tak namiętnie kocham. Żem dla tej miłości wszystko gotów przenieść, czy to jest tylko uporna chęć postawienia na swoim. Gdybym tak mógł przeprowadzić bezstronnie diagnozę tego uczucia, rezultat byłby ciekawy, ale nie

potrafię, więc wybieram świadomie lepszą mniej samolubną część dla siebie: „kocham ją” mówię sobie — i to mi w zupełności za bodziec starczy.

Czy jednakże twarda walka o byt nie znieczuli mnie czasem? Wątpię, a nawet stanowczo nie wierzę, muszę nie wierzyć w możliwość *ostygnięcia*, bo inaczej unicestwiłbym w sobie wszelką energję — a conajmniej nie poszedłbym jutro do Werthausera.

Ale ja jutro się tam wybiorę. Co będzie, to będzie, nie przewiduję odmowy.

Ładne mam sąsiedztwo — niema co mówić. Całe piętro zajmują rzemieślnicy. Sąsiad szewc kuł nocą młotkiem w podzelówkę, a sąsiadka szwaczka trajkotała do świtu na maszynie. Obudziłem się z bólem głowy.

Wstałem zły i ocięzwały. Zwymyślałem na wstępie za jakąś bagatelę stróżkę przy nastawianiu herbaty i ze dwie godziny przeleżałem w łóżku, rozmyślając: iść, czy nie iść dzisiaj do Werthausera? Przemogłem wkońcu apatję i ubierać się zacząłem — rozumie się w najwytworniejszy garnitur z „lepszych czasów”... gdy po dyskretnem zapukaniu wszedł... pan rządcą domu.

Zapytałem o powód odwiedzin.

Po kilku niskich ukłonach i przeprosinach za „najęcie”, raczył wkońcu wyjaśnić, że sprowadza go do mnie konieczność uzupełnienia meldunku.

— W karcie meldunkowej jest rubryczka, — mówił, — którą wypełnić jesteśmy obowiązani. Dotyczy ona rodzaju zajęcia i środków utrzymania lokatora. Otóż właśnie chciałem Pana Dobrodzieja zapytać?...

Nie wiedziałem istotnie, co mu na to odpowiedzieć; szczęście, że sam przyszedł mi z pomocą, podsuwając: z *własnych funduszów*.

— Z *własnych funduszów* będzie najlepiej, to do niczego nie obowiązuje — doradzał, ekliwo uśmie-

chając się. — Tak będzie najwygodniej dla Szanownego Pana. Więc napiszemy: „z własnych funduszów — obywatel ziemski”.

Kiwnąłem milcząco głową na znak zgody, chcąc się go jak najprędzej pozbyć, uśmiechnąłem się nawet, lecz w głębi byłem tak podniecony, że z gustem wyrzuciłbym mego interpelanta za drzwi.

Co za ironja? *Obywatel ziemski i z własnych funduszów*.

Ładny obywatel! ładne fundusze! kilka rubli za ledwie, bo tyle mi po zapłaceniu komornego i kupieniu biletów obiadowych pozostało.

Nadaremnie tłumaczyłem sobie, że propozycja jego była bez żadnej *arrière-pensée* powiedziana. Wzburzył mnie do reszty ten interview z rządcą domu, zirytowany wyszedłem na miasto z zamiarem udania się do golarni. I znowu traf szczególny! jakby się wszystko na mnie sprzyściło — spotykam się, uszedłszy parę zaledwie kroków, z kim? z Zenonem!

Szedł z teką pod pachą, zamyślony. Sądziłem, że mnie nie dojrzał, a może i nie poznał i skrzyłem w bok, w chęci uniknięcia bądź-co-bądź niemiłego dla mnie spotkania. Choć wiedziałem i przekonany byłem, że stosunek Zenona z Wicunią — był najzwyczajszym wymysłem mojej siostry — jednakże, coś tam na dnie pozostało. Nie lubiłem go. Chciałem umknąć, nie udało się. Dostrzegł mnie i zaczął psykać i wołać na cały głos:

— Panie Antoni! panie Czarskil!

Musiałem przystanąć, podszedł ku mnie z otwartymi rękami i nuż oburącz ścisnąć.

Popatrzyłem mu w twarz. Dziwnie sympatycznym wydał mi się w tej chwili. Pierzchyły uprzedzenia i szczerze, serdecznie ućcisnąłem mu rękę. Ten człowiek przypominał mi rodzinne strony, to starczyło, żeby za uścisk uściskiem płacić. Ogarnęło mna

jakies wzruszenie. Szczególna rzecz, że każde stworzenie gotowe jest poświęcić coś za uścisk. Nawet dzieci okazują dziwny głód uścisków; podobno noworodki, karmione mamkami sztucznymi, wyciągają drobne rączką przed siebie, składając je do uścisku piersi, której przecież nigdy nie dotykały.

Ja tak łaknąłem uścisku przyjaznej dłoni!... Zapomniałem o wszystkim — widziałem tylko twarz nieobcą.

Zeñon począł mię wypytywać o wszystko. Opowiedziałem przejście rodzinne, własne dzieje i zamiary. Słuchał z uwagą, z widocznym wyrazem życzliwości w oku.

— A to dobrze, panie Antoni, żeś nie opuścił rąk i zjawił się u nas. Mam żal do pana, żeś się zaraz do mnie nie zgłosił. Nie godziło się o starym znajomym, życzliwym znajomym — dodał — zapominać. Masz pan listy polecające do Werthausera? to bardzo dobrze, duże biuro, to zawsze się tam miejsce znajdzie; tem bardziej dla pana...

— Jakto dla mnie? — spytałem.

— Bo masz pan protekcję i starszylacheckie nazwisko, a to u tych panów wiele znaczy. Wierzaj mi. Wzruszyłem ramionami.

— A przytem człowiek, tak obyty w świecie, jak pan, znający języki, inteligentny — ciągnął dalej — jest zawsze pożądaną siłą w każdym interesie, a cóż dopiero u Werthausera? To *gruba Fisch* panie kochany — mówił z wyrazistym gestem — potęga finansowa, semita, ale bardzo przyzwoity, a jaki bystry ho! ho! Znam go dobrze, bo ma w banku na otwartym kredycie znaczne sumy, więc często gęsto miewam z nim stosunki.

— Jakiż to człowiek? — spytałem.

— Bardzo przyzwoity, płaci dobrze, ale wymagający jest niezmiernie. Znam kilku pracowników

z jego biura — nie narzekają... Zresztą pan wejdiesz tam w innych warunkach, a Werthausera, człowiek giętki, znający świat i ludzi, potrafi się odpowiednio zastosować, rozumie się, o ile tego jego interes wymaga. Nie uprzedzaj się pan tylko zgóry, prawie pewien jestem, że pana przyjmie z otwartymi rękoma i dobrą posadę obmyśli! Ja ich znam — oni się wszyscy lubią otaczać klejnotami... rodowymi.

Nie mogłem temu przeczyć. Szliśmy czas jakiś z sobą pod rękę, rozmawiając jeszcze o tem i owem, lecz o Ostojewiczów żaden z nas nawet jednym słowem nie potrącił. Czy on to uczynił z towarzyskiej delikatności, czy chciał żebym ja pierwszy zaczął na ten temat rozmowę... nie wiem — lecz byłem mu wdzięczny za to milczenie, i gdy podprowadziwszy go pod bank podawałem mu rękę na pożegnanie, prawie, że mi przykro było, iż się z nim rozstaje. Prosił, żeby go odwiedzić.

— Mieszkam sam — mówił — po kawalersku; proszę pana, jako starego znajomego, a obecnie, jak się spodziewam — i kolegę po fachu, zaglądać często do mnie. We dwóch zawsze nam raźniej będzie, a przynajmniej nagawędzimy się o wspólnych znajomych...

Przyrzekłem sobie najsolenniejszemu skorzystać z zaproszenia w jak najkrótszym czasie. Ma rację, myślałem — we dwóch raźniej nam będzie...

Punktualnie o godzinie 10-ej stanąłem przed bramą pałacu, boć to pałacyk chociaż w ciężkim stylu, a raczej bez stylu — ta posiadłość pana Werthausera. Zrobiło mi się jakoś ckliwo, gdy dotknąłem ręką elektrycznego dzwonka. Wygalonowany, opasy szwajcar, wyjrząwszy pierwiej przez okienko umieszczone w ciężkich podwojach dla skontrolowania kto dzwoni, po chwili z widocznym pośpiechem uchylił drzwi przede mną. Musiałem na nim dobre zrobić



wrażenie, bo tytułował mnie „jasnie panem” i kłaniał się w pół, objaśniając, że jasnie pani przyjmuje, lecz pana bankiera niema w domu, wyjechał do Wiednia przed paru dniami i dopiero dziś wieczorem jest spodziewany...

Nie było przeto co robić. Wręczywszy uprzememu sługusowi garstkę drobnych (miałbym zato dobre dwa obiady) wyszedłem rad prawie, że się to *wszystko* jeszcze odkłada. Na wychodnym rzuciłem okiem po zdobnej w złoczone kwiatony sieni. Jakież to wszystko pyszne! wspaniałe! poczawszy od terrakotowej posadzki, aż do umieszczonego obok drzwi wiodących do apartamentów złoczonego napisu:

M. Werthauser w interesach osobistych przyjmuje od godziny 4-ej do 6-ej po południu.

Więc jutro o czwartej!

.....

Alea jacta est! Dziś o kwadrans na piątą zjawiłem się znowu w pałacu Werthausera. Szwajcar przyjął mnie niskim ukłonem, jako już dobrego znajomego i wskazał drogę do kancelarji pana. Wygolony według angielskiej mody fagas odebrał bilet wizytowy, a ja przysiadłszy na kozetce oczekiwałem, rychło-li niby *Jupiter tonans* ukaże się *sam* pan Werthauser. Co to jest? nigdy w życiu tego człowieka nie widziałem, a uczuwałem już jakąś niechęć. Rozejrzałem się po gabinecie umeblowanym dość skromnie jak na takiego bogacza. Zwyczajnie krzesła dębowe, wybite zielonym safranem, na ścianach podejrzanaj czystości obicie, kilka kart geograficznych, map kolejowych, biurko *antique* pełne papierów, notatek, złocony ciężki kalamarz, kilka drobiazgów, imitujących japońszczyznę; nic więcej.

Po chwili wrócił lokaj, objaśniając, „że pan zaraz służyć będzie”. Istotnie niebawem wszedł Wer-

thauser. Niski, chuderlawy, z białymi jak śnieg bokobrocami, pocobniejszym zdał mi się na pierwszy rzut oka do jakiegos archiwisty, niż do bankiera. Dopiero, gdy rzuciłem okiem na wyciągniętą ku mnie rękę, pulchną, galaretowatą w dotknięciu, upstrzoną hojnie piegami — nie miałem już żadnej wątpliwości, że stojąca przede mną figura to *sam* pan bankier. Takie ręce! to anatomiczna właściwość zawodu i rasy zarazem... Przyjął mnie nader uprzedzająco, a gdy wręczyłem mu list hr. Z... zaledwie rzucił okiem zawołał:

— Aha! hrabia Zdziś — przypominam sobie. Przed paru dniami spotkałem go na raucie u księżnej M. (tu wymienił całe nazwisko), wspominał mi o panu... będę chciał, prawdziwie będę chciał... Niechże się pan pofatyguje jutro do kantoru. A wie pan adres?

Skinałem głową...

— Między godziną 11-tą a 12-tą zawsze jestem... Będę pana oczekiwał. Ale... ale... — dodał, gdy zabierałem się ku wyjściu — jest u mnie zwyczaj, że każdy pragnący pracować w biurze pisze rodzaj podania. Od formy tej nigdy nie odstępuję, ponieważ w razie, gdyby pan u mnie objął obowiązek, umieściłbym go przypuszczalnie w wydziale korespondencyjnym, przeto życzę sobie, aby pan napisał rzeczoną ofertę w językach, jakimi władasz.

Na tem skończyło się posłuchanie. Skłoniłem się i wyszedłem. Nabrałem pewnej otuchy. Nie taki djabeł straszny, jak go malują! jakoś to będzie...

.....

Cóż to dopiero innych spotykać musi, kiedy ja, mimo listów polecających, przez takie muszę przechodzić opaty, i dotychczas żadnej rezolucji nie otrzymałem. Mam ochotę pluć na wszystko! Dwa dni z rzędu chodziłem do kantoru Werthausera i sta-

nowczej odpowiedzi uzyskać nie mogę. Zwleka jakby umyślnie. Zaraz nazajutrz po przedstawieniu mi się w domu, stosownie do polecenia, stawiłem się z wykaligrafowanymi ofertami w oznaczonej godzinie w biurze. Co tam ludzi pracuje! a wszyscy zgieci w pałak, milczący, zatopieni w zajęciu. Wyglądają mi na zapracowanych. Przeszedłem pod natryskiem zukosa rzuconych spojrzeń przez olbrzymią salę zastawioną biurkami i stołami, przez kilka pomniejszych pokoi, nim się dostałem do pracowni samego szefa. Posłałem przez woźnego oferty. Kazano mi poczekać. Po jakim kwadransie czasu ten sam woźny zaintonował: „pan prosi”. Wszedłem. Skinął mi zaledwie głową. obojętnie jakby mnie pierwszy raz w życiu widział.

— Czy to pan pisałeś? — spytał sucho.

— Rozumie się, że ja — odpowiedziałem nieco zmieszany, bo mnie zarówno pytanie, jak i samo obejście zdziwiły.

— Nie zrozumiałeś mię pan. Że to własnoręczne pismo pańskie, wierzę, ale czyś pan sam redagował? — dodał patrzac mi bystro w oczy.

Przygryzłem wargi, bo mie to powątpiewanie ubodło i skinałem potakujaco głową.

Rzucił jeszcze parę razy okiem na przyniesione przeze mnie papiery, wydał wargi.

— No to zobaczymy... Przyjdź pan jutro o tej samej porze, przekonamy się...

Zadzwonił. Wszedł woźny.

— Zawołasz mi pana Fürchtmaęła, tylko zaraz — zakomenderował. Był to zarazem znak dla mnie, że audjencję skończono. Ukłoniłem się i wszedłem. Odetchnąłem z głębi piersi za prosiem. Niechże go djabli wezma! jak on tu ludźmi pomiata, a w domu słodziutki jak ulepek. Miałem szczere postanowienie nie powracania tu więcej, lecz po na-

myśle stawiłem się dnia następnego. Co będzie, to będzie — myślałem. Ioz samo przyjęcie, a może jeszcze zimniejsze niz wczoraj. Nie zamienił ze mną żadnego poważnego słowa, lecz wyjąwszy kilka listów, poleciał zredagować odosne odpowiedzi.

— wolne biurko i utensylja pismienne znajdziesz pan w sąsiednim pokoju. Po skończeniu proszę mi odnieść — powiedział rozkazującym tonem.

Nikt jeszcze tak do mnie nie przemawiał... musiałem się zarumienić z gniewu, bo mi się nagle gorąco zrobiło. Miało brakowało, a byłbym mu papierami w oczy rzucił, ale właśnie wszedł woźny, meldując jakiegos interesanta. Uchłonąłem i, udawszy się na wskazane miejsce, zabrałem się do roboty. Podniecony — postanowiłem temu lichwiarzowi imponować. Wziąłem „na ambit” — jak mawiają chłopcy w moich stronach.

Trzy godziny przesiedziałem kamieniem, kreśliłem, stylizowałem, poprawiałem, aż nakoniec wykoncypowałem i przepisałem według wskazanej formy pięć listów. Zgrzałem się nad tą robotą jak mysz polna — ale byłem zadowolony. Werthauser prawie był na wychodnem, gdy mu to *extemporale* wręczyłem. Odczytał jeden z listów, resztę nie czytając włożył pod przycisk.

— Za kilka dni otrzymasz pan moją odpowiedź! Do widzenia! — wycedził przez zęby.

Była to odprawa na dzisiaj. Wybiegłem z gabinetu wściekty. Za dni kilka!... Co ten stary grak myśli sobie! Przychodzę, ogląda mię na wszystkie boki, jak konia na jarmarku, egzaminuje, wydaje mi rozkazy, jakbym już u niego zarobiony kawałek chleba trawił, a o posadzie ani dudu! Za dni kilka... taka bestja ani sobie pomysli, czy ja będę miał za co te kilka dni przeżyć!

Prawie pędem biegłem przez biuro do drzwi

wyjściowych. W uszach brzmiały mi ciągle ostatnie wyrazy bankiera: „za dni kilka... za dni kilka”... — czułem na sobie badawcze spojrzenie niedoszłych, czy przyszłych kolegów. Scigali mię prosto wzrokiem, domyslając się może, że to nowy kandydat do ich miski... Najuporczywiej patrzył za mną kasjer.

Ciekawy *hon.o!* najwidoczniej chciał z lizjognomji wyczytać: co mię spotkało! bo przywarł prawie wzrokiem do mej osoby. Odpląciłem mu pięknem za nadobne i spojrziałem oko w oko.

Porzucił obserwację i wziął się do wyplaty weksli, czy przekazów, stojącym przed kratkami kasy interesantom. Przyjrzałem mu się uważnie. Przerzucał biegle palcami, licząc półgłosem setki banknotów, a miał przy tej czynności minę łakomej nianki karmiącej pańskie dziecko łakociami, a nie mogącej ich skosztować...

W domu zastałem list od szwagra. Odsyłał 200 rb. osiągnięte ze sprzedaży mej wierzchówki; w dopisku siostra donosiła, że „w okolicy wszyscy zdrowi i załączają dla mnie ukłony”.

Kogo ona miała na myśli — Wykolskich czy Ostojewiczów?

.....

Tydzień już mija, a Werthauser nie raczył dotąd odpowiedzieć.

Nie wiem co o tem myśleć. Mam jednak pieniądze, mogę przeto poczekać; zresztą Zenon, u którego byłem umyślnie, jest przekonany, że Werthauser niechybnie przyjmie mię od „pierwszego”.

— Ja go znam — mówi — skoro pana wziął na egzamin, bezwzględnie coś dla pana obmyśli. Nie pilno mu może, bo im zwykle nie pilno w takich razach. O dobre posady nie tak łatwo, wie dobrze, że pana tak prędko nikt nie zaangażuje, więc umysł-

nie zwleka, byś się pan później czuł więcej dłań zobowiązany. To zwykła taktyka.

Może Zenon ma rację. Niestety byłem doń uprzedzonym, jest mi szczerze życzliwym. Dzisiaj odwiedził mię w mieszkaniu bardzo wczesnie. Myślał, że mię po południu trudno będzie zastać — a ja przecie nigdzie nie wychodzę. Siedzę, leżę w łóżku, czytam. Znużył mię „Disciple” Bourgeta, przysiadłem przy stoliku i rozpocząłem czytać, nie wiem już po raz który „Bez dogmatu” Sienkiewicza. Żaden dotąd typ w wszechświatowej belletrystyce nie zajął mię tak silnie jak Płoszowski. Mówią, że nieprawdziwy. Ljabła tam! każdy z nas ma kawałek Płoszowskiego w sobie — jeśli nie w mózgu to w sercu...

A jaki to śliczny ten rymowany czterowiecz.

Dziwię się tylko, że kwiaty
Pod twemi stopami nie rosna!
Ty złoty mój ptaku skrzydlaty,
Ty rajul ty majul ty wiosno!

Skusiło mię coś sparafrazować tę cudną zwrotkę. Wyjąłem gabinetową fotografię Wicuni z albumu i podpisałem:

A ja się dziwię, że kwiaty
Śmia wobec ciebie zakwitać!
W łęczowe stroić się szaty,
Rosę w kielichy swe chwycić!
Dziwię się rosie niebieskiej,
Że perlic kwiatów śmie wnętrze,
Gdy cudne żrenic tych łezki
Są stokroć czystsze i świętsze!

Na tej wierszokleckiej robocie złapał mię wchodzący Zenon. Podskoczyłem ku niemu z nieudaną radością. Dostrzegł fotografię, której nie zdołałem usunąć.

— Pozwolisz pan? — zapytał, i nim zdążyłem zaprotestować, wziął już lolograję wraz z kopi-
skiem w rękę. Patrzał chwilę z niejakiem wzrusze-
niem, przeczytał wierszyk, uśmiechnął się...

— Wicunia Ostojewiczówna — rzekł zcicha. —
Wybacz, panie Antoni, byłem może niedyskretny? —
dokończył pytająco.

— Bynajmniej! — odpowiedziałem dla konwe-
nansu, gdyż w istocie porażnia mię ta ciekawość.
Podsunałem mu krzeselko — przysiadł. Moment mil-
czeliśmy otycawaj nieco zakłopotani.

— To moja kuzynka. Czy pan się w niej istot-
nie kochasz? — rozpoczął po malej przerwie.

— A pan? — orzekłem w miejsce odpowiedzi.
Spojrzał na mnie badawczo i zamyslił się...

— Ja?... Lęczę wobec pana szczerem. Wicunia
Ostojewiczówna, to przecież moja dość bliska ku-
zynka, jej ojciec z moją matką stryjeczno-stryjecz-
ni. Oprócz węzłów pokrewieństwa i zażytej znajo-
mości, łączył nas poniekąd i interes materialny. Po-
sag mej matki — kilkanaście tysięcy rubli, jest do
tej pory ulokowany na Ostojni. Po śmierci ojca, ja
z ołowiążku synowskiego musiałem regulować in-
teresa matki. Kto podsunał pierwszy myśl małżeń-
stwa z Wicunią, na pewno nie wiem; prawdopodobnie
projekt wyszedł od matki mojej.

Mnie pocobał się bardzo i rozpocząłem stosow-
ne kroki. Stanowisko moje materialne, sperandy na
przyszłość wobec zawikłanych interesów Ostojni...
od lat kilku bardzo nieregularnie odbieraliśmy pro-
cent — oddał nawiasowo — wszystko to upoważniło
mię do przypuszczeń, że trudności nie napotkam.
Z Wicią od dziecka byliśmy bardzo dobrze. Zdawa-
ło mi się, że mi sprzyja. Co otwartych wyznań nie
przyszło, ale stosunek był tak jasny, że... Oczekiwa-
łem tylko na awans. Tak rzeczy stały do chwili pierw-

szej pańskiej bytności w Ostojni. Ma się rozumieć,
że rywalizacja z człowiekiem mającym, dla takie-
go jak ja gyzypiorka nie była możliwą. Dostrzegłem
to na szczęście dość wcześniej. Wicia nie zmieniła
się w postępowaniu, lecz Ostojewicz dał mi to wy-
raźnie do zrozumienia.

Więc usunąłem się z drogi... — mówił z nieja-
kiem odcieniem goryczy w głosie.

Urwał, a ja nie wiedziałem, jak rozpocząć na
drażliwy temat rozmowę w dalszym ciągu prowa-
dzić. Żal mi się zrobiło Zenona. Milczałem, czeka-
jąc, aż sam on urwany wątek nawiąże.

— Tak! tak! panie Antoni — zaczął znowu, sa-
dząc się na ton żartobliwy — wlażesz mi w drogę
i przyznaję otwarcie, miałem żal do pana. Wicia by-
ła bardzo odpowiednią partją dla mnie. Przystojna,
słicznie wychowana, przy stosunkach, jakie mają
Ostojewicze, byłaby idealną panią domu, ideałem
żony dla człowieka, mającego zamiar prowadzić dom
otwarty — zmuszonego żyć w świecie, zawiązywać
znajomości. Na mojem stanowisku, to rzecz koniecz-
na — inaczej do niczego dojsćbym nie mógł. Ładna,
elegancka żona w domu, w sierach, w których się
obracam, to skarb panie Antoni. Cała *finansjera* by-
wałaby u mnie!...

— Więc najskrajniejszy utylitaryzm powodo-
wał tylko panem? — spytałem.

— Utylitaryzm? hm! I pan, panie Czarski, po
paru latach życia — wyrzekł z naciskiem — przy-
dziesz to tychże samych przekonań. Utylitaryzm...
powiadasz? Czyż istnieje inna jaka pobudka ludz-
kich pragnień?

Spojrzał pytająco.

— Chcesz pan powiedzieć — rozumował — że
każdy człowiek instynktownie dąży do „ideału?“ ale
gdzie go szuka? W spotęgowanej rozkoszy, w nagro-

madzeniu potrzebnych mu danych... Ów wystawiany idealizm to zwyczajny obłudnik, świętoszek, kryjący za jedwabną maską ideału najutylnarniejsze chęci. Nasze instynkta moralne zawsze z jednego wypływają źródła: z żądzy, pożytku, rozkoszy i szczęścia, a czy je precedzić przez batysty ideału, czy przez zgrzebną powąskę utylityzmu, to wszystko jedno — panie Antoni! wszystko jedno. Zresztą po waszemu nawet sądząc, starając się o Wicię, nie holdowałem w zupełności utylityzmem wierzeniom. Ostojewiczówna, panna biedna, bez posagu. Majątek zadłużony, żyją nad stan, to się smutnie skończy musi — coś, spoglądając badawczo, jakie to na mnie wrażenie zrobi.

— Tak. Ostojewicz nie tego stoi w interesach, zwierzał mi się z tem nieraz — przerwałem objętnie.

— A panna przyzwyczajona do... względnego dostatku. Człowiek za którego wyjdzie, będzie się musiał z tem liczyć — napomknął.

Udawał spokój — ale widocznem było, że go rozmowa ze mną dużo kosztowała. Nie był to spokój wahadła, które po wielu oscylacjach, odnalazło wreszcie środek ciężkości. Zenon tego środka jeszcze nie znalazł, choć udaje, że mu w duszy nic się już nie kołysze.

Odchodząc, ścisnął mi rękę, równie serdecznie, jak przy powitaniu. Odprowadziłem go ku drzwiom, uściskał mię raz jeszcze, a gdy wychyliłem głowę, patrząc jak schodzi ze schodów, odwrócił się nagle i zawołał:

— Tylko śmiało, panie Antoni! życzę powodzenia na każdym polu. Co do mnie niektóre rachunki z życia zapisałem na *manco*.

Wyrzekaj się! wyrzekaj! — pomyślałem. Masz

ty nurt w piersiach, co ci prędzej, czy później w lodowatej skorupie ton wykuje...

Bardzo mi się zdały te dwieście rubli. Ładniebym wyglądał, oczekując zmitowania Werthausera. Po trzech tygodniach zwioki, coś na dwa dni przed „pierwszym” — jak to zgóry przepowiedział Zenon, raczył sobie przypomnieć i wezwał mię do kantoru. Nastąpił cudowny wykiad przyszłych mych obowiązków. Z godzinę gadał mi o tem i owem. Z tej finansowo-mentorskiej paplaniny spanoszczena dowiedziałem się, że obejmuję specjalnie dla mnie utworzoną posadę przytocznoego korespondenta z pensją 75 rubli miesięcznie i gratyfikacją zależną od uznania pryncypata, że mam być w biurze od godziny 9-ej rano do 7-ej wieczorem z godzinną przerwą na obiad, a w niedzielę i święta *tylko* do godziny 2-ej. To „tylko” w kontrakcie, jaki podpisać musiałem, podkreślone jest czerwonym atramentem. Zapewne dla zwrócenia uwagi na ten ogrom względności! A jakie to znakomite są te adnotacje o „spełnianiu obowiązku...” Klasyczna, dobrowolna umowa! dali-bóg! opiewająca bez ogródek, iż chlebodawca w każdym czasie zwolnić od zajęć *może*, a pracownik *powinien* prosić o zwolnienie z obowiązku przynajmniej na miesiąc czasu przed terminem odejścia. Inaczej... tu następują cytaty paragrafów prawnych. Ciekawy dokument! zachowam go dla spadkobierców zstępnych, jeśli ich kiedy mieć będę!

Przyznać mu jednak muszę, że pod jednym względem znalazł się bardzo *à propos*. Nigdy się tego nie spodziewałem! Cdy już umowę podpisałem, zapytał mię i to w tonie nader dyskretnej: czy nie potrzebuję pieniędzy? zaznaczając, abym w tego rodzaju potrzebie zawsze się do niego udawał. Rozumie się podziękowałem bez namysłu — ale przyznaję, że mię to ujęło.

Najtrudniej zadowolić samego siebie. Doprawdy, że umysł ludzki wyprawia czasem małe skoki. Gniewało mię poszukiwanie pracy, kląłem Werthausera, że zwlekał z decyzją, a teraz djabli mię biorą, że już klanek zapadła. Ile razy wchodzę z papierami do gabinetu szefa, zbiera mię ochota powiedzieć mu: „pisz pan na Berdyczów! i bywaj zdrów!” A właściwie to narzekać nie powinienem. Ten człowiek widocznie mię wyróżnia i przy każdej sposobności okazuje swe zadowolenie.

Tylko ten mus, ten mus! Strasznie jest jednakże to wyrzeczenie się do pewnego stopnia własnej woli. Człowiek przekształca się w jakąś maszynę o pięciu zmysłach. W oznaczonej godzinie wstaje, ubiera się, wychodzi, ze świadomością, iż jutro toż samo robić będzie, że mu nie wolno nie słyszeć uderzeń zegara, że jak automat musi swe kroki skierować w wyznaczoną stronę; nawet na myśl, nałożono mu jarzmo, z którego daremnie się wyrывa. Br! tak się to zdaje! ale w tych powijakach obowiązku nic nie funkcjonuje swobodnie. Obowiązek! obowiązek! ten obowiązek pojęty jako wykonanie zakupionej pracy, nuży choćby monotonią swoją, a nie pochłania całego naszego „ja”. To tylko „nawaga” krępująca ruchy wyścigowca.

Figle mi czasem płata ta moja *szlachecka gęba*. Wychodzę z biura prawie, że wyczerpany zupełnie kilkugodzinną pracą — o bo Werthausera z założonymi rękoma siedzieć nie pozwoli! a tu sypie dryndziarz... przystaje, uchyla czapki... „Gdzie jedziem jasne panie? — pyta. Z miny mu widać, iż rad jest, że na dobrego pana natrafił... Zdarzało mi się to parę razy i przyznaję, że byłem do pewnego stopnia zażenowany. Czasami zbierała mię ochota wsko-

czyć w wehikuł i *machnąć* jak to mówią w Warszawie — gdzie za miasto. W porę jednak powstrzymałem zapęd. Dorożkarz krzywił się, wzruszał pogardliwie ramionami pomrukując półgłosem „a to pasażir”. Trobnośka! bo co mnie wreszcie są takie dryndziarza obchodzić może... a jednak przykro mi było. Ja jeszcze tej „pańskości” utemperować w sobie nie mogłem. Dajmy na to w restauracji, gdzie jadę obiady, służba ma mię, za wielkiego pana, usługuje na wyskoki, a ja czasem czarnej kawy nie piję, żeby sutszy tringeld zostawić.

Za to w domu djabelnie wziąłem na oszczędność. Kupiłem benzynową maszynkę i sam sobie przygotowuję kolacje. Mam nawet niejakie kulinarne zdolności, naprzykład befszytk smażyć *arte*.

Ale... ale... zapoznałem się z sąsiadką. Zowie się Stefa Ceglarska — jest staniczarką. Śliczne stworzenie, tylko djabelnie pracą wytrenowane — skóra i kości. Ładna jest, bardzo ładna, ma w całej postaci jakąś powiewność zmęczenia. Robi na mnie wrażenie wychudzonego anioła. W zapadłych jamach ocznych, błyszczą błękitne źrenice, jak omyte rosą pęki niezabudek, płowe, o rdzawym połysku włosy, spadają w kędziarach na czoło. A jakie usta! usta półotwarte, wilgotne, różowe wargi; przez naskórek widać prawie jak krew pulsuje! Tak ponętnych, wabiących do całusa usteczek nie widziałem w życiu! I taka uroda jest staniczarką (to jakiś podgatunek krawiecczyni), zarabia dwadzieścia pięć rubli miesięcznie, mieszka w norze, odżywia się lurowatą kawą i wędnie.

Rad jestem, że ją poznałem; bądź-co-bądź to przyjemny *socius doloris*... Zawarliśmy przymierze zaczęno-odporne na punkcie... herbaty. Zrobiliśmy skłackę na cukier i herbatę, Stefa nastawia samowarek, puka w ścianę na znak, że uczta gotowa, ja

zbiegam do sklepiku po butki i zasiadamy do śniadania. Według wszelkich przepisów sprawiedliwości, przyjęcie powinno być raz u mnie. Stefa nie chce się zgodzić na taki podział pracy, więc seanse herbariane odbywamy w jej izdebce.

Zaczyna mnie to bawić. Lubię Stefę. Pochodzi-
my z innych sfer towarzyskich, a jednak jest coś,
wytwarzającego łącznik między nami, a nie wypły-
wającego z fizjologicznego źródła. Podobną myśl
odrzuć od siebie, czyżby tylko erotyczny pociąg
miał własność zbliżania do siebie różnopłciowych
osobników? Nie, nie! co do Stefy stanowczo nie.
W innych warunkach prawdopodobnie aniby na nią
spojrzał. To potrzeba zarobkowania wytworzywszy
pewne podobieństwo położenia, rozsiała ziarno obo-
pólnej sympatji. Żal mi jej poprostu, uczuwam li-
tość dla tej wątłej dziewczyny, schylonej kilkana-
ście godzin nad maszyną i polubiłem ją za to, że
mam się nad kim litować.

Wczoraj wypłacono nam miesięczne pensje.
Pierwszy raz miałem w ręku zarobione znośnie pie-
niądze. Kolegom z biura wręczał należne kwoty ka-
sjer, mnie zawołał do siebie Werthausera i sam od-
liczył siedemdziesiąt pięć rubli. Uległem dziwnemu
uczuciu i dumy i wstydu zarazem. Spozregł to
Werthauser i żartobliwie zauważył, że miałem mi-
nę młodej mężatki, zmuszonej po raz pierwszy zna-
jomym wyjawic „nowinę”. Miał rację, dalibóg!
O! mój pryncypał to widocznie subtelny obserwator.

Woźny z kantoru przyniósł mi wieczorem we-
zwanie szefa, abym dzisiaj nie do biura, lecz do pry-
watnego mieszkania Werthausera poszedł, gdyż pan
słaby, z domu nie wyjdzie, a chce mi kilka ważnych

zleceń zakomunikować. Narazie nie zdziwiło mnie
to, byłem przecież „przybocznym” korespondentem,
lecz po głębszym namyśle powziąłem niejako wąpli-
wość w nagłe zaślabnięcie Werthausera. Za zdrowo
mi wczoraj wyglądał. Prawdopodobnie chce mnie
w jakiś ważniejszy interes wtajemniczyć, a nie ży-
czy sobie, aby konferencję zauważyli oficjaliści biu-
rowi. Przypuszczenie okazało się prawdziwym.
Werthauser, gdy wszedłem do jego gabinetu, wydał
mi się zupełnie zdrowym, tylko nieco zgorączkowa-
nym. Chodził, a raczej biegał drobnym krokiem, tam
i zpowrotem, a ujrawszy mnie wchodzącego, z nie-
zwykłą serdecznością wyciągnął ręce na powitanie.

— Niecierpliwie oczekiwałem pana, jestem nie-
co słaby — bąknął nawiasowo — a interes wielkiej
wagi...

Mówił to szybko, jakby zaniepokojony, a ba-
dawco mierzyl mnie od stóp do głów, nerwowo
obracając w palcach zapalone cygaro.

— Jestem na pańskie rozkazy, panie prezesie.
(Werthausera tytułowano prezesem).

— Siadaj pan! panie Czarski, siadaj! — roz-
począł, podsuwając mi fotel. — Mam z panem wiele
do pomówienia.

Zamyślił się — jakby rozważał od czego ma
zacząć.

Siedziałem jak na rozżarzonych węglach, za-
ciekawiony niezmiernie.

— Mój panie Antoni — zaczął znowu po chwi-
lowej przerwie, — miesiąc upłynął od czasu, jak
mam przyjemność nazywać pana swym współpracownikiem.
Nawyknę do otwartości, otóż ubiegły
miesiąc był miesiącem próby, z której pan wyszedł
zwyciesko. Jesteś pan człowiekiem inteligentnym.
wtajemniczysz się łatwo w bieg interesów...

Zaczął bębnić palcami po biurku.

— Mam do pana zupełne zaufanie — mówił dalej, nie spuszczać ze mnie oczu — i zdaje mi się, że będę mógł panu w krótkim czasie lepsze stanowisko zaofiarować.

Skłoniłem się na znak podziękowania.

— Mamy różne interesy i potrzebujemy ludzi zdolnych. Wkrótce zawakuje wyższa posada w wydziale przedsiębiorstwa kopalń węgla, przeznaczyłem ją dla pana, lecz tymczasem chciałem panu powierzyć interes wielkiej wagi... interes familijny — dodał szybko — na pomyślnem przeprowadzeniu którego wiele mi zależy. Liczę na pańską pomoc i dyskrecję... panie Czarski!

Podał mi rękę. Nie wiedziałem co na to odpowiedzieć, przeczuwałem jednak, że speranda przyszłej posady od dobrego wywiązania się z „familijnego interesu” zależy.

— Rzecz ma się tak — przemówił znowu Werthausser. — Mój syn... Ale otóż i on... Bardzo dobrze, będziemy wspólnie radzili...

W drzwiach wiodących do sąsiedniego saloniku ukazał się właśnie pierworodny syn Werthaussera, Leon, którego do tej pory nie znałem.

— Mój syn Leon — pan Czarski — rekomendował stary.

Przyjrzałem się bacznie młodej latorośli Werthaussera. Wysoki, chuderlawy, brunet, nadzwyczaj mocno ubrany, ale wybitnie semickiego typu, pan Leon ze wzrokiem utkwionym w ziemię nie robi sympatycznego wrażenia. Wydał mi się też człowiekiem, który oscyluje między cnotą a prokuratorją. To musi być „ptaszek!” — pomyślałem.

— Z panem Czarskim — mówił w dalszym ciągu, zwracając się do syna stary Werthausser — musimy być zupełnie otwarci. Zresztą jestem przekonany, że nie zawiedzie naszego zaufania, a na rze-

telną wdzięczność w razie dobrego skutku liczyć może.

Skłoniłem głową.

— Bardzo będziemy panu obowiązani — wtrącił sucho Leon.

— Otóż mój syn, kochany panie Antoni, przed paru laty otworzył interes bankierski, w którym ulokował znaczny kapitał... Nie będę obwijał w bawelnę: interesa tego rodzaju potrzebują wielkiej baczności i rozważi — inaczej można się zaplatać w niebezpieczną spekulację. Ostatnia ewentualność spotkała właśnie mego syna. Niezręczna operacja, z której się wycofać nie może, naraża go na grube straty, na kompletne *fiasco*. Uniknąć tych smutnych następstw nie można inaczej jak przez likwidację całego interesu. Kwestja tylko w tem, — mówił szybko stary Werthausser, — aby likwidację tę wywołać, upozorować koniecznością...

Do tej chwili nie pojmowałem zupełnie, jaką rolę ja w tej likwidacji odgrywać będę.

— Trzeba to upozorować koniecznością, bo ja — dodał zwracając się do syna — nie myślę już więcej topić pieniędzy. Otóż, panie Czarski, do pana jako do człowieka honoru, na którego w zupełności liczyć możemy, uciekamy się o pomoc. Krótko mówiąc, mój syn wystawi panu weksli na sto dwadzieścia tysięcy rubli, pan te weksle niewykupione w terminie zaprotestujesz, zaskarżysz w sądzie handlowym i ogłosimy upadłość...

Ostatnie wyrazy wypowiedział prawie szeptem, oglądając się dokoła, czy kto nie podsłuchuje. Nie zdawałem sobie jeszcze dokładnie sprawy, czego ten człowiek ode mnie żąda, zrozumiałem jednak, że podobne zwierzenia robią jedynie ludzie przyparci do muru.

— Będzie to fikcja, tak fikcja, dlatego też po-

trzebujemy człowieka, któremu ufać można, że nie zrobi nadużycia. Później cała sprawa się wyklaruje i wszystko będzie w porządku. To nawet długo nie potrwa — kilka miesięcy najwyżej. Czy zgoda?

Pytanie było obcesowe, a ja już zrozumiałem jasno, że obmyślana przez Werthausera operacja, będzie najzwyczajszem podstępem bankructwem... Zrobiło mi się gorąco. Wzburzyła się krew we mnie, na myśl samą, że ten człowiek śmie mi współdziałać w niecnym czynie proponować. Więc ja mam być narzędziem, z pomocą, którego dwaj łotrzy okradną ludzi z ciężko zapracowanego grosza? — pytałem sam siebie. Zaparło mi w gardle tak, że nie mogłem słowa wykrztusić. Może lepiej się stało, że nie mogłem się na natychmiastową odpowiedź zdobyć, bo byłbym z pewnością niezbyt parlamentarnie znajomość z Werthauserami raz na zawsze zakończył, a tak kto wie jeszcze co będzie. Werthauser sam spostrzegł, iż zbyt natarczywie domagał się odpowiedzi, i począł stopniowo wycofywać się, dając mi kilka dni czasu do namysłu.

— Rozumiem, — mówił, — że pan potrzebuje rzecz całą rozważyć. Nam znowu nie tak pilno; dni kilka na pańską decyzję poczekać możemy, a nie przypuszczam, żeby pan znalazł jaki powód do odmowy... nie przypuszczam. Przypomnienie o dyskrecji między ludźmi honorowymi chyba zbyt cenne. Ja na dni kilka wyjechać muszę do kopalni węgla, zabawię tam do niedzieli, przez ten czas i pańska obecność w biurze nie jest konieczną, może pan przeto odpocząć. A w niedzielę czekamy pana z obiadem. Jadamy o 5-ej. Będzie tylko najbliższa rodzina, sami swoi — kończył, odprowadzając mnie ku drzwiom.

Świeże powietrze wróciło mi równowagę myśli. A to czelna bestja! Jak on to powiedział: „przypo-

mnienie o dyskrecji między honorowymi ludźmi chyba zbyt cenne”. Szubrawiec!

Wszystko się na mnie spiknęło. Wykoleiła mnie przedewszystkiem ta propozycja Werthausera. Początkowo zamierzałem zasięgnąć rady Zenona, porzuciłem jednak ten zamiar. Podobnego rodzaju zwierzenia niełatwo przechodzą przez gardło. Zresztą, jakąż dałby mi radę? Są dwie drogi do wyboru: pluć na szelmstwo i stracić kawałek chleba, lub... W takich wypadkach uczciwy człowiek nie pyta nikogo o radę, sam winien wiedzieć, co mu czynić wypada. Przytem Zenon — to taka patentowana doskonałość! Nie mogę zaszczyć w sobie zaufania do takich *porządnym* ludzi. Szanuję ich, ale nie lubię. Czy pojąłby on zresztą, jakie wstrząśnienia przechodzić muszę! Stanowczo nie. A jednak czuję potrzebę wywnętrzenia się przed kim. Ten głuchy ból wewnętrzny, towarzyszący wstrząśnieniom zbolelej duszy, usilnie starającej się osiągnąć pełność pojęć, męczy mię niepomiernie.

Potrzebuję się wygadać, wypowiedzieć z troski, wyrzucić nazewnątrz tę zmorę, co mi się kleszczem w mózg wpiła, bo inaczej łeb mi pęknie!

Wczoraj zdecydowałem się nieodwołalnie odmówić usług Werthauserom. Wymówi mi miejsce — mniejsza o to! mniejsza! Mam kilkadziesiąt rubli w kieszeni, poczekam, przecież jakieś zajęcie znaleźć muszę.

Byłem właśnie u Stefy na herbacie. Zakłóła sobie palec przy obrabianiu atlasowego stanika jakiejś damy. Martwi się biedactwo, że przez pewien czas pracować nie będzie mogła. Dziwna analogja! I ja

zakłóteł się, lecz w duszę, i także nie będę mógł pracować. Tylko że ja rad jestem, iż udało mi się tę drzazgę nareszcie wydobyć! Czułem się swobodnym, wyzwolonym, podżartowywałem ze Stefy, oglądałem skłoty na sito różowy paluszek, figlowałem jak dzieciak. Rozruszała się dziewczyna i po raz pierwszy poprosiła mnie sama, abym jej swój pokój pokazał. Uczyniłem to najchętniej. Oglądała wszystko po kolei z tą kotwicą ciekawością, co żadnego szczegółu nie pomija. Szczęściem, że album z fotografią Wicuni schowałem znowu po owej wizycie Zenona do stolika. Napewno miałbym drażliwą interpelację, a byłoby mi to kaducznie nie na rękę.

Stefie podobał się bardzo mój pokój, chwaliła wszystko: zwykłe bukowe mebelki, kilka doniczek kwiatów, firanki tiulowe, które przed kilku dniami nabyłem. „Jak tu ładnie u pana! jak wesoło!” — mówiła. I rzeczywiście mnie samemu wydało się wesoło w tej ciasnej izdebce, jak nigdy. Pierzchły złośliwe widziadła, a wraz z nimi ucichła moralna zawierucha — rażno mi było, swobodnie, jakbym się raz drugi na świat narodził.

Uczułem żywą wdzięczność dla tego dziewczęcia, że swą obecnością zatarło rodzące się w samotności przygnębienie moje. Chciałem jej zrobić przyjemność. Przed paru dniami wspominała, że nadzwyczaj lubi teatr — zaproponowałem, żebyśmy dziś razem poszli na operę.

Zrazu jakby nie wierzyła własnym uszom, spytała: „pan? ze mną?” — a gdy potwierdziłem, powtarzając zaproszenie, oblała się pensem i nieomal nie rozplakała się z radości...

— Jaki pan dobry dla mnie — jaki dobry! — mówiła przez łzy. — Ja tak dawno nie byłam w teatrze, a tak lubię... Dawniej chodziłam czasem z siostrą — ale teraz...

— Więc panna Stefanja ma siostrę? — spytałem. — Nie wiedziałem nic o tem...

Spłonęła jeszcze silniej.

— Mam... mam — ale... ale... się teraz nie znamy — odrzekła szeptem prawie.

Nie pytałem więcej, domyśliwszy się, że jej to przykreść sprawia, i zwróciłem rozmowę na inny temat. Kiedy wieczorem powróciłem z biletami, Stefa była już ubrana zupełnie. W gładkiej sukience *bleumclde*, z pękiem astrów przypiętym do stanika, w popielatym rembrandtowskim kapelusiku miała wygląd dystygowanej lady, a nie staniczarki z poddasza. Podałem jej ramię i tak rączka w rączkę podążyliśmy do teatru. Nie przeszło mi nawet przez głowę, że nas ktoś ze znajomych spotkać może i gotowe plotki... Dopiero wchodząc do foyer, zauważyłem wiele oczu zwróconych na nas. Miejscy gapie natarczywie spoglądali na ładną dziewczynę i uśmiechali się ironicznie. Zrobiło mi się przykro, podałem rękę Stefie i szybkim krokiem podążyliśmy na balkon. Straciłem humor i wyrzucałem sobie, że nieopatrznie postąpiłem. Nie mam wprawdzie wielu znajomych, ale możliwym jest przecie spotkanie się z kolegą biurowym — myślałem. Niechbym się tak zobaczył z którym z tych kantorowiczów... Śledziłby mnie niechybnie, a wyęledziwszy, nie omieszkał skorzystać z odkrycia... Zrobiliby ze Stefy bohaterkę miłosnej epepei ten świat miejski, plotkarski, a ze mnie zwykłego Don Juana.

Rozglądałem się po widowni, na szczęście nie dostrzegając nikogo ze znajomych. Śpiewano „Faworytę”. Rozpoczął się akt pierwszy.

Wysłuchany w cudowną melodię włoskiego maestra, zapomniałem o odczuwanych przed chwilą nie miłych refleksjach. Stefa poprostu była zachwycona. Chwytała mię co chwila za rękę, pytając o znaczenie

pojedynczych scen (artyści śpiewali po włosku). Drżąca, podniecona, zdawała się całym organizmem chłonać dolatujące dźwięki. „Jakie to piękne! jakie piękne! płakać chce się, słuchając...” — szczebiotała półgłosem, nachylona ku mnie. Czuję gorący jej oddech na sobie, drgnienia zachwytem falujących piersi, żar oczu, jakiś rozkoszny nacisk fizyczny ciepła, płynącego z jej postaci... Mało brakowało, a byłbym ją chwycił w objęcia, tak mi się anielsko pełną wydała w tej chwili! ale równocześnie z tem radosnem pobudzeniem powstawało jakieś inne jeszcze uczucie, niby posępny akord, wplątujący się niepostrzeżenie w pieśń wesołą. Coś jak mara bezkształtna wionęło na mnie lodowatym chłodem.

Oderwałem płonący wzrok od Stefy. W sali raptownie pomimo antraktu zaległa cisza. Zabrzmiało cudowne solo skrzypcowe, hymn tęsknoty i starganych nadziei. Powiodłem wzrokiem po widowni. W parterowej łoży stał młody Werthauser z lornetką uporczywie zwróconą w moją stronę. Machinalnie cofnąłem się całym korpusem wstecz. Dostrzegł mnie jednak i, odjawszy lornetkę, skłonił się. Rad nie rad, oddałem ukłon. Z podniesieniem kurtyny wysunął się z łoży. Przeczynałem, że przyjdzie na balkon. Istotnie za chwil kilka zjawił się, przystanął nieopodal miejsc naszych i zaczął ciekawie przyglądać się Stefie. Udawałem, że go nie widzę, zagadywałem do mojej towarzyszki, aby przypadkiem w stronę natręta nie spojrzęła, myśląc, że go znudzi wyczekiwanie i pójdzie sobie do diabła!

Gdzie tam! Przecisnął się do miejsca niezajętego, tuż za memi plecami usiadł i, dotknawszy mego ramienia dla zwrócenia na siebie uwagi, po wygłoszeniu banalnego powitania, przyciszonym głosem zapytał:

— *C'est votre m...sse monsieur?*

Ta arogancja żydowska obezwładniła mnie do takiego stopnia, że zamiast mu skoczyć do oczu, zdobyłem się zaledwie na wypowiedzenie w tonie szorstkim: „mylisz się pan...” i zamilkłem. Zrobił jeszcze kilka uwag „o ładnej twarzyczce”, lecz widząc, że mu nie odpowiadam, dał pokój pytaniom i, rzuciwszy tylko kilka lubieżnych spojrzeń na Stefę, których szczęściem, zajęta sceną dziewczyna, nie dostrzegła, wysunął się przed zapadnięciem kurtyny z balkonu. Sądziłem, że będzie na nas czatował przy wyjściu z teatru i postanowiłem, nie przebieając w słowach, powiedzieć temu panu, co o nim myślę. Dlaczegoż-bo miałbym się krępować? Z Werthauserami miałem i tak zerwać raz na zawsze; teraz przybył mi jeszcze jeden powód więcej do tego. Upatrywałem Leona przy wyjściu z teatru i na chodnikach, lecz nie dostrzegłem go nigdzie. Miałem djabelną ochotę zrobić mu awanturę co się zowie! Teraz — przyznaję, iż lepiej się stało, że się okazja ku temu nie nastąpiła.

Ten meches zepsuł nam resztę wieczoru. Nie poszedłem już ze Stefą do restauracji na kolację, jak to pierwotnie sobie ułożyłem, lecz wróciliśmy dorożką do domu. Cna rozbawiona, ja skwaszony i siłacy się tylko na dobry humor.

W mieszkaniu zastałem list od siostry i przesyłkę z „wiejskiem masłem”. Pocziwa Marynia! rozstaliśmy się w gniewie — a ona mimo to daje mi dowody siostrzanego przywiązania. Rozerwałem szybko kopertę. Już z pierwszych wyrazów listu oceniłem, że mi jakąś przykrą przyniesie nowinę. Marynia rozpoczynała od skreślenia wielkiego upadku wszystkich rolników, cytowała ceny zboża, wymieniała nazwiska znajomych mi zamożnych obywateli, którzy się obecnie w *interesach* zachwiali, jakby mię przygotować chciała do smutnej wieści, zawartej w końcowym ustępie.

„W Ostojni bardzo źle — pisała. — Wierzyście subhastują, niema możliwości uniknięcia przymusowej sprzedaży. Pan Ostojewicz był ciężko chory — obecnie ma się lepiej, i krząta się starowina, jak może, aby cośkolwiek dla Wicuni uratować...”

Zaschło mi w gardle i lzy zaczęły się gwałtownie cisnąć do oczu. Nie mogłem czytać do końca. Dech jęczał we mnie. Po chwili wziąłem znowu nieszczęsny list do ręki.

„Pan Ostojewicz ma nadzieję dostać posadę administratora dóbr na Podolu — pisała w dalszym ciągu Marynia. — Żal serce sciska na myśl samą, że taki człowiek, wychowany od dzieciństwa w dostatku, na stare lata będzie musiał szukać u obcych kawałka chleba. Piszę ci o tem, braciszku, wiedząc, jak cię to obchodzi; a i ja zmieniłam teraz zdanie. To zaciń ludzi. Odwiedziliśmy ich w tych dniach. Wicunia przymizerniała, marzy tylko o tem biedactwo, w czymby stroskanemu ojcu ulżyć. Ma zamiar zostać guwernantką...”

List Maryni ściał mię prosto z nóg. Całą noc nie zmrzyłem oka, a raczej z przymkniętymi powiekami przeleżałem na łóżku nieruchomy, jak drewno. Nie mogłem się połapać w chaosie tłoczących się myśli. Kipiało mi w głowie. Zapomniałem o wszystkim, o Stelie, o Zenonie, o święcie Bożym! W mózgu tkwiło tylko jedno pytanie: co począć? co począć? W pierwszej chwili postanowiłem natychmiast jechać do Ostojni. Wydało mi się to najlepszem; niebawem porzuciłem tę myśl. Poco? czy moja obecność pomoc im przyniesie? Gdybym tak miał posadę, dającą mi możliwość stworzenia ogniska rodzinnego, to co innego. Nie namyślałbym się ani sekundy...

A gdyby tak?... Dobrze, że temu Leonowi kar-

ku za Stelę nie nakręcił. Wszystko przepadłoby. Poco ja mam głową bić o mur, kiedy mi sam los wyłom do wyjścia zrobił. Głupie szkopyły! Nie jestem oportunistą względem własnego sumienia, ale czy oszukiwani zyskają co na tem, że ja do oszustwa nie przyłożę ręki? Nie ja — to inny to uczyni. Taki pan Fürchnagel, albo Endewelt nie zawaha się ani na chwilę, i rezultat będzie tenże sam...

Zresztą poco mam gwałtem dociekać, o ile uczciwą jest propozycja Werthausarów? Biorę ją z dobrodziejstwem inwentarza. Poco dociekania? za dalekoby mię to doprowadziło. Jeśli nie starałem się zbadać, czy listy pisywane moją ręką z polecenia szefa miały uczciwy watek, to prosta logika nie nakazuje mi wtajemniczać się w genezę fikcyjnego długu. Koniec końców wszystko jedno! czy zaszargać się odrazu, czy zamulać sumienie stopniowo. Będą gadali?... Mniejsza o to! pogadają — przestaną... Co mię zresztą ta sławetna opinja obchodzić może? Werthauser przyrzekł posadę w kopalni węgla, zniknę ludziom z oczu — a celu dopnę.

Za guwernantkę się wybierasz, skarbie mój jedyny! nic z tego. Nie pozwolę! choćbym się miał w łzach ludzkich skapać!

Jakie to szczęście, że poczciwa Marynia doniosła mi o tem. Bylbym kapitalne głupstwo palnął, zrywając z Werthausarami. W niedzielę nieodwołalnie idę do szefa na obiad. Co będzie — to będzie! Posadę dać musi, na obietnicy się nie skończy, bo przecież będę ich miał w rękę. Mordowałem się niepotrzebnie noc całą. Że mi też to odrazu nie przyszło do głowy! Będą gadali... Któż zresztą dowieść mi potrafi, że jestem tylko symulacyjnym wierzyścielem Werthausera? kto?... Głupie szkopyły! Czyż ja nie mam prawa zaspokoić swoich jedynych pragnień? kto ma możliwość zabronić mi tego? jaka siła zdolna mię wy-

zuc z tego chce, co mi w duszy kołacze? Czyż moja w tem wina, że promień świetlany, konieczny dla mego istnienia, błysnął za bagnem, przez które przejść trzeba? Unurzam się, zabagnię, ale przy tym promyku spragnioną pierś ogrzeję! a tym, co mi z tego zarzut robić będą, odpowiem: po betonowych chodnikach przeszedłbym suchą nogą — dlaczegóż ich nie zbudowano?

Niech tam!

Przy herbacie zauważyła Stefa, że jestem niezmiernie blady. Istotnie. Jedna chwila rzetelnej troski silniej widocznie oddziaływa na organizm, niż rok ciężkiej choroby. Każdy człowiek musi przebyć w pewnym momencie życia duchowego przesilenie. Szczęśliwy — komu ruch życiowej siły pozwoli przetrwać ten moment bez zbytniego nadwężenia. We mnie przewróciło się wszystko w ciągu kilkunastu godzin. Pośpieszna duchowa ewolucja musiała zostać po sobie ślady.

Odpisałem Maryni, jak umiałem najserdeczniej. Nadmieniałem o widokach na przyszłość, prosząc, aby o tem w delikatnej formie Ostojewiczowi napomknęła. Mogą na mnie liczyć. W złej czy dobrej doli drudem ich będę do śmierci.

Może to jest brudny egoizm, lecz zaprzecić się nie mogę, że obecnie, gdy ostygłem z pierwszego wzruszenia, uczuwam rodzaj wewnętrznego zadowolenia; po tem, co zaszło w Ostojni, zdaje mi się, iż prędzej dobiję celu... Dziwną jest natura ludzka — każdą sprawę ocenia wkońcu przez pryzmat własnego „ja”...

Jeśli to było tylko familijne zebranie, *sami swoi*, to Werthauser ma bardzo liczną rodzinę. Żeby nie

wstrząśnienia, jakie przechodziłem — byłbym się wybornie bawił samą obserwacją czcigodnej „famuly”. Co za nosy! co za typy! To mi rasa!

Umyślnie spóźniłem się nieco. Lokaj, który mię już parę razy widział i nabrał widocznie zaufania do mej osoby, zdejmując palto w przedpokoju, szepnął, że państwo już wszyscy zebrani...

— Jest kto z obcych? — spytałem.

Wzruszył pogardliwie ramionami.

— Prawie same żydy, jaśnie panie! — odpowiedział z przekąsem. Uśmiechnąłem się do sługusa, pošyłając bilet wizytowy. Sam szef prezentował mię gościom.

— Pan Czarski, obywatel ziemski, współpracownik naszej firmy, protegowany hr. Z. — recytował przed każdym z obecnych. Prowadził mię tak po salonie, jak barana na ścięcie, a po każdym nieledwie przedstawieniu nowej figurze chwycił mię za rękę kordjalnie, jakby dla zadokumentowania swej życzliwości. Przyglądano mi się ciekawie. Naliczyłem około trzydziestu osób. Nazwisk dokładnie nie pamiętam. Było tam sześciu Werthauserów, kilku „steinów” i... „bergów”, zasłyszałem nawet końcówki... ski i... wicz. Zato kolekcja płci pięknej była czyste wody ze źródła Jakubowego. Honory pani domu robiła najstarsza córka Werthausera, rozwódka, jak mi to sam przy prezentacji na ucho powiedział. Trzydziestoletnia trziretka, dość przystojna, z otyłości i piegów przypomiała mi wypasioną na koszernej maślance dawną pachciarkę z Czarki.

Spotkał mię zaszczyt nielada! Przy obiedzie usadowiono mię obok rozwódki; stary Werthauser, jako patriarchy rodu, zasiadł na honorowym miejscu *vis-à-vis* nas, mając po jednej stronie jakiegoś potentata finansowego, a po drugiej swego radcę prawnego, pana Putzfirmiera...

Pyszna figura ten Putzfirmer! co za przebiegłość w oczach — a jaka powaga w nastroju! Prawdziwy follblut semicki. Werthausser musiał mu już o umowie ze mną opowiadać, bo radca przyglądał mi się badawczo przez binokle w złotej oprawie i komunikował swe spostrzeżenia to szefowi, to siedzącemu obok niego panu de Willdorf, mężowi drugiej córki Werthaussera.

I ten de Willdorf także okaz nielada! jakiś zbankrutowany baron śląski, czy coś podobnego. Słyszałem coś o nim, trudni się podobno dostawami *en gros* dla wojska, ale żyje nad stan, rzuca pieniędzmi i jest z teściem cokolwiek na bakier z tego powodu. Werthausser mówi, że go zięć za dużo kosztuje. Przyjrzałem się de Willdorfowi uważnie i przypomniał mi się aforyzm Eurgeta, cytowany w podobnych okolicznościach przez któregoś z naszych autorów: „Zięćowie handytów finansowych są zemstą okradzionego akcjonariusza...” Jestem przekonany, że taki de Willdorf wypłata kiedy Werthausserowi porządnego figła.

Ciekaw jestem, kim był mąż mojej sąsiadki i dlaczego się z sobą rozwiedli? Muszę się o tem dowiedzieć. Myślałem, że mi sama coś o swej przeszłości w półsłówkach przy obiedzie napomknie. Ale nie — chociaż usta jej się nie zamykały. Trzepała językiem o tem i owem, wszczyniała tysiące kwestyj, ale o mężu ani mrumu...

To prawdziwa pańszczyzna taki żydowsko-arystokratyczny obiad. Mimo uprzejmości sąsiadki, siedziałem, jak na szpilkach, i odetchnąłem dopiero przy czarnej kawie. W ole, dalibóg, moją garkuchnię. Tam przynajmniej jestem swobodny, a tu, gdym łyżką silniej w porcelanowy talerz wypadkiem trącił, zdawało mi się, że całe towarzystwo *unisono* krzyknie: „Aj waj!”

A jak oni w gruncie rzeczy poniewierają *nami* —

nami, do których napozór garną się całą siłą. Na przykład taka pani Róża, moja sąsiadka... Nie pamiętając nazwisk, spytałem ją przy obiedzie o pewnego jegomościa, wysokiego blondyna, dystyngowanej powierzchowności.

— *C'est un comte polonais, un imbécile, qui j'ai invité pour garnir le salon!* — odpowiedziała bez namysłu i żenady.

Jakby mi kto w twarz dał! Co taka żydowica w duchu sądzi o mnie, — pomyślałem, — o mnie, który jestem oicjalistą jej ojca. Nadrobiłem miną, ale mię to piekielnie zdetonowało.

Zaden szczep pod słońcem nie ma tej arogancji w charakterze, co żydzi. Hamują się w niemocy, zato gdy się poczują na sile, bryzgają w oczy szyderstwem. Jest to rodzaj odwetu z ich strony za upokorzenia, których doświadczyli sami.

Po czarnej kawie, czekałem tylko stosownej chwili, aby się wymknąć do domu. Miałem już całego otoczenia do syta. Wstrzymał mię jednak Werthausser, zapraszając do swego gabinetu na cygaro. Myślałem, że będzie chciał na osobności o interesach pomówić — ale nie. Nie potrafił ani jednym słowem o wiadomą sprawę. Ja ze swej strony nie miałem również chęci, ani powodu do tego. Gawędziliśmy o tem i owem, gdy nadszedł Leon. Dopiero teraz zauważyłem, że Werthausser *junior* w familijnym obiedzie nie uczestniczył. Musiał jakąś dobrą nowinę przynieść, gdyż miał minę wielce uradowaną. Przywitał się ze mną grzecznie, szepnął coś staremu do ucha i, odprowadziwszy radcę Putzfirmera na bok, począł mu robić jakieś sekretne zwierzenia. Uważałem, że moja obecność jest zbyt czarna i, złożywszy pożegnalną czołobitność całej familji, wyszedłem, żegnany piskliwem *au revoir monsieur* pani Róży

i z naciskiem wypowiedzianem „do widzenia — jutro w biurze” Werthausera.

Było to przypomnienie obowiązków dane przez szefa kancelii. Najczulej rozstał się ze mną de Willdorf. Odprowadził mię do przedpokoju, a podając obie ręce na pożegnanie, rzekł:

— Zrobiłeś pan na wszystkich bardzo dobre wrażenie!...

— Mój Ty Poże! czyż to nie ironja losu starać się o wywarcie dobrego wrażenia na takich Werthauserach.

Chodzę tedy po dawnemu do biura. Równoczesna moja i szefa nieobecność zaintrygowała widocznie koleżków, to mię teraz obserwują pilnie, uważając za zausznika i starając się wkraść w łaski. Taki Fürchtngel kłania mi się w pas. Przynajmniej tyle zyskałem na tej wizycie u szefa, o której wiedzieć muszę, że się ze mną przez obawę liczyć zaczęli. Dobrze i to. Ale w stosunku naszym z szefem nic się nie zmieniło — roboty tylko więcej bo trzeba zaległość odrabiać. Ale prawda! jest zmiana — jest! Werthauser za przyjściem do biura wita mię teraz podaniem ręki — nie tak, jak dawniej, kiedy to za ledwie głową skinął. Mnie tylko i głównego kasjera ten zaszczyt spotyka! Robi to ostentacyjnie, wobec całej kliki kantorowiczów. Skwitowałbym chętnie z tego odznaczenia, mnie to nie pochlebia przecie, a w innych zazdrość budzi...

Byłem u Zenona i nie zastałem go. W banku objaśniono mnie, że wziął urlop i wyjechał na wieś. Że mi też to nie przyszło na myśl wcześniej, a jednak powinienem się był domyśleć. Przecież Ze-

non, jako wierzyciel hipoteczny Ostojni, musiał być zawiadomiony o subhastacji. Szkoda, kto wie, możebym się i zdecydował z nim jechać... Przynajmniej będę miał wiarogodne relacje, jak wróci. Ciekawy jestem, jak się też zachowa teraz względem Ostojewicza. Żebym tak ja był na jego miejscu, wiedziałbym, co zrobić — kilkanaście tysięcy rubli zawsze ma swoje znaczenie. Natarczywych wierzycieli można by ugłaskać, ustępując im pierwszej hipoteki. A może on to robi? Ej, nie! nadto przywiązany do grosza, zresztą wątpię, czyby i Ostojewicz zgodził się na to. Zawsze byłoby to przyjęciem pomocy od człowieka, z którym go żadne węzły, oprócz pokrewieństwa, nie łączą. Zdaje mi się zresztą, że Ostojewicz Zenona nie lubi. Napiszę do Maryni, żeby mi natychmiast o wszystkim doniosła.

Więc nie myliłem się, przypuszczając, że Leonowi wtenczas w teatrze Stefa wpadła w oko. Ta wizyta u mnie, to tylko dobrze obmyślany pretekst. Przecież wiedział dobrze, że o tej porze jestem dawno w biurze. Niema co mówić, sprytnie się bestja urządził... ale poczekaj ptaszku! nie na głupiego trafiłeś! Żal mi tylko Stefy, bo ona wzięła go istotnie za jakiegoś „ćwobrodzieja” cierpiącej ludzkości. Wracając z biura, usłyszała moje kroki na schodach, wybiega rozpromieniona, szczęśliwa, z biletem wizytowym w rękę i nuż opowiadać... Przyszedł i niby przez omyłkę (tak się przed nią tłumaczył) zapukał do jej mieszkania. Przeprosił, zapytał o mnie, i tak, od słowa do słowa, zawiązał rozmowę z dziewczyną, a dowiedziawszy się o jej smutnem położeniu i rodzaju zajęcia, przyrzekł dostarczyć korzystnej roboty. „Mam liczne znajomości w zamożnych sferach, postaram się aby panience przyjść z pomocą,

a jakby potrzeba było magazyn założyć, to się fundusik znajdzie, a panienska zwróci pożyczkę robotą...”

— To musi być pański dobry przyjaciel. Bardzo miły! poczciwy człowiek — kończyła z entuzjazmem swoje opowiadanie Stefa. Jej się zdaje, że to wszystko prawda. Nie sądziłem nawet, że to takie naiwne stworzenie.

Nie miałem serca odzierać jej ze złudzeń, ale postanowiłem przeszkodzić zamiarom... dobroczyńcy. Będę cię miał ptaszku na oku i przy pierwszej sposobności wprost powiem: „Wara!”

Choćby dla samej etyki towarzyskiej powinien się był powstrzymać. W ie przecie, że mię Stefa interesuje, a prawdopodobnie przypuszcza jeszcze więcej, niż jest w istocie. Obmierzły meches! Czeką go barkructwo, a on sobie w najlepsze romansik ze szwaczką układa, jak nigdy nic...

Muszę Stefę przestrzec. Będzie łąził, deptał, i gotów dziewczynę obietnicami skusić, a szkodaby jej był! Nic łatwiejszego — ja w biurze siedzę, a on przez ten czas koperczaki będzie smalił.

Istoty opuszczone, samotne, jak Stefa są bardzo wrażliwe na każdy objaw przychylności. Mam tego dowód choćby na sobie. Ona się szczerze do mnie przywiązała... Lepiej może będzie otworzyć jej oczy odrazu. Po co się ma łudzić. Do tej pory mam tylko podejrzenie co prawda — ale któż mi zareczyć może, że przebiegły bankierowicz, zwąchawszy, iż go pilnuję, i mnie nie zdoła wywieść w pole. Ale jak ją tu ostrzec? powiedzieć szczerą prawdę? pomijam już, iż ją to piekielnie zaboli... ale jak zapyta: czemu się z takim człowiekiem zadaje? to co jej powiem. Może posądzić mię o zazdrość i nie uwierzyć. Najlepiej nic jej nie powiem, tylko Leona poproszę, żeby gdzie indziej skierował swą... miłość, bo... tutaj strefić się może.

Nie sądziłem jednak, żeby mię to tak dalece wzburzyć mogło. Czemże jest dla mnie właściwie taka Stefa? Kto mię stróżem jej cnoty i szczęścia ustanowił?... Zresztą — czy ostrzegając ją przed niebezpieczeństwem, zgotuję jej lepszą dolę? Takie dziewczęta, prędzej czy później muszą stać się pastwą pożądlivych instynktów. *Ananke*, czy jak tam to nazwać! na tapczany szwaczek najczęściej zsyła zawód miłosny i... upadek; najzdradniejsze marzenia najprawdopodobniejszemi się stają na wyżynach podcasha! Ach ta miłość! miłość! ile ona już zrabowała uczuć! ile serc prawych starła na trociny i rzuciła w błoto. Od wieków świat cały gra na tej klawiaturze, choć połowa klawiszy odstrojona, wsłuchuje się rad w melodię erotyzmu, nie dba o dysonanse, łowi uchem najniższe akordy i przekształca je w ciasnym zakątku serca w harmonijne tętna upojen. Cała poezja erotyczna, tokowanie Anakreonta, łóle Petrarki, łzawe wynurzenia Jakóba Ortisa, rozpaczliwe wykrzykniki Wertera, to jeden wielki chorał szalu, tęsknoty, zawiedzionych nadziei, brzmiały niemiłknącym echem odgłosów rozbudzonych przez tę kwintesencję pragnień, żądze żądź, której nic skrepować nie może!...

Więc i taka Stefa, prędzej czy później ulec będzie musiała... Czasem za chwilę złudzeń płaci się bardzo drogo — ale się je ma przynajmniej!

Daremnie jednak filozofuję. Poco właściwie wmawiam w siebie, iż mię to nic nie obchodzi, kiedy na samo wspomnienie zabiegów Werthausera djabli mię biorą ze złości. Ma tysiące wychrzczonech i niewychrzczonech Żydówek! niech tam lokuje swoje... kapitały i uczucia. „Obmyśli fundusik” dobroczyńca! żebyś ty przedtem kości na schodach nie roztrwonil mechesiel! A jaka bestja butna, śmiała. Pewny jest, że mu to bezkarnie ujdzie, dufa w mój

stosunek, w zależności od jego ojca. W samej rzeczy trzeba trafu, żeby się tak wszystko skomplikowało. W innych warunkach nie śmiałyby! z pewnością nie śmiał! Już wtenczas w teatrze, jak mię to bez ceregieli zapytał... W każdym calu Żyd — nawet św... po ateńsku zrobić nie umie... wyciąga rękę z trzosem i... basta! A może to i dobrze? nie jest on wprawdzie do zakochania, ale jakby jej zaczął gruchać miłosne słowa... to kto wie? wybór w miłości nie kieruje się li fizjologicznymi względami, ma on też swoje psychologiczne racje. Stefie samotnej, przy twardej trosce o byt dość trochę obłudnego uczucia pokazać — a pójdzie na lep. Ja sam to już zauważyłem. Nie wielka sztuka nawet taką cmentarzową złościć! Leci sama w ogień i nic dziwnego. Jej zdawać się musi, że taki naprzykład Leon ofiarując się z pomocą szedł za pobudką serca, to ją ujęło — przy powtórnym spotkaniu patrzyłaby nań przychylnie, a następnie... twierzyła we wszystko co powie, nawet w miłość! Za młodą jest, za naiwną, by nie ulec załębieniu. Przejrzałaby zapewne po niewczasie, jakby ten wampir już wysał z niej młodość i krąse i rzucił, jak sprzęt niepotrzebny — bo tak się zwykle dzieje. Wtedy poznałaby dopiero, że owa miłość co

„...do buduarów na miękkie wezłowia
Zda się na skrzydłach archanielskich splotać
Rozkoszne nieci sny, ponętne mrowia,
Odechodzi zeicha, gdy zaczniesz omdlewać!
Lecz nie śmie nigdy godzić arogancko
W piersi, zakryte koronką brabancką...”

że ta miłość, jeśli się wspina na trzecie piętra i puka do mansardów szwaczek, to sprowadza wybraną przez pięknie umeblowane apartamenta wprawdzie, ale w... błoto!

— Piszę ciągle *miłość! miłość!* Nasi praojcowie uczciwie żyjąc nie ukuli na to specjalnego wyraże-

nia, ale obecne pokolenie powinno dla fonicznego określenia „potrzeby fizjologicznej” wynaleźć wyraz więcej *moderne!*

Zenon zawiadomił mię biletem o swym powrocie, prosząc abym zaszedł do niego. Mógł też choć parę słów dodać o Ostojni. Szkoda, że tak późno; poszedłbym jeszcze dzisiaj do niego. Jutro wstanę wcześniej i wpadnę przed godzinami biurami. Ciękaw jestem tych nowin, choć nie spodziewam się, aby były pocieszające.

Co u licha dzieje się ze mną? Robię wszystko z wysiłkiem, lecz nie zdaję sobie sprawy z tego szafunku sił własnych. Jak automat, jak automat... Właściwie to mi się nic nie chce, nic mię nie obchodzi — nawet ot! do pisania tych kartek wzięłem się dziś po raz pierwszy od trzech tygodni. Jakiś bezruch oładnął całem jestestwem. Wracam z biura — kładę się na łóżku i godzinami całami leżę bezmyślnie zapatrzony w sufit. Czasem zdaje mi się, że lecę w bezdnie niezgłębioną, że wiruję w odmetach próżni sam tylko! sam jeden! jak martwa bryła bez celu i pragnień i wtedy mi najlepiej. Czem-że jest ten zanik? czy to kielkująca już negacja życia, czy może owa metafizyczna eutanazja woli, ów stan doskonałej obojętności, co odrzuca wszelkie pożądanía od siebie!... Ale nie! nie! to musi być chwila anemja duchowa, przejściowa nieczułość. Poprosto sforsowałem umysł zbyt znacznie, molekuly mózgu nie wykonywują odruchów prawidłowo — nic więcej...

Tylko... dlaczego nawet w tym stanie martwoty i zobojętnienia nie może mię opuścić świadomość mej niemocy. Straszna świadomość! Wszystko ode mnie

odbiegło, rozpięło się w niebycie, pochłonięte bezwładnością, a ona w całej nagości staje przede mną, szarpie, że aż z bólu trzewia trzeszcza, wciska się pod czaszkę, świdruje, budzi uspioną pamięć istnienia... Wtedy... wtedy! owłada mną jakiś szal dzikiej rozpacz — jakby mi kto w żyły wściekliczny zastrzyknął! kasałbym mury, z kamieni lzy wyciskał, żeby tej bezsilności przeczyły.

To mię najwięcej wyczerpuje. Po takim buncie leżę czas jakiś jak kłoda, bezwładny, tylko głowa boli! bardzo boli!...

Dziś mi już znacznie spokojniej w duszy, a i apatja przemija, kiedy się do pisania wziąłem, ale w pierwszych dniach po bytności u Zenona, niewiele chyba brakowało, żebym się był do czubków dostał.

Co za bezmiar fatalizmu mieści się między dwoma słowami: *chcieć* i *móc*!

Po otrzymaniu owego biletu z zawiadomieniem, że Zenon wrócił, następnego dnia rankiem poszedłem do niego.

— „Pociesz się pan! interesy Ostojni ułożyły się wcale nieźle”. To były pierwsze jego słowa. Odetchnąłem, a on nuż opowiadać cały plan ratunkowy... Na jeden z folwarków znalazł się kupiec z wolnej ręki i transakcja dość korzystna przyszła do skutku — samą Ostojnię nabył Zenon... część gruntów rozparcelują, wierzycieli pilniejszych spłaca — a resztę będzie Ostojewicz dzierżawił... „Miałem jeszcze parę tysięcy rubli uskładanych — mówił — to się natarczywych wierzycieli zaspokoilo, inni odstąpili od sukhasy sami proponując prolongatę i mam nadzieję, że się zczasem zupełnie wyrobimy... a tymczasem chwała Bogu! cała burza zażegnana...”

Słuchałem osłupiały, powtarzając głośno za nim „chwała Bogu! chwała Bogu!” lecz w głębi

ocknęło się już zawistne porównanie: „a ty? a ty? czemu ty jesteś! co ty dla nich zrobił! z jakim teraz czołem staniesz przed nią?!” Cieszyć się musiałem, a czułem, że mię dławi sam widok tego człowieka... wydało mi się, że mię ubiegł podstępnie, że nie miał prawa do dobrego uczynku, który ja *chciałem* wykonać! Fiekielna! rozpaczliwa bolesć niemocy! — ból zęba w sercu — jak to powiedział Heine. Szarpało mną, miotało, a ja musiałem powtarzać: „Chwała Bogu! chwała Bogu!” Nie mogłem wyrzucić z siebie piekielnego żalu — nie mogłem otworzyć krzyknąć: „Zasię! to do mnie należy! Po co się wdarłeś w moje prawa! po co uprzędziłeś moje chęci?! Lam ci odstępnę, jakiego zażadasz, tylko niech ten czyn do mnie... do mnie należy! niech ratunek z mojej przyjdzie ręki!”

O! i dałbym mu odstępnę — dał bez targu. Ale ja tego powiedzieć nie mogłem, nie mogłem! bo stała mi równocześnie przed oczyma cała moja bieda... odczułem krępujące więzy ubóstwa, co pozbawiają nawet możności zrobienia komuś „dobrze”... Nie zazdrościłem ludziom bogactw nigdy, ale wtenczas, wypróbłm wszystkie ścieżki z siebie, gdyby się w złoto zmienić mogły — płaciłbym był chwilami życia za każdy banknot, krwią serdeczną podpisywał rewersa, byle mu dać... odstępnę! byle dać!

Zenon spostrzegł moje zmieszanie, lecz przypisywał je zapewne radosnemu wzruszeniu, nie domyślając się, że całe piekło harcuje mi w duszy. Wymówiłem się, że mi pilno do biura i jak oszalały wybiegłem. Same nogi zaniósły mię do kantoru. Na biurku zastałem parę listów, na które miałem wygotować odpowiedzi — ale pracować nie mogłem. W uszach mi brzmiało: „czemu ty jesteś! czemu? po co twoje wysiłki! tobie *chcieć* nie wolno! ty *chcieć* nie możesz!” — a w oczach stał uśmiechnięty Ze-

non! triumfator! Wyszedłem do domu, kazawszy woźnemu zameldować, że jestem chory. Nie kłamałem — byłem chory istotnie. W nocy miałem gorączkę, majaczyłem. Tak — majaczyłem, a jednak to gorączkowe przywidzenie — dziwna rzecz! do dziś pamiętam, jakby myśl zdrową... Zdawało mi się, że jestem w Ostojni... Cichy wieczór letni. Ciepły wietrzyk przynosił z pól odgłosy wracających z roboty żenców... Wicunia siedzi na darniowej ławce pod rozłożystą lipą, a ja klęczę u stóp jej, rozpowiadam o swoich widokach na przyszłość, snuję różową tkanekę pomyślnego bytu... szczęśliwy! Ona liğlarnie przymruża piwne oczęta, alabastrową rękę kładzie mi na rozpalone czoło i półzartem pyta: — „A kiedy to będzie? kiedy? panie Antoni!...” Udaję obrażonego tą niewiarą. — „Czegobym ja dla ciebie nie dokazał, kochanie moje — szepczę. — Wszystko zwalczę, przezwyciężę a tobie gołąbko! gniazdko z puchów uścielę! uścielę...” Wicia nachyla się ku mnie, złotą główkę do mojej skroni przyciska... „Mój ty drogi! mój jedyny!” — szczebiocze..

Rozkoszny sen po strasznej jawie pokrzepił mię o tyle, że zwlokłem się z łóżka i poszedłem do biura. Tak było przez dni kilka; wkońcu czy nerwy stępsiały, czy złojeźniałem, bo przychodziły już chwile równowagi umysłowej, cichła walka wewnętrzna, a w miejsce jej wstępował głuchy spokój nieczułości, kamienna rezygnacja niemocy, zmysłowe obezwładnienie. Ale ta bólaćzka tkwiła we mnie, tkwiła, i tkwi dotąd... Eoję się jej dotknąć, bo zaraz szarpie, gniecie, dech tamuje, za gardło ściska...

A jaki się złoźnik zrobił ze mnie! Wszystko mi drażni, gniewa... a śmiech najbardziej. Kiedyś wbiegła do mnie Stefa, wesola, uśmiechnięta; przyszła podzielić się wiadomością, że trafiło jej się korzystne szycie... Wręcz powiedziałem jej żeby sobie

precz poszła! Co mnie jej szycie obchodził! głupia dziewczyna! odeszła natychmiast ze łzami w oczach. Nie widuję jej teraz zupełnie, herbatę piję u siebie, obraziła się na mnie. Mniejsza o to! pociesz się łatwo z jakim Werthauserem... Niepotrzebnie sobie tylko głowę zaprzątałem. Co mi do tego! Pocierpi! albo to ja nie cierpię? Może to okrutnie z mej strony pastwić się nad nią — ale co na to poradzić? Nie mogę zmusić się do udawania, nie mógłbym zdobyć się po raz drugi na takie „Chwała Bogu!” — jak u Zenona...

Także się z listem wybrała w porę! Ja już uspiłem w sobie żal, przeczekałem ból, a Marynia nie miała nic lepszego do roboty — jak rozpisywać się o „szlachetnym postępku” Zenona! Znowu się we mnie żółć rozlała... To darmo! już mi inaczej myśleć nie sędzono. Na zimno powtarzam sobie po tysiąc razy: „Szalenciec jesteś! zamiast się cieszyć, że ci drogich z biedy wyrwano — ty się gryziesz urojonem widmem, trujesz zazdrością...” ale niechno coś przypomni mą... niemoc, psuję cały wątek spokojnego rozmowania i znowu pytam: „czemu nie ja? czemu nie ja!?...”

„W Ostojni — pisze — inne teraz zapanowało życie — pan Ostojewicz krząta się, jak za dawnych czasów — a oboje, ojciec i córka, nie mają dość słów wdzięczności dla Zenona za tę pomoc szlachetną... I ty, braciszku, powinieneś się cieszyć...”

— *Powiniennem się cieszyć... szlachetna pomoc!* prawda! prawda! wszystko to prawda — ale... Jacy oni muszą być wdzięczni Zenonowi i ona — i Wicia także. Czyż istotnie on coś tak wspaniałego zrobił?... Miał kilkanaście tysięcy rubli — to i cóż wielkiego, że je w ziemi ulokował! Nie ryzykuje nic przecie —

wie o tem. Pierwszy lepszy uczciwszy wierzyciel byłby tak samo postąpił... Przeceniają! przeceniają! to najzwyczajszy dobrze obmyślany interes. Ale oni mimo to są mu wdzięczni... a dla mnie nic! nic! I ona! i ona nawet... Czyż ja dla niej nie zrobiłem stokroć więcej? Mogłem wylegiwać się, nie myśląc o jutrze, a poszedłem w świat za kawałkiem chleba, służę... służę... i jak jeszcze służę!... Przyniesiono mi za cenę honoru lepszą posadę — zgodziłem się... Bóg świadkiem — nie dla siebie! nie! Czyż to niedość? Cóż ja mogę zresztą więcej! co?...

Ale ona o tem wszystkiem nie wie i nigdy wiedzieć nie będzie... Jak paser kryć muszę — na jaw wystawić nie mogę tych moich... moich skarg nawet!

Oj, Maryniu! Maryniu! żebyś ty wiedziała, jak ja się cieszę — zapiakałabyś rzewnemi łzami nade mną!

Już mi się ta *Werthauseriada* znudziła. Tygodnie upływają, a zmiany żadnej. Pisz i pisz! Teraz to nawet w niedzielę dłużej siedzę. Odrobić nie można. Jednego nie skończysz, drugie przysyła. Czy on mię tylko w pole nie wyprowadził, przyrzekając lepszą posadę, bo o owej *familijnej* sprawie nic jakoś nie słyhać, a Leonek sprzedaje jak dawniej „pożyczki na raty” i poćobno świetnie mu idzie.

A może ten stary lis chciał tylko wysondować, z jakich zasad człowiekiem ma do czynienia i urządził tę komedję zwierzeń?

Ale nie. Cóżby go zmuszało do tego? Najprawdopodobniej albo odłożono likwidację, wyczekując najcogocniejszej chwili, lub załatwano w inny sposób interesy Leona. Nie żałowałbym bynajmniej... chociaż przecie i to byłby dla mnie zawód w swoim rodzaju... Zabrudziłem się we własnem mniemaniu, go-

dząc się z projektami szajki, więc... więc mię teraz wyczekiwanie niepokoi. Z jednej strony pragnąłbym tej sprawy nie cotykać więcej, a z drugiej, no... gniewa mię przypuszczenie, że ten mądrała połaskotał mię obietnicą tylko — której może nigdy nie dotrzymać. Chciałbym raz skończyć z tą sprawą; tak czy owak — wszystko mi jedno, byle skończyć...

Ciekawym jednak, co on myśli dalej ze mną zrobić, bo jeśli sądzi, że będę do nieskończoności kontentował się siedemdziesięciu pięciu rublami w oczekiwaniu na gruszki na wierzbie, to się grubo omylił. Jak mię co podleci, to pierwszego lepszego poranku powiem mu: *adieu i finita la comedia!* Mam już po same uszy tych spanoszonych żydów! Tu widać do niczego nie cojdę, chociaż... Djabeł tam wie, co taki stary wyga myśli sobie, może ukartował co nowego? Starowczo wyróżnia mię z pomiędzy wszystkich urzędników, a cała wielebna familja Werthausera et comp. nadskakuje mi najwidoczniej. Muszę im jednak do czegoś być potrzebny, oni dla pięknych oczu nic nie robią... Taki *de Willdorf* wymógł na mnie słowo, że będę u niego w niedzielę na raucie; *Putz-firmer* częstuje mię przy spotkaniu cygarem; pani *Róża* zaprasza na „czwartki” (do tej pory nie korzystam z tego); tylko jeden *Leon* trzyma się nieco na utoczu. Od tej rewizyty spotkałem się z nim wszystkiego dwa razy i to na ulicy, zdaleka... widocznie stroni i unika bliższego zetknięcia. Może się obawia, żebym historii ze *Steią* nie napoczął? Jeśli tak — to ma rację — ja mu to i tak prędzej czy później przypomnę.

Na ten raut będę musiał iść. *De Willdorf* o tyle wyżej stoi od tych mechesów, że posiada formy towarzyskie.

A może tam jaka uchwała familijna zapadnie? kto wie?! Pójdę!...

Wiedziałem, że to długo nie potrwa. Już podczas tych ciężkich nocy brakowało mi jej i wyrzuciłem sobie popędliwość. Bo i cóż w samej rzeczy ona winna? co?

Wczoraj, wracając z biura spotkałem Stefę na schodach. Niosła w koszyku bułki na kolację. Zatrzymałem się, a i ona przystanęła. Stała tak chwilę trwożna ze spuszczonei oczyma, nie wiedząc co ma począć. Zrobiło mi się jakoś ckliwo koło serca. Podeszedłem ku niej pierwszy, ująłem za rączkę. Początkowo chciała się wyrwać i uciec ale był to tylko popęd chwilowy, bo zaraz zwróciła na mnie jasne spojrzenie i bojaźliwie spytała:

— Pan się na mnie nie gniewa? — głos jej się załamał. A ja: „Stefo! panno Stefo! to ja powinien o przebaczenie prosić! Daruj... byłem taki nieszczęśliwy...”

— Wiem... wiem! — szepnęła. — Wtenczas nie wiedziałam, ale teraz wiem. Pan chorował — a ja byłam natrętna... Nie mówmy już o tem. Tak chciałabym zapomnieć o wszystkim...

I ja chciałem i zapomniałem w tej chwili... Nie mówiliśmy o tem ani słowa więcej, a gdy wchodziłem do jej pokoiku, była już zgoda między nami, jak dawniej. Rozglądałem się ciekawie po stancyjce, witałem wzrokiem skromne sprzęty, jak dobrych, starych znajomych po długiej rozłące, a Stefa, nastawiając samowarek, opowiadała o każdej drobnostce, o każdej chwili minionej, wynurzała się z każdego uczynku, jak przed bratem rodzonym.

— Jak mię ten palec zabolął — mówiła — pamięta pan? cośmy to poszli do teatru... bałam się bardzo, że mi w magazynie robotę odbiorą... Tyle dziewcząt teraz zgłasza się... Ale nie. Wyzdrowiałam, idę — a pani powiada „mam tu dla panienki dobry obstalunek” i daje mi do upięcia kilka balo-

wych staników... bo ja już teraz upinam proszę panna. Jeden to jeszcze jest u mnie. Jutro wykończę. A wie pan dla kogo?

Wzruszyłem ramionami — choć zaświtało mi w głowie, że to może... Leon...

— Dla kuzynki pańskiego przyjaciela — trzepotała. — Ten pan sam zamówił robotę, i prosił pani, żeby mnie ją oddać, bo bo... on mię zna... tak mówił.

Zarumieniła się przy tych słowach, bezwiednie.

— Ale to nieprawda panno... Stefo? On tu nie był więcej? — spytałem niemal surowo.

Spojrzała z wyrzutem.

— Pan się jeszcze gniewa — wyszeptwała po chwili. — Nie widziałam go więcej na oczy. Czy to co złego, że mi robotę przysłał? Przecie... wspominałam i o tem... a nic mi pan nie mówił. Byłabym wolała nie brać...

Na płacz jej się zbierało. Wyrządziłem jej przykrość niepotrzebnie, bo przecież złego nic się nie stało jeszcze, że jej roboty przysporzył. Chciałem ją ulagodzić więc mówię: „Et głupstwo! tak się tylko pytałem. Cóż może mi to szkodzić? Nawet się cieszę, że panna Stefa ma więcej roboty...” a ona w bek!

— Nieprawda! nieprawda! — jąka, łkając. — Pan się o to gniewa... pan może myśli... że ja...

Urwała i zasłoniwszy twarz rękoma wybiegła z pokoju. Ja za nią i nuż przepraszać, utulać. W głowę ją nawet pocałowałem, bo już nie wiedziałem, co robić — a żal mi jej było serdecznie. Przycichła wreszcie i wróciliśmy do porzuconej herbaty. Z początku nie kleiła nam się rozmowa, ale jak zacząłem pytać, zagadywać to o to, to o owo, tak się na nowo dziewczyna rozruszała i cała scena przeszła w niepamięć. Gwarzyliśmy tak w najlepszej komi-

tywie prawie do północy. Wychodząc spytałem półzartem:

— Tęskno też było beze mnie?

Nie odrzekła nic, przybladia tylko spoglądając tak jakoś dziwnie... łzawo — że wybiegłem co prędzej bo i mnie się w oczach mokro robiło!

Dziś napracowałem się, jak nigdy. Stary (tak go w biurze nazywają) kazał mi zreiterować cyrkularz do cukrowni. A co się przytem nagadał! Trzymał mnie jakie dwie godziny u siebie, objaśniając o co właściwie rzecz chodzi. Jemu się pewnie zdaje, że mnie djabelnie interesują jego geszetta, a ja koniec końcem z całej tej finansowej prelekcji szefa zrozumiałem tylko jedno, że... kowal zawinił a słuszarza powiesili. Ponieważ cukier spadł w cenie, należy zaprowadzić możliwe oszczędności, dla zrównania strat wynikłych z obniżenia się ceny — więc... przede wszystkim obciąć pensje oficjalistom fabrycznym... Ot! prawdziwie kupiecka filozofia! *plūd auri sacra fames!* W zleconych mi do napisania listach zawiadamiał bez ogródek zarządy cukrowni o swej decyzji, nadmieniając, iż niezadowoleni mogą sobie szukać chleba gdzie indziej. Gdy sobie wspomnę z jaką zimną krwią mówił mi o tem — jakby nigdy nic... to się jeszcze teraz wszystko we mnie burzy! Śmieszny jestem! cóż tego złotożerczego siępa obchodzić może los kilkudziesięciu rodzin, którym strawy uszczupla! Uratował dywidendę i będzie spał spokojnie.

Przyjdzie mi chyba przeprowadzić się na Grzybów lub Nalewki, jak będę wszystkim kuzynom i kuzynkom czcigodnego prezesa wizyty składać —

bo stąd stanowczo za daleko! za dużo mi czasu te znajomości zabierają.

Zartuję sobie! Ale na serjo... co tym ludziom na mnie zależy, że mię całą siłą do swego grona ciągną. Czyżby zapraszali mię tylko, jak tego hrabiego z Podola *pour garnir le salon?* Gotów jestem zczasem wyjść na żydowskiego pieczeniara. Ale — prawda! ci moi wszystko jedzą! Czym ja kiedy przypuszczał, że będę musiał wizytować państwa Agatstein! a jednak będę musiał — bo znalazłem dzisiaj ich bilet w puszcze...

Łicho nadało cały raut u Willdorfów! Szkoda. Trzeba się było wymówić, ale stało się — trudno — na drugi raz będę ostrożniejszym.

Dziwny świat! dziwne obojęcie! Nawet lepsza francuska kokota nie ośmieliłaby się tak obcesowo postąpić... Siedzę przy młodej Werthauserowej, żonie Leona z domu Agatstein (także poważna firma bankierska), a ona ni stąd, ni zowąd pyta: „ma pan bilety wizytowe przy sobie”. Mówię: „mam”. — „Proszę mi pokazać...” — „Ciekawa pewnie jakim się herbem pieczętuję” — pomyślałem. Wyjmuję z portfela i doręczam jeden. — „Proszę o drugi” — mówi. Dałem, nie orientując się, do czego to zmierzają — a ona, stuknąwszy palcami w brystol, śmiejąc się szeptem:

— *C'est pour papa et pour maman...* Sama doręczę. Za drugą, *prawdziwą* — dodała ze śmiechem zadowolona z konceptu — bytnością, powitają pana rodzice moi już jak starego znajomego.

Nie wypadło oponować, wykrztusiłem więc „z całą przyjemnością służyć będę...” ale w duchu pomyślałem, że prędzej swoje ucho zobaczy. Tymczasem teraz widzę, że się od tego nie wykaraskam. Rewizytowali mię przeciel! a jakie wspaniałe bilety!

niby szyld sklepowy: *Bernard i Matylda Agatsteino-wie... dom bankierski*. Niema rady! zająć trzeba...

Dziwna rasa! Wciska się wszędzie — zagłębia jak klin w pień społeczeństwa, wpośród którego żyje, zespala pozornie, a w przekroju różni się zawsze od otaczającego ją miąższu. Z pod pokostu aryjskiej cywilizacji, z pod oglady salonowej przeziera zawsze natręctwo semity. Pocijowski handełes, wracający kilkakrotnie z pokorną natarczywością do drzwi, przez które go wyrzucano i plutokrata, słuchający z dobrą miną szykan „towarzystwa” — mimo różnicy socjalnej — walczą i zwyciężają jednakową bronią: arogancją i cierpliwością. To im daje siłę — lecz i wyodrębnia zarazem. Naczytałem się o asymilacji. Być może, chociaż... Korek tkwiący w szyjce butelki jedną z nią stanowił całość, mimo to korkiem być nie przestaje. Zresztą — nie wiem — jak tam jest gdzie indziej, lecz u nas być Żydem jest prosto łachem, tak jak być szewcem lub organistą — dlatego też ani zmiana wyznania, ani polor towarzyski, ani wykształcenie tego typu zawodowego nie zaciera ją.

Spostrzeżenie to zrobiłem na ostatniej wizycie u Willdorfów. Rozmawiano o wszystkim: o sztukach pięknych, o teatrze, o polityce, słowem o wszystkim, o czym w salonie gawędzić można, lecz bez większego zainteresowania się — dopiero, gdy stary Werthauser rozpoczął opowiadanie na temat operacyj giełdowych, rozmowa ożywiła się i wszyscy *en bloc* czynny wzięli w niej udział. Nie mówiąc już o Putzfirmmerze, który poprostu zapalał się wtrącając swoje zdanie, ale jakiś doktor medycyny, jakiś autor dzieł historycznych, artysta muzyk wreszcie — wszyscy z gruntowną znajomością przedmiotu rozbiegali poruszoną kwestję, robiąc wrażenie meklerów, tylko meklerów w rangach doktora, hi-

storyka i artysty. Ręczę za to, że ani odbudowanie Palestyny, ani żadna talmudyczna łamigłówka nie zajęłaby w takim stopniu tych panów. Nie jest to więc łączność ani plemienna ani wyznaniowa, lecz pobratymstwo wspólnego zawodu — majsterstwo grosza.

Rozpisałem się jak najzarliwszy antysemita, a w gruncie rzeczy muszę im przyznać rację. Dla nich irre zadania życia nie istnieją — bo się ich potrzeba nie wyrodziła — bogactwo otwiera im wszystkie drzwi, pozwala wchodzić wszędzie z podniesioną głową, stawiać nogę pewno na każdym szczeblu drabiny społecznej, uspołecznia ich w hierarchji towarzyskiej. Semita wkupić się musi do warstw, które go otaczają, jak czeladnik do cechu; z chwilą, gdy zdobywa „wkupne” wszystko przed nim stoi otworem — pieniądź przeto jest poniekąd dopełnieniem jego *ja*, daje mu całą wartość i siłę. To też nic dziwnego, że żądza bogactwa poprzedza u semitów wszystkie inne aspiracje i stanowi główne tło życiowych dążeń. Żyd bez pieniędzy — to śpiewak bez głosu; ideałem tenora jest górne C, semity posiadanie miliona, obadwaj pyszną się, gdy dosięgli celu i nic im już nie brakuje. Wątpię nawet — czy potrafią *chcieć* czego innego, bo i poco? skoro kupić mogą wszystko.

Taki Werthauser naprzykład kupił sobie nawet utytułowanego zięcia. Ciekawa figura ten *de Willdorf*! Zwyczaj „zjadacz chleba” — jednakże wolę go niż tę całą czerebę bankierowiczów. Przynajmniej śmiesznym nie jest — a z oczu mu widać, że kpi sobie z całego otoczenia. Żeby nie nadzieja posagu, którego przebiegły prezes do rąk dać mu nie chce — ręczę za to, że baron zamknąłby wszystkim kuzynkom żony drzwi przed nosem. — Jeśli to prawda, co utrzymuje jeden z badaczy, że małpa zna swoją

wyższość nad innymi zwierzętami i może to okazać, to zachowanie się *de Willdoria* względem rodziny żony ma coś małpiego w sobie... Kpi sobie bez ceremonji z nich, co chwila! ale bo i ma z czego.

Czyż może być coś pociesniejszego od takiej pani Róży deklamującej „Child-Herolda!” Istna parodja Muzy! Można było boki zrywać. Kosmopolitka, uwielbiająca Wenecję, wdychająca za Paryżem, utyskująca co chwila na tutejszy klimat, deklamuje... Child-Herolda z patosem ogródkowej bohaterki!

Baron trącał mię co chwila, powtarzając ironicznie: „Ile tu uczucia! ile uczucia!” a ja gryzłem wargi, aby nie parsknąć śmiechem. A jakieśmy sypnęli jej brawo! *Le Willdorf* nalegał — a robił to z taką powagą, że ja sam nie wiedziałem, czy kpi, czy o drogę pyta, aby raczyła jeszcze wypowiedzieć „Lirenkę”, lecz wymówiła się zmęczeniem.

Już to przyznać należy, iż z roli gościnnego gospodarza pan baron wywiązuje się znakomicie.

Odczytywałem swoje pamiętniki. Skąd się we mnie tyle pesymizmu wzięło? Do czego mię to doprowadzi? Jużć w czepku nie rodziłem się, ale jest tysiące istot nieszczęśliwszych ode mnie. Skąd płynie to niezadowolenie wewnętrzne? Mam swój kąt, mam co do ust włożyć, nie uczuвам niedostatku, a jednak dobrze mi nie jest. Nawet na ludzi narzekać nie mam prawa. Cóż mogę wymagać więcej! Zgłaszam się do *Werthausera* — koniec końcem daje mi posadę — otwiera dom i po swojemu okazuje przychylność... *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?*

Rozczarowania nie doznałem żadnego, będąc zgóry przygotowanym na to, że kogo los wplół w sprzchy koła, gdzie pieniądz panuje i rządzi, ten

dyć musi na lasce lepiej zaopatrzonych; a jednak, im chłodniej zastanawiam się nad swem położeniem, tem większa gorycz rozlewa się we mnie. Nie czując w rzeczywistości ciężaru pracy, stwarzam w umyśle pojęcia, co mi ją obrzydząją; każde wspomnienie tego co było, a minęło bezpowrotnie, przyczepia nowe ogniwo niesmaku do tego *dzisiaj*, budząc wstręt do walki o podobne *jutro*.

Miałoby to być instynktownem przecuciem, że mię spotka los kwoki wysiadującej puste jaja?

Wychodząc z biura, spotkałem *Putzfirmera*. Zaczepił mię, wszczynając rozmowę o pani Róży. Skąd mu to przyszło do głowy? Paplał dobre pół godziny o majątku, a wkońcu pożegnał słowami. *Frisch gewagt ist halb gewonnen...* „panie *Czarski*!”. Czyżby? Et głupstwo! *Werthausera* stać przecie na zięcia z mitrą! a zresztą taki *Leonek* nie dopuściłby nigdy do tego.

Zdaje mi się, że on szczerze życzy siostrze dogonnego celibatu, a mnie utopiłby w łyżce wody, gdyby mógł tylko. Ma pasję drażnić się ze mną — prawda, że i ja go bynajmniej nie oszczędzam. U *Agatsteinów* — (przedwczoraj złożyłem prawdziwą wizytę) podchodzi ku mnie, zapytując:

— Jak się panu podoba tualeta mej żony?

— Bardzo ładna.

— Wie pan czyje to dzieło?... pańskiej sąsiadki panny *Stefy*...

Ja na to bez namysłu: „radzę zmienić magazyn, tam może pana za drogą kosztować...”

Pozieleniał ze złości, ale już nie rzekł ani słowa i przez cały czas trzymał się na uboczu. Teraz

Stefie da może spokój — ale u starego będzie mi szyl buty jak dwa a dwa cztery.

Głupi Putziirmer ze swoim aforyzmem razem!

Te dwa dni zapłaciły mi sowicie za całe miesiące przeżytych trosk, tęsknoty i walk wewnętrznych.

Jeszcze do tej pory wydaje mi się, że to tylko „zachwycenie” — jedno z tych chwil półsnu, pół halucynacyjnej jawy, w której z najodleglejszych krańców możemy przywołać twarze i kształty ukochanych osób... *Ah se moun cor avié d'alo!* marzyłem nieraz z prowansalskim poetą — „gdyby me serce skrzydła miało...” — a tu nie trzeba było serca uskrzydlać! przyjechali wszyscy — wszyscy... Wicia, Ostojewicz, Marynia, szwagier — „całą paczką”! jak dawniej — jak za moich czasów! — „Przyjechali — ja ich widziałem, dwa dni, dwa całe dni byłem razem z nimi” — powtarzam po tysiąc razy — bo mi to wraca błogą świadomością, że tak było w istocie. A co ja wyprawiałem w biurze! kiedy komisjoner hotelowy przyniósł bilecik Maryni z lakonicznym „jesteśmy wszyscy!...” Inny człowiek wstąpił we mnie. Czuję, że i ja *jestem*, że myślę... tylko kroku postąpić nie mogłem, jakby mi nogi w ziemię wrosły, tak mię radość obezwładniła, a śmiałem się do siebie, jak dziecko.

Wziąłem od szefa kilkadziesiąt rubli *à conto* pensji i pociąłem do hotelu. Biegłem — niczem zając szczuły chartami, potraçałem przechodniów; oni patrzyli na mnie, jak na warjata. O mało nóg nie połamałem na schodach, tak mi było pilno. Kiedy wszedłem do numeru, to już naprawdę opuściła mię przytomność i żeby nie Marynia, co mię w objęcia pochwyciła — i nuż ścisnąć — byłbym im jak dłu-

gi do nog runął i szlochał, jak wędrowiec, gdy po latach rodzinne strzechy ujrzy, tak mi się w pierśsiach słodka jakaś żalność rozbujala. Słowa wymówić nie mogłem, tylko ścisnąłem im ręce nerwowo i dygotałem jak w febrze.

Milczeliśmy czas jakiś wszyscy — dopiero Ostojewicz pierwszy do mnie: „Przymizerniałeś nam pan nieco...” a Marynia: „bo też wy tu w mieście jadacie... pożał się Boże! przywiozłam ci wiejskiego masła...”

— Jestem trochę niezdrów — odpowiedziałem, żeby coś odpowiedzieć.

Na to Wicunia: „Widać miejskie powietrze panu nie służy, lepiej było na wsi... z... nami?...”

Znowu zatkało mi w gardle, a słowa na wargach zastygły, tylko w sercu tętniło: lepiej! lepiej! stokroć lepiej! Ło z wami! bo z tobą kochanie ty jedyne!

Uśmiechnąłem się z przymusem, aby łzy tłoczące się do oczu odpędzić, ale wątku do rozmowy znaleźć nie mogłem, tylko przykułem się do niej wzrokiem, żeby te anielskie rysy na zawsze w źrenice wtłoczyć.

Wymawiała mi później Marynia, krytykując poufnie zachowanie się wobec Wici, że bawiłem się w „mruczka...”

„Zamiast pannie dusery prawić — mówiła — to patrzyłeś tylko, jak w obrazek. Ani be ani me... któż to widział takie konkury! Czekales chyba żeby cię panna sama zaczęła! czy co? wstydzilibyś się doprawdy... sam nie wiesz czego chcesz! Ja mu spotkanie ułatwiam, pannę podwożę — a ten nic! Do czego cię to doprowadzi!?”

Miała może rację, ale ja się już nie przerobię. Zawsze mię przy spotkaniu z Wicią śmiałość opuszcza. Pamiętam, na tym balu, na którym pierwszy

raz ją ujrzałem... Prezentują mnie... a ja pary a ust nie puszczam, nawet na zwykły towarzyski komunał zdobyć się nie mogłem. Stałem jak słup i patrzę... patrzę... Musiałem mieć djabelnie głupią minę... dopiero, gdy muzyka zagrała walca, oprzytomniałem i poprosiłem o taniec...

Mój Boże! dwa lata już temu, a mnie się zdaje, że to wczoraj...

...Ma może rację Marynia, chociaż... i bez słów Wicia wie dobrze, że ją kocham nad życie! Ja jej to z oczu widzę, że wie... pocóż próżne słowa cędzić?... Kiedyś... zapewne musi przyjść do wyznania, nie obejdzie się bez tego... Wtedy to co innego! nie zabraknie mi odwagi, nie! serce na ustach położę i wołać będę „kocham! kocham!” bez końca, póki piersi z bezmiaru uczuć nie opróżnię...

Ale kiedy to będzie? kiedy?...

Wieczorem byliśmy wszyscy w teatrze, a później na kolacji u Brühla. Tak przeszedł dzień pierwszy. Umówiłem się, że punktualnie o dziewiątej przyjdę. Całą noc oka nie zmrużyłem — marząc czekałem rana. Ani mi się śniło iść do biura, zawiadomiłem prezesa, iż przyjść nie mogę, krzywił się pewnie stary... niech tam!... herbaty nawet w domu nie piłem. Wymknąłem się z mieszkania ukradkiem, chciałem uniknąć spotkania ze Stefą... mogła o coś spytać — a zawsze to drażliwa rzecz... Już o ósmej wartowałem pod hotelem.

Punktualnie o dziewiątej pukam do drzwi numeru. Siedzieli wszyscy przy śniadaniu.

„Oto herbata dla pana — mówi Wicia podsuwając mi szklankę. — Wiedziała, że się pan nie opóźni...” — Jak te kobiety umieją w zwykły na pozór frazes wpleść myśl uboczną, pełną słodkich domysłów... „...Wiedziała, że się nie opóźni!” Na łańcuchuby mię nie utrzymał!

Czy perora Mani poskutkowała, czy co... ale ja kiś śmielszy byłem.

Pamiętam, po śniadaniu wyruszyliśmy znów na ekspedycję sprawunkową. Podałem Wici ramię; Marynia szła obok. Kroczyłem dumny jak komandor maltański, za skarby Golkondy nie puściłbym tej rączki!...

Wchodzimy do jakiegoś magazynu. Wicia wybrała kapelusik, przymierza, naradzają się z Marynią, nagle zwraca ku mnie zarumienioną główkę i pyta:

„Panie Antoni! czy mi jest do twarzy? tylko proszę powiedzieć szczerze bez wykrętów, bo ja się na komplemencie poznam!...”

Coś mię podkusiło, powiadam „nie”, a Wicia szybko zdejmując kapelusik, że jej się złote włoski powichrzyły, na to: „Tak... to nie kupię. Proszę wybrać według swego gustu. Panowie w Warszawie znają się trochę na tem...” — dodała z figlarnym uśmiechem.

Magazynierka znalazła się w kropce podsuwając kilka nowych fasonów. Wicia przymierzała jeden po drugim pytając: „a ten? a teraz?” a mnie się dziwnie przekomarzać zachciało, więc powtarzałem: „i w tym nieszczególnie... i w tym także...” Byłbym się tak certował bez końca, ale Mania zaczęła się już niecierpliwić więc ostatecznie zdecydowałem, że „najlepiej”, choć nie zupełnie dobrze w kapelusiku z białej słomki z makami polnemi... i targu dobito. Przystroiliła się zaraz i nuż! przeglądać się w zwierciadle, poprawiać wstążek... upinać... We mnie serce rosnęło — bo śliczną była w tej chwili jak nigdy... istna królowa wiochna!

...Aniśmy się spostrzegli, jak pora była wracać do hotelu na obiad. Spóźniliśmy się nawet, bo Ostojewicz ze szwagrem i Zenonem już od pół godziny

czekał w restauracji. Wicia, pokazując kapelusik, powtórzyła całą scenę w magazynie, rozumie się zwalając przy tej sposobności całą winę opóźnienia na mnie... Śmiał się stary, nazywając mnie komisjonerem, co za paniami pakunki nosi, a Zenon żartobliwie zauważył: „że to znów nie tak ciężka praca”.

Po obiedzie Zenon zaproponował zwiedzenie wystawy sztuki pięknych. Teraz on odgrywał rolę *cicerona*. W samej rzeczy zna się na malarstwie, podobno sam nawet nieźle maluje. Recytował, jak z nut, tłumaczył zalety pędzla, wybierał dogodny punkt do obserwacji, jednym słowem popisывał się z erudycją. Ale co mię to obchodzić mogło! dziś przypominał sobie jego słowa, lecz wtedy poprostu słuchając nie słyszałem! Także mię dużo zajmowały, koloryty, cienie, półtony, refleksy... Miałem przy boku obrazek, którego bym za wszystkie Rafaela, Rubense, Van Dycki nie oddał!

Pamiętam jednak... o bo ja wszystko pamiętam! cały kalendarz z tych dwóch dni mam w sercu, podszliśmy do małego obrazka zatytułowanego: „Kwiat paproci”.

Dziwnie poetyczny pomysł!

...Noc. Błady promień księżyca dzierzga konary leśnej puszczy. Czuć tajemniczą głuszę. W głębi, oparty o zrab skalny, pokryty mchem i wrzosem, stoi męczyzna. Przysłonił dłonią oczy i patrzy w zachwycie. Naprzeciw kępa olbrzymich paproci, z niej wypływa w mgieł welonie postać kobieca... Cudnie piękne, rzeziemskie rysy stworzył artysta!

— „Ach! jakie to śliczne!” — szepnęła Wicunia. „I prawdziwe...” odpowiedziałem.

...Zadatkowałem pokryjому obraz, jutro dopłać i wyśle do Ostojni...

Na wystawie zeszło nam prawie do czwartej. Jak ten czas szybko zleciał! Ostojewicz z Zenonem

poszli do reagenta załatwić jeszcze jakieś formalności prawne, dotyczące Ostojni, ja z paniami i ze szwagrem wróciłem do hotelu. Trzeba było pakować się do drogi, bo o ósmej pociąg odchodził. Zrobiło nam się jakoś nijako, nawet szwagier, najmniej wrażliwy, stracił na humorze. Mówiliśmy mało, spoglądając z pod oka na siebie, i wystarczyłoby chyba jednej lzy, żęły wszyscy ryknęli płaczem, chodziło tylko o to kto pierwszy zacznie. Staralem trzymać się ostro, ale mię tak ścisnęło, jakby mi kto klatkę piersiową powrozem krępował. Nadeszła nareszcie chwila rozstania — służba zaczęła wynosić pakunki — zaszedł hotelowy omnibus. Rzuciłem się Maryni na szyję... Et beksa ze mnie poprostu. Chlipałem, lykając lzy, jak dzieciak na pokucie. Ale i Ostojewicza rozetnęło. Nadrabiał fantazją, pokręcał wasa, ale wargi drgały mu nerwowo, a gdy go całowałem w ramię, ujął mię za głowę i tak długo trzymał w objęciach drżący, wzruszony, nie mogąc słowa przemówić. Dopiero po chwili, trzymając mię jeszcze za rękę, niły wesolo, choć w głosie plątało się rozrzewnienie, zagaćnął: „A we święta zajrzysz do nas chłopcze! co? Nie zapomnij o starych znajomych... Wgórę głowa, panie Antoni...”

Co na to odrzekłem, nie pamiętam, prawdopodobnie nic, bo w tej chwili najżyźliwsze słowa skrzepić mnie nie mogły. Nie wiedziałem doprawdy, co się włoło mnie dzieje i zapewne ogłuszył mnie; ulezwłasrowolnił ten przykry moment rozstania; dziś dziwie się swej śmiałości, nie byłem chyba sobą, kiedy pochyliłem do Wicuni, chwyciłem za rączkę i do ust podniosłem... Wessałem się w różowe paluszki... nie cofnęła ręki, żadnym ruchem nie zdradziła, że ją ta natarczywość niepokoi, tylko aksamićną rzesą przysłoniła nieco oczęta i zakłopotana szęptała:

— Co pan wyprawiał! Kto to widział! Tak pan dziwnie patrzy, jak ten... samotnik na obrazku...

— Kwiatem paproci jesteś! czar-zieleń! skarbie mój jedyny! — pomyślałem, ale pomyślałem tylko, bo już z pierwszego uniesienia wyrwał mnie głos Ostojewicza:

— Dość tego! dość, dzieciaki! gotowiśmy się na pociąg spóźnić...

Stojący na uboczu Zenon podszedł również do Wici i z serdecznym „do widzenia, kuzynko”, uściśnął jej rękę. Nie miał bynajmniej miny zazdrosnego. Jak to jednak można uprzedzić się do ludzi! posądzałem go, a on zupełnie wybił sobie z głowy... Na stacji (odprowadziłem ich na kolej) druga serja uścisków, dopóki pociąg nie ruszył... tylko, że mnie już zupełnie obezwładniło, obecność nieznanomych włożyła pętlę konwenansu.

Pojechali! kiedy ja ich zobaczę? „Na święta...” albo ja wiem, co się ze mną do świąt stanie? Dziś czuję się pokrzepionym, silnym... ale dziś brzmi mi jeszcze w ustach serdeczne „do widzenia”, przyświeca księżycowa światłość, odbicie tych dwóch dni słonecznych, spędzonych z nimi... ale gdy się nic złota wspomnień wyprzedzie, gdy szarej doli żaden świetlany promyk nie rozświetli, albo ja wiem, co będzie? albo ja wiem?

Dziś wysłałem obraz do Ostojni.

Napadła mnie znowu manja rozumowania i brukuje po dawnemu umysł pytaniami „dlaczego? dlaczego?” Żeby to na wszystko odpowiedzieć można! ale gdzie tam! Na negację to się jeszcze zdobywam, lecz całe te dowodzenia, to diabeł krucha filozofia...

bańki mydlane, przyskające za dotknięciem rzeczywistości. Po licha mi zresztą łamigłówki filozoficzne! wiem czego chcę, a choćbym po tysiąc razy rozważał dlaczego, to mię do niczego nie doprowadzi. *Velle non discitur*, powiedział pono jeszcze Seneka — „nie uczymy się chcieć”. Ale skąd pochodzi takie oto chcenie, nie zaś inne? *Chcieć* to obowiązek, którym nas obarczono z chwilą przyjścia na świat. Czyż mamy posuwać się do winy, spełniając obowiązek? Nikt sam przecie siebie nie stworzył, nikt we własną pierś nie włożył odczuwanych pragnień, nikt nie kazał sobie jeść, ani zasypiać, nikt też nie może tych swoich powinności wewnętrznych wyrzucić bezkarnie na śmieci, ani własnej naturze krzyknąć z determinacją w ucho: „nie chcę!” A czyż miłość nie jest takim samym obowiązkiem względem natury, jak odżywianie się lub sen? Jeśli tak jest, a wątpić o tem nie można, czyż znajdzie się siła, mogąca wydrzeć z serca potrzebę kochania?

A jeżeli jej zaspokoić nie mogę, jeżeli to, co ukochałem, krąży tylko koło mnie, jak zwodnicze, niedoścignięte widmo... czy to także moja wina? Skąd mam czerpać siłę do spełnienia tego obowiązku? Czyż zwierzę przyprowadza sobie pazury, aby móc łup chwycić? czyż mu ich nie dano? Ja wiem, czego chcę, ale zarazem czuję ogrom niedostatku sił, oceniam nierówność wymiarów chęci i mocy, i sprawniejszym tego nazwać nie mogę. Bo... jeszcze raz pytam: dlaczego chęci moje skierowały mnie tam, nie gdzie indziej? Głodny, widzę czarę z ożywczym płynem, a za krótkie dano mi ramię, by ją ująć i do ust przybliżyć. Czemu jej nie podstawiono bliżej... czemu wreszcie ta czara migocze nam z oddali?... czyż nie byłoby znośniej nie widzieć jej wcale?

Mówią, że każdy ma prawo kochać... Szczególnie prawol co nie dopuszcza możliwości wyboru, taki

sam przywilej ma planeta biegnąca po wyznaczonej orbicie, lawina toczona własnym ciężarem w przepaść, kwiat puszczający pęki zieleni z wiosną... Czy kwiat może nie kwitnąć? czy mu wolno nie korzystać z tego prawa, jeśli istnieć pragnie?

Filantropja ubolewa nad upośledzonymi, dla których „natura przy wielkim stole przyrody nie zastawiła nakrycia”, a czyż nie stokroć godniejzymi są litości ci trawieni apetytem miłosnego piękna... Dla nich niema „przytułków” na powierzchni ziemi, po spokój... głębiej sięgnąć muszą.

...Nasiąknąłem pesymizmem, jak gąbka. Bo też niby kleszcz czepiło mi się pytanie: czy ty się swego szczęścia dobijesz? A jakie to okrutne pytanie, jeśli na niego nie można z wewnętrzną wiarą odpowiedzieć: *tak*.

Jednakowoż, szczęśliwy ten Zenon! chciałbym posiadać choć jeden atom chłodu. Taki człowiek wszystko w sobie zamrozić potrafi. Gdybym ja tak był na jego miejscu, miał wszelkie dane do stworzenia sobie ogniska szczęścia, upatrzył iskrę, co je rozplomienić miała, i gdyby mi tak cudza dłoń promyk zasłoniła, gryzłbym jak zwierzę do kości... a ten nic. Powiedział sobie to „nie dla mnie” i jeszcze dmucha, chucha, żęty iskierka blasku nie straciła, nie przogasła... Zaczynam powątpiewać, czy on ją istotnie kochał. Miał może jakiś ułamek miłości w sercu, więc go skruszył... szczęśliwiec! tylko, że jabym może nie szczęścia na takie szczęście nie zamienił. Djabełnie głupie życie chodzić z pustką w piersiach: już wolę ból, niż próżnię, bo daje chociaż nadzieję, że z czasem boleć przestanie.

Przy śniadaniu — wróciłem do dawnego trybu życia i znowu do Stefy chodzę na herbatę — spy-

tata mnie ile zarabiam. Skąd jej to przyszło do głowy? Nie widziałem potrzeby tajenia przed nią cyfry swych dochodów...

„Jaki pan szczęśliwy! — zawołała. — Żebym ja kiedy choć połowę tego miała!...” Ten naiwny wykrzyknik dał mi dużo do myślenia. Zacząłem obliczać...

Mieszkanie... opał... światło... skromne codzienne utrzymanie... dodawałem, odejmowałem, zawsze jeńro i to samo! Niepodobieństwo w tych warunkach nawet marzyć o tem... Onaby się zgodziła, wiem... ale nie miałbym sumienia skazywać jej na walkę z niedostatkiem... Coby to było za życiel wieczna troska o jutro, — nieustanna trwoga.

Trzeba czekać lepszych czasów. Żebym tak miał choć dwa tysiące rocznie, toby już jako tako urządzić się można! Cóż u licha! czyżby ten uniwersalny antydot na wszelkie braki, *praca* mnie jednego miał zawieść. Przecież słyszę naokół: X. dorobił się, Z. dorobił się, nawet szewc sąsiad dorobił się także, trzyna już dwóch czeladników, i codzienną nakręca im uszu, wpajając zamiłowanie do pracy, dlaczegóż ode mnie miałaby się ta cnota kardynalna odwrócić plecami? A taki Werthauser! czy nie wychwała się, że doszedł do majątku... *pracą*? Zbiera mię ochota zapytać go o *kolor* tej pracy... musiała biedaczka stracić cęć, poczernieć nieco, znosząc z różnych zakątków srebrniki...

Zaczynam wierzyć w skuteczność pracy, a właściwie nie muszę wierzyć. Tylko czy ta moja wiara koziołka kiedy nie wywinie? Jak się przeladuję nadzieją — gotówem zachorować na zwątpienie... A wtedy... wtedy, ku pokrzepieniu przyszłych pokoleń zacząć pisać poemat: „W kleszczach pracy” i zadedykuję go Werthauserowi. Mógłbym już dziś wyśpiewać pierwsze strofy:

...Praca, to śmiemy wyraz, moi państwo!
Obywatelskich praw używa wszędzie.
Ba! wszak od wieków już ją chrześcijaństwo
W onót kardynałnych pomieściło rzedzie...
Praca nie hańbi ducha — eja! nie brudzi...
A jakżeż ciężko mieszkać jej wśród ludzi!

Stary ma coś na wątrobie. Do kantoru wpada tylko jak po ogień, podpisze papiery i dalej! znowu na miasto. Zauważyłem to od dni kilku. Nawet go dawna sztywność opuściła, tylko rozdrażniony, że wszystkiemi porami złość tryska. Codzieln komuś za skórę zalezie. Wszyscy mają się zpyszna... pastwi się poprostu, wymyśla... grozi, że powyrzucza na bruk. Coś w tem jest. Wczoraj wpadł jak bomba, nuż przewracać papiery, szastać się przy mojem biurku. Już myślałem, że mię zahaczy, ale nie, tylko Fürchnagłowi się dostało. Dziś przyjechał Leon i konferowali ze sobą dobrą godzinę. Stary krzyczał, jak opętany. Może to ten nagniotek mu dolega?

Szczególna jednak rzecz, że ci moi koledzy nie biorą nic a nic do serca tych wrzasków i pogróżek. Nie umiałem sobie sformułować dlaczego, lecz ci potulni ludzie, uniżeni zwykle, śmieją się pod nosem z rozjątrzenia Werthausera i pokpiwają nawet. Taki Słowicz na przykład niemal, że się ciał z nim zęb za zęb. Poszło o jakieś rachunki węglarza, okazał się deficyt, czy coś takiego. Stary wściekły, obces na niego. „Ja panu dam! ja panu pokażę...” krzyczy, a Słowicz ani drgnie. To jeszcze bardziej rozwściekliło Werthausera. Porwał za książkę rachunkową, począł tłuc pięściami i darł się na cały głos:

— To jest nadużycie! to jest... ja do sądu oddam...

Wtedy porwał się Słowicz, jak nie wsiądzie na prezesa:

— Co pan sobie myślisz?! To mom obowiązkiem pilnować pańskiego agenta? Ja mam książki, to moja rzecz! kazałeś pan przeladowywać wagony, żeby na transporcie zaoszczędzić, a teraz masz do mnie pretensje, że cię powiernik orznął... Owszem, oddaj pan na drogę sądową... Chwylił książkę rachunkową i chciał wyjść z biura. Prezes zmiękł i do niego:

— Jaki z pana gorączka! daj pan książkę. Zapisać na *manco*, a tego lajdaka przepędzę na cztery wiatry! Dlaczegoś pan mi tego odrazu nie powiedział...

I wyniósł się do swego gabinetu, jakby nigdy nic, choć wszyscy słyszeli całą chryję. Słowicz także zasiadł spokojnie do biurka. Nic dziwnego, żal człowiekowi było kawałka chleba. Niema co mówić ładne stosunki! a widać nie pierwszy raz coś podobnego się przytrafia, bo kasjer szepnął mi na wychodnem w formie przyjacielskiej rady:

— Na naszego prezesa, to najlepszy sposób zaraz zgóry!...

Odebrałem list od Ostojewicza. Serdeczny poczytyw list... „...Zrobiłeś nam pan prawdziwą niespodziankę, przesyłając ten śliczny obrazek — pisze — Wicia jest zachwycona, zawiesiła go w swym pokoiku... a prosimy pamiętać o „świętach“, żeby się na obietnicy nie skończyło...” W liście znalazłem zasuszoną czworolistną koniczynę i karteczkę z dopiskiem Wicuni: *Za kwiat paproci, proszę przyjąć od... zawsze życzliwej W...*

Niechże mi ten kwiatek talizmanem szczęścia będzie! Zachowam go jako najcenniejszy amulet...

„W takim razie będziemy musieli obyc się bez pana...” — z temi słowy rozstali się ze mną. Zdaje

się, że to już jest początek końca mego stosunku z firmą Werthauserów. Nie myliłem się przypuszczając, że to Leonek tak truł starego. A przez jakiś czas byłem pewien, że owa *familijna* sprawa poszła w niepamięć. Teraz lada dzień mogę się spodziewać wypowiedzenia miejsca. A jakie oczy zrobił pan Prezes, gdy kategorycznie odpowiedziałem: nie! Był pewien, że wynalazł prostodusznego głuptasa większego, który będzie dlań kasztany wyciągał z ognia, co dla gruszek na wierzbie wejdzie w błoto po uszy, a on będzie śmiał się na brzegu, zacierając ręce! A jak oni mądrze wzięli się do rzeczy, jak starali się usidlić wszelkimi sposobami, bo te zaproszenia... rauty... to kokietowanie panią Różą... to tylko do tego zmierzało. A choćby nawet te zalecanki nie były złudzeniem! choćby... Z jakim czołem stanąlbym przed tym starcem — przed nią?

Wstydzę się samego siebie, że na chwilę godziłem się z tym projektem. Nie wiem co z tego wyniknie, ale Logu dziękuję, iż oprzytomniałem w porę. Mogłem się zblaznić na całe życie. Honoru nie wymyjesz najracjonalniejszym solizmatem, gdy się raz straci uszanowanie dla samego siebie, gdy to uczucie harde, nieugięte, to spotęgowane sumienie raz przez szarugę przewlecze, lez całego życia nie starczy na pokutę.

Ręczę za to, iż oni byli na serjo zdziwieni odmową. Byli pewni, matematycznie pewni... Staremu wydawało się może, iż mi zaszczyt czyni, obdarzając takim zaufaniem. Z jaką on to dumą tłumaczył: „Przejdziemy cały interes na pana, Leon wyjedzie zagranicę, ogłosi się upadłość, wtedy ułożymy się z wierzycielami, jak nam będzie najwygodniej, bo to już od nas zależeć będzie. Pan nic nie masz do stracenia, więc mu nic nie zabiora...” Piękne miałeś plany! ptaszku! niema co mówić. Dawniej chciał tyl-

ko przerobić mię na fikcyjnego wierzyciela, a teraz sądził, że lepiej będzie, gdy cały interes nabęde. Genjalny pomysł! cudzą skórą pokrywać *passiwa!*

Najbardziejzi Putzfirmer! Bawił się ze mną w dyplomataę. Przysyła w niedzielę liścik zapraszający. Idę, nie domyślając się, o co chodzi, bo mi ta cała sprawa już z głowy wywietrzała. Poczęstował cygarami, jak zwykle przytem wyprowadzając *geneclogię* „hawańską”. Byliśmy sami, bo Werthauserowie z Willdorlem nadeszli nieco później. Widocznie uradzono, że mię najpierw radca przygotowuje. Rozpoczął od zapewnienia, że żywi dla mnie prawdziwą *zyczliwość*.

— Jestem trochę fizjognomistą — mówił. — Na pierwszy rzut oka oceniam człowieka. Pan od pierwszego spotkania pozyskałeś moją sympatję...

Tknęło mię coś, że on tego bez kozery nie mówi — ale nie mogłem narazie wpaść na domysł, dlaczego mię ulepkim częstuje. Dopiero gdy rozpoczął prawić na temat majątku pani Róży i zrobił najwyraźniejszą aluzję, że gdybym miał *zasłużyć* się staremu, to... kto wie?... — przypomniało mi się dawniejsze *Irish gewagt ist halb gewonnen* i widziałem, jak na dłoni, że Putzfirmer objędzda mię, niby zająca w kotlinie, ale że jeszcze ładunku nie wystrzelił. Był pewny, że mię mile połachotał, zacierał ręce, a że postanowiłem nie zdradzić się z niczem, więc gdy Werthauserowie nadeszli, powitał ich z triumfującą miną. Stary wręcz przystąpił do interesu, kładąc również nacisk na to, że moje usługi bez nagrody nie zostaną; de Willdorf nie wtrącał się do rozmowy, tylko spoglądał ironicznie z pod oka... Przyznaję, że początkowo nie wiedziałem, jak się z tego zatrasku wydobyć. Eylem zrezygnowany odmówić, lecz w tej bolesnej rezygnacji płałało mi się bezlitosne pytanie: „a potem... a potem — co będziesz robił?” Męczyłem

umysł nad wynalezieniem wymijającej odpowiedzi. Napróżno; przyparto mię do muru... Chciałem przynajmniej wymówić się grzecznie, ale kiedy stary na moją uwagę, „że to się nie zgadza z mojem przekonaniem” — zawyrokował szorstko: „kto służy, nie powinien mieć przekonani” — wybuchnąłem.

Od słowa przyszło do słowa, Putzfirmier łapał się za głowę, wykrzykując:

— Pan nie rozumiesz własnego interesu! dalebóg nie rozumiesz! Cóż w tem straszego?... Co pan ryzykujesz?...

Stary pozieleniał ze złości, we mnie wrzało... Powtarzałem monotonna: „Nie! nie! nie! szukaj pan innych rąk do takiego interesu, moje za czyste...”

Byłem pewny, że ta afera skończy się rozstaniem na zawsze. Ale nie. De Willdorf zaczął mitygować, stary ochłodził, wybąknął nawet wkońcu coś w rodzaju przeproszenia. Putzfirmier ubolewał, że ich nie *pojąłem*, i ostatecznie szlachetny triumwirat zaopiniował: „w takim razie będziemy musieli obyć się bez pana”.

Jakoś do tej pory — nic. Prawda, że starego raz tylko widziałem w tym tygodniu, ale zmiany żadnej nie uczuвам. Zасыpuje mię tylko robotą. Odrobić się nie mogę. Czyżby chciał w ten sposób zmusić mię do porzucenia biura? Musi go jednak coś kępować, bo inaczej samby mi z pewnością po tem, co zaszło między nami, wymówił miejsce. Niechybnie obawia się, żebym tej familijnej sprawy nie roztrąbił po mieście, i to go wstrzymuje.

Bądź-co-bądź, przewiduję, że ja tam długo popasać nie będę.

Leon zbankrutował.

Codziem dowiaduję się nowych szczegółów bankructwa. Całe miasto o tem tylko mówi. Podobno ów hrabia podolski wyręczył mię w tem szel... Mówił mi o tem pod sekretem Słowicz. W kantorze wszystko wiedzą, ale milczą, a jeśli który coś szepnie, to w największej tajemnicy, żeby nie doszło przypadkiem do prezesa. Słowicz najśmielszy, więc się czasem z czemś wygada.

Więc to pan hrabia zdecydował się grać rolę fikcyjnego wierzyciela. Może weźmie „premię wywozową” od horroru w postaci rączki pani Róży... Winsztuje... ale nie zazdrośczył! Jednakże do czego to ludzi skłonić można. Jak sobie wspomnę teraz, że to ja miałem być na jego miejscu, to mię ciarki przechodzą. A jednak mało brakowało... Całe szczęście, że się ta sprawa przewlekła. Jeszcze teraz mam wrażenie, jakbym spadł w przepaść, z której wyszedłem wprawdzie cało, ale zaszargany... Nawet wyobrazić sobie nie mogę, co by to było ze mną, gdybym tak istotnie splamiał ręce tem paskudztwem! Br! przyszłoby sobie w łeb strzelić. Nie śmiałbym ludziom w oczy spojrzeć!

A tym nic.

Leonek chodzi wyelegantowany po ulicach, a w domu to może jeszcze kondolencje od znajomych odbiera. Tylko do biura nie zachodzi, bo tam podobno istnie pikło! obłężenie! Schodzą się biedni ludziska, wymyślają, złorzeczą... Niejeden może ostatnią krwawicę oddał. Stefa opowiadała, że nasz współlokator szewc także utopił spory fundusik w „premiówkach na raty” i teraz rwie włosy z rozpacz. Nie chciałem jej powiedzieć, że to właściwie ów dobrodziej, co jej obiecywał „obmyślić fundusik”, tak pięknie wykwiłtował pana majstra. Poco wznawiać tę kwestję niepotrzebnie: mam nadzieję, że Leonek nie pokaże się

u niej więcej. Przecież i bezczelność musi mieć granice!

Mecenas Putzfirmer (spotkałem go wczoraj, udał, że mię nie widzi) został syndykiem masy upadłości. Stary Werthauser przeprowadza układy z wierzycielami. Dobrana para! wyobrażam sobie, jak oskubią tych biedaków. Bo to sami biedacy; przeważnie klasa robotnicza, drobni rzemieślnicy, stróże, posłańcy publiczni; z takich można bezkarnie skórę ściągnąć. Niema obawy, aby który wystąpił na drogę karną, nie mają na to ani środków, ani czasu, wezmą co łaska, a główny wierzyciel, pan hrabia, zachęci ich jeszcze własnym przykładem do zgody. Świetnie obmyślana *plajta!* nie może się nie udać! Stary proponuje podobno trzydzieści za sto i koniec końców dobije targu, przystaną, bo z aktywów Leonka nie dostałoby im się nawet dwudziestu. To się nazywa zrobić dobry interes! I tacy Werthauserzy rozpowiadają później, że dorobili się... pracą! a ludzie kiwają na to potakująco głowami i nikt nie ma śmiałości zaprzeczyć.

A sławetna opinja? Et! sforsowałyby się zbytecznie, wygodniej na pochyłe drzewo skakać.

Niechno tak szlachcic z wioski wyleci, a który z wierzycieli z hipoteki spadnie... Gwałt na wielki dzwon! Bankrut, dewastator! grosz wdowi zagarnął! niema kalumnji, którejby nie rzucono. A tutaj... szal cicho! półgębkiem tylko gwarzą to i owo, lecz otwarcie nikt nie wystąpi, a kto wie, czy niejeden nie zazdrości Werthauserowi „dobrej głowy“.

Słyszałem na własne uszy, jak jeden z interesantów, rozmawiając z kasjerem, zapewniał, „że na tym interesie zarobią najmniej sto tysięcy rubli“. Mówił i z podziwem i z zazdrością zarazem, że mu białka krwią zaszły, tak łypał oczami, pewnie z żalu, że mu się jeszcze taka gratka nie trafiła.

Dziś wyczytałem w dziennikach w rubryce wiadomości osobistych, że szef znanej firmy *M. Werthauser* oliarował tysiąc rubli na „Przytulisko“ czy inny jakiś zakład dobroczynny... *Fein und nobel!*

I jakże tu takiego dobroczyńcę ganić!? Opinja wzięła już łapówkę, więc milczy. Nie dałbym trzech groszy za to, iż Werthauser nie dochrapie się kiedyś jakiego honorowego prezesostwa w której z naszych instytucyj filantropijnych. Śmiech pusty bierze — honor, filantropja i Werthauser!

I zrób tu takiemu co! Co za wyrafinowana przebiegłość, jaka liniezja sprytu. Lewą ręką zrabował biedaków na sto tysięcy, a prawą wtyka tysiąc — w zysku dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy i rozgłos filantropa. To też, niby całe miasto o tem mówi, ale ręczyć można, że się na ukradkowym gadaniu skończy. Tyle ich, co się nagadają.

Podobno to nie pierwsza sprawka starego. Przypominam sobie, że, jeszcze na wsi mieszkając, słyszałem o słynnym *bon môť* Werthausera. W początkowej finansowej karierze popierał go jeden z potentatów pieniężnych, i ile razy Werthauser zachwiał się w interesach, płacił zań długi. Otóż raz zawiadamia on protektora, że będzie musiał zwinąć interes, ale zarazem prosi, aby mu pozwolił „raz na prawdę zbankrutować, bo inaczej nigdy do pieniędzy nie dojdzie...“ Nie wiem, ile w tej wersji mieści się prawdy, ale że to na starego podobne, to fakt! A i Leonek nieodrodnym okazał się synalkiem godnego papy. Powinien być z niego zadwołony.

Doprawdy, można nabrać wstępu do pracy, widząc, na czym się ludzie *dorabiają*.

Mój ty Boże! iluby się to zgodziło mieć połowę, czwartą część tego, co taki Leon, ja sam... Masz tobie! przypomniała mi się Stefa. I ona tak samo do mnie mówiła: „jaki pan szczęśliwy! żebym choć po-

łową tego miała", ja podobnie o Werthauserze i tak w kółko... *Febris aurea!*

Dziwnie giętką bywa natura ludzka. Ja naprzykład, na wsi rwałem się do towarzystwa, godziny sam wysiedzieć nie mogłem, a teraz to unikam ludzi, żyję jak mizantrop w czterech ścianach i nie markoci mi się zupełnie. Całe towarzystwo — to ta biedna Stęfa, bo kolegów biurowych nie liczę; nie wdaję się z nimi poza biurem. Z Zenonem także rzadko się widuję. Jakoś mnie nie reży gwara słów ludzkich, nawykłem do samotności i najswobodniej mi, kiedy na tych kartach sam z sobą porozmawiam. Brakuje mi poprostu czegoś, jeśli choć słów paru nie skreślę.

Ile razy przyszedłem z biura więcej zmęczony i zasrałem bez tej pisaniny, to budziłem się w nocy, zupełnie tak jak wtedy, kiedy, dzieckiem będąc, nie zmówiłem wieczornego pacierza. A przecież do tych kart nie więzi mnie żadne radosne wspomnienie. Ot, nawyk! zwyczajny nawyk; lżej człowiekowi, jak we własnych troskach myślał pogrzebie...

To już ósmy miesiąc upływa od przyjazdu z Czarki. Ósmy miesiąc... nadziei i wyczekiwania na coś lepszego. Czy ja się aby nie przerachowałem z siłami? Prawdę mówiąc, to do tej pory stoję na miejscu, nie posunąłem się ani o krok naprzód, depczę, jak koń w kieracie wokół, a przestrzeń, oddzielająca mnie od celu, nie zmniejszyła się dotąd. Jako podróżny zbłąkany w leśnej gęstwinie, przebijam się naoslep, szukając drogi wyjścia, i wkońcu po trudzącej wędrowce znajdującej się na tym samym punkcie, z którego wyszedłem.

Chciałbym własną myśl skazać na bezrobocie. Wysiłam się, zataczam kręgi jak najszersze, pragnę

wznieść się marzeniem w krainę czarownych złudzeń, a ona wraca zawsze w ten zakątek mózgu, gdzie się troska zagnieździła, drażni, jątrzy, ugniata w bolączkę i wciąż jednym pulsuje pytaniem: co robić? którą drogą?

Co robić? a dlaczegoż właśnie potrzeba coś robić? Czy opłaci się szukać ostatkiem sił klucza do tajemniczej zagadki, która się życiem nazywa? Gdzie pewność, że jest jej rozwiązanie?

A może ja zawiele żądam od życia? Może, ale kto ocenieryzi noimę mych pragnień? kto mi w pierśsiach usadowił?

Nieraz tłumaczę sobie: poprzestań na tem, co masz. Złiera mnie wtedy ochota biec pędem, bez wytchnienia, do Ostojni, porwać Wicię, unieść ją na to poddasze — oto królestwo twoje — powiedzcieć — więcej ci dać nie mogę! króluj-że mi tutaj... śpiewaj, płaszyno serdeczna! ja ci się cały u nóg rozścielę, serce rozstrzępię i strzępami ścieżkę żywota pokryję, żebys stopek nie poraniała, przez pierś nagą wszystkie ciernie przewłckę, a tobie tylko same róże ostaną...

Ale gdy pomyślę sobie o tych przepisach i ustawach światowych, o tych wymaganiach siery, w której nam żyć sączono, jak wspomnę o tych drobnostkach codziennego bytowania, które mię obstąpią i skiępują, to pryska zaraz lantazja poetyczna i wynurza się, niby złowroga larwa rzeczywistości niemocy, oltrzynia rozpadlina, wyzłobiona wytworem i kształtowaniem się bytu gromad ludzkich, której ominąć nie można, a zasypać siedemdziesięciu pięciu rublami miesięcznej pensji niepodobna.

Ja wiem, że mi jej porywać nie potrzeba, że ten białowłosy starzec spytałby mię tylko: „możesz?” i oddał, z błogosławieństwem oddał, gdybym „tak” odpowiedział, a i ona poszłaby z ufnością, ale mi nie wolno zawieść tej ufności, bo ja nie mogę jeszcze

tego „tak” powiedzieć. Jeszcze... ale czy ono kiedy się skończy? Czy wolno mi ludzię się nadzieją, wplątać w tęczowe barwy marzeń cudze istnienie? cudze szczęście?

Czyż nie stokroć większy, boleśniejszy zawód zgotuję tym dwojgu drogich mi istot, jeśli kiedy przyjacie chwila, w której im będę musiał powiedzieć: „nie czekajcie! okłamałem siebie i was... Star-gałem siły w bezpowrotnej walce, snułem włókna pajęcze, w mniemaniu, że to przedza jedwabna na wspólne gniazdo szczęścia... budowałem zamki na lodzie...” Czyż nie godziwiej będzie przestać się ludzi i usunąć z drogi — głazem bezdusznym zostać, ale na uboczu... nie kaleczyć nóg innym przynajmniej!

Opoila mię Stefa herbatą i zaraz mię czarne myśli napastują. Już to parę razy zauważyłem. Jeszcze ja — co lubię pić mocną. Jak sobie tylko więcej pozwolę, zaraz wszystkie nerwy grają we mnie w minorowym tonie. Muszę się wystrzegać. Po jakiego djabła! samemu się rozstrajać, kiedy i tak brzęczę niby zardzewiała gitara. Kozpisałem się, jak zdeklarowany desperat. Skąd się zrodził nawet taki altruizm? Wyrzec się? A cóżbym ja robił w takim razie na tym świecie? Głupia idea! Niby to nawet w mojej mocy? A Zenon?... Pii ryba nie człowiek! Zresztą czy on ją tak kocha, jak ja? To wielkie pytanie!

Rozumiem, że Werthauser przyjął mię do biura, chcąc zadowolić hr. Z., od którego miałem list polecający; rozumiem, że później, pragnąc użyć mię do swych celów, okazywał nadzwyczajną życzliwość, — ale dlaczego teraz ni stąd ni zowąd ofiaruje mi tak korzystną posadę, tego dalibóg! pojąć nie mogę. Jednego tylko jestem pewien: że nie jest to z jego

strony chęć wynagrodzenia mej kilkumiesięcznej pracy. Tak, tego pewien jestem, gdyż w takim razie znalazłoby się wielu godniejszych ode mnie. Chyba, że chce mię się w delikatny sposób pozbyć. Najprawdopodobniej tak jest. Istotnie jestem jedynym wta-jemniczonym w przebieg *familijnej* sprawy czło-wiekiem — bo rodziny szefa, jako zainteresowanej, nie biorę w rachunek, a zawsze to niewygodnie mieć takiego świadka pod ręką. Nagadał mi komplimen-tów o „zdolnościach”, o „rzadkiej uczciwości, której złożyłem dowody”, ale koniec końców przecież w tę cnotliwą frazeologję wierzyć nie mogę i węsę jakiś ukryty powód, co go do tego skłania.

Tak mi coś mówi, że się nie mylę. Jak z rękawa wytrzasnąć posadę z pensją tysiąc pięćset rubli i przeznaczyć ją dla człowieka, z którym się nieprzy-jemny zatarg miało, tego nikt dla pięknych oczu jed-ynie nie robi. Tak, nie można pod tym względem mieć żadnej wątpliwości, to jest „rebocha” za mił-czenie, i chęć usunięcia mię z Warszawy. Jednego tylko nie rozumiem. Parę tygodni przeciążał mię ro-botą, zapewne w nadziei, że mu sam pewnego piękn-ego poranku podziękuję, skądże tak raptowna zmia-na trontu? Musiał nawet dostrzec, że się już niecier-pliwić zaczynam. Parę razy dałem mu to dość wy-raźnie do zrozumienia... i gdyby był poczekał jeszcze jaki miesiąc, byłby mię niechybnie do usunięcia się „na własne żądanie” zmusił. Mógł nawet w „moc dobrowolnej umowy” wymówić mi miejsce w każdej chwili. Czyżby osadził, że tak będzie bezpieczniej? że taki pan na bruku może ostatecznie, za dużo wie-dząc, za dużo powiedzieć? Dajmy na to, że nabrał tego przekonania, nawet przypuszczam po głębszym namyśle, że tak jest istotnie, to dlaczegoż u licha nie przyszło mu do głowy, skoro już nad tem roz-myślał, iż mu z tej strony właściwie nie może grozić

żadne niebezpieczeństwo. Wydając szczegóły bankructwa, wykrywając podstępność operacji, — musiałbym dodać: *quorum magna pars fui*, musiałbym zdradzić się z uprzednią świadomością przygotowanych planów. Wypadkowy bierny współudział zamykał mi usta. Że taki sprytny człowiek, jak pan szef, nie przyszedł po rozprawie do tegoż wniosku... ot, czego nie rozumiem.

Bo że to bajanie o uczciwości i uzdolnieniu jest tylko zwykłym pretekstem — to takt; pobudką istotną niespodziewanego awansu jest przedewszystkiem chęć usunięcia mnie z Warszawy, no i skaptowanie mego milczenia. Juścić nie przysiągłbym na to, boć coś tam i ta moja praca warta jest przecie, ale już to samo, że budziło się we mnie pytanie, czy nie godziwiej byłoby nie przyjmować tej posady, jeśli ona ma być poręczawczym za... paserstwem milczenia, wykazuje poniekąd, że domysły moje nie są znowu tak dalekie od prawdy.

Gdybym mógł mieć zupełną pewność... ha! choć mi się uśmiecha niezależniejszy byt, możebym zrezygnował, ale, prawdę powiedziawszy, poco mam na wszystko patrzeć przez zadymione szkła. Nie leży to nawet w moim interesie. Tak, jak jest... domysły tylko... łatwiejszy kompromis z własnym sumieniem. Zresztą Zenon mówił toż samo. Opowiedziałem mu mój zakulisowy stosunek z Werthausera mi, zamilczawszy jedynie, że była chwila, w której się na propozycje szefa zgadzałem. Otóż jemu nie wydaje się całkiem, aby terazniejszy fawor prezesa miał jakakolwiek łączność z tamtymi perypetjami. „Uważa pana za zdolnego, nic więcej... Jeśliby działał tu jeszcze jakiś wpływ uboczny, to może chęć przypodobania się pańskiemu protektorowi, hr. Z...” To jest zdanie Zenona.

Et! dam lepiej temu pokój. Doszedłbym wkońcu

do absurdum. *Memento vivere* nie zawsze da się przedystylować przez alembik bezwzględnej cnoty. To trudno! Ja już i tak na jakiegoś kwakra wyszedłem. Wczoraj wypłacono mi pensję. Wieczorem przychodzi szewc i ocnosi mi obstalowane kamaszki (popieram sąsiada, choć to partacz, ale pod jednym dachem mieszkamy)... Piące, a raptem przychodzi mi do głowy kombinacja, że może właśnie banknot, dany szewcowi za obuwie, jest ten sam, który on dał na premjówki. Jak mi się to czepiło, jak zacząłem wałkować w mózgowicy tę ideę prawdopodobieństwa, tak doszedłem wkońcu do przypuszczenia, że szewc buty mnie, a ja część pracy, odpowiadającej ich wartości, Werthauserowi — oddaliśmy za darmo...

To już na serio marzycielstwem traci! Trzeba się z tego otrząść — najszczytniejszą utopją niewielebym zwojował. Trzeba się łokciami rozeprzeć, chodząc wśród ludzi, inaczej guza nabiją. Za przekaz na lepsze „jutro” nawet bulki nie dostanie, a cóż robić, gdy się chce jeść dzisiaj... „za czub chwyć szczęście i nim przemienie dzierż należycie” śpiewa Heine, ja też go puszczam nie myślę. Kto zaręczyć może, że Werthauser nie rozmyśli by się, gdybym był z niego nie przystał. (Marzycielskie releksje to się na szczęście dopiero później rozbudziły). A tak trzyletni kontrakt mam w kieszeni, kłamka zapadła i za jaki tydzień jazda do cukrowni.

Właściwie to nie mam jeszcze dokładnego pojęcia o przyszłych obowiązkach. Na cukrownictwie znam się tyle, co wróbel na daktylach... ale co mi to osłatecznie szkodzi? Posada nie do odrzucenia, tyśiąc pięćset rubli stałej pensji i tantjema. Przywykłem już do skromnego życia. Jak dobrze pójdzie, to powinienem kilkaset rubli rocznie odłożyć. O, i odłożę z pewnością...

Tak to nagle spadło na mnie, że mi się zdaje, iż śnię tylko! Zaczynam wierzyć, że los obrócił się

ku mnie piękniejszą stroną swego oblicza. Tysiąc pięćset rubli! Słowo daję — w półtora roku takie sobie gniazdo uścielę, że aż miło! i o ptaszynę moją wtedy poproszę. Żadnych już przeszkód nie będzie, grosza z Ostojni nie potrzebuję, jaką taką wyprawkę — to i dość. Niema widać tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dreptałem osiem miesięcy po błocie, a teraz raptem mam grunt suchy pod nogami, bo stary cofnąć się już nie może. Kontrakt mam! trzyletni, urzędowy... Warszawy nie mam co żałować przykro mi będzie tylko rozstać się ze Stefą. Dobre stworzenie. Najlepiej nic jej nie powiem o wyjeździe, wyniosę się ukradkiem, dopiero z drogi list napiszę z pożegnaniem. Łęczę do niej czasem pisywał; zawsze to pocziwa dziewczyna, a lubiła mię szczerze. Na pamiątkę podaruję jej moje mebelki. Nietęgę to tam one, ale bądź-co-bądź pokażniejsze, niż jej. Za każdym przyjazdem do Warszawy zajrzę do niej. Prezes wspominał coś, że będę do niego co miesiąc ze szczegółowym raportem przyjeżdżał.

.....

No! to już za dwa dni trzeba będzie zabrać stąd Lary i Penaty. Dziś prezes wyluszczył mi dość jasno, na czym polegają obowiązki wice-administratora. Taką godność piastować będę. Główny nacisk kładł na utrzymaniu dobrych stosunków z plantatorami. Mam lustrować plantacje, sprawdzać, czy zakontraktowana przestrzeń jest obsiana; do mnie również należeć będzie główna kontrola nad dostawą i odbiorem buraków. Zdaje mi się, że to znów nie tak ciężka praca, a głównie cieszy mię, iż się raz przecie od tych przeklętych cyfr oderwę i godzinami przy biurku nie będę potrzebował wysiadywać. No i towarzystwo inne! co swoi, to swoi! jak człowiek zajdzie pod dach do jakiego szlagona, to sobie dawne czasy przypomni.

A główna rzecz, iż się raz przecie dochrapałem

tych „trepek szczęścia“, *Galoschen des Glückes*, jak powiada Niemiec. Jeszcze trochę się poczeka na te oszczędności, a później szast! prast! weselisko i będę z panią wice-administratorową po plantacjach jeździł.

Jaki tam jest ten Werthausser, to jest... ale ja mu chyba do śmierci wdzięczny będę...

Trzeba przypieczętować wspomnienia warszawskie. Ostatni wieczór. Tak mi pilno było, że już od rana spakowałem manatki, choć dopiero jutro południowym pociągiem wyjadę. Po drodze wpadnę do Maryni; prosiłem prezesa o dwudniowy urlop, zezwolił. Rozumie się, że Ostojni nie ominę... Dopieroż się ucieszą, jak im taką nowinę obwieszczę: Wice-administrator! Pożegnałem się ze wszystkimi, winiszowali mi awansu, bodaj że nawet szczerze. Taki de Willdorf istotnie mię polubił. „Trzymaj się pan ostro“, radził, gdy z pożegnalną wizytą zaszedłem, „czasem to się może co więcej da jeszcze zrobić dla pana... Proszę zawsze na mnie liczyć...“ Sza!aput, ale niezły człowiek. Z Zenonem się jeszcze jutro zobaczę; przyrzekł odprowadzić mię na kolej; chce dać listy do Ostojni.

A Steia... pocziwa Stefa!

Myslałem, że mi się uda po angielsku, nic nie mówiąc, wyjechać, byłbym ją listownie zawiadomił i pożegnał... Udzie tam! Czy się rządca wygadał, bo, płacąc komorne do końca miesiąca, powiedziałem, że dłużej mieszkać nie będę, czy też, ot tak sama się domyśliła, ale jak mię wzięła na spytki, tak się mimowoli wszystko wydało. Zbladła strasznie, a te chabry w oczach, to jej jakby mgłą zaszły. Hamowało się biedactwo, jak mogło, ale łyzy jej już na słowach śiadły, gdy pytała:

— To pan już do nas nigdy nie wróci?

Upewniałem ją, że co miesiąc będę przyjeżdżał do Warszawy i że zgóry zapraszam się do niej na herbatę... Niby się trochę uspokoiła, ale niebardzo dowierza. Jak ona to powiedziała: „czy pan aby będzie miał czas na to?” Juźci zawsze chwilę wolną znajdę. Biedactwo! nic jej przecie takiego nie wyświadczyłem, a przywiązała się do mnie naprawdę. Myślałem, że tych gratów nie przyjmie. Wahała się chwilę, ale wicocznie bała się urazić mię odmową, bo wkońcu wyszeptala:

— Dziękuję. Ustawię je w pokoiku. Kozetkę pod oknem... będzie mi się zdawać...

Nie dokończyła, obróciła się szybko, jak fruczka na palcach i wybiegła do siebie. Za chwilę wraca, trzymając coś osioniętego chusteczką. Domysliłem się, że mi jakiś *souvenir* przynosi.

Sliczna poduszeczka z białego atlasu z wyhaftowanym pękiem kwiatków i niezabudek. Bardzo ładna i estetycznie pomyślana robota, nawet ten napis w formie gałązki, ukryty nieco pod listkami bratków... „Od Stefy...”

Podala mi zakłopotana.

— Proszę przyjąć... Chciałam panu coś zrobić na „gwiazdkę...” ale, kiedy pan jedzie... Niebardzo to ładne, ale ja już lepiej nie umiem... Proszę przyjąć na...

— Na pamiątkę od dobrej Stefy! od siostrzyczki — dopowiedziałem, serdecznie uściskawszy jej rączki.

— Od siostrzyczki?... — podchwyciła. — Co też pan mówi? Od biednej dziewczyny, która panu serdecznie wdzięczna za wszystko dobre, co jej wyświadczyłeś. Teraz, to już nikogo nie będę miała na tym świecie, bo pan pojedzie i...

— Siostra przecież! — wyrwało mi się mimowolnie.

— Siostra! to wielka pani teraz... Jabym tam do niej nie poszła... bo...

Domysliłem się reszty... Biedne stworzenie! po nocach ślezczała nad podarkiem dla mnie. Zal mi jej serdecznie, bo to i zdrowia nie ma, słabe jak chucherko. Zdaje mi się, że na piersi zagrożona, a na tej maszynie kuć musi godzinami... Ot doła! sieroca doła prawdziwie!

Jak się ożenię, to powiem Wici wszystko i zaprosimy Stefę do siebie na kilka tygodni. Odpocznie, orzeźwi piersi świeżem powietrzem... Przecież Wicia nie będzie chyba zazdrosna. Nie boję się o to. Jak spojrzę na żonusię, to z oczu wyczyta, że one tylko na nią jedną mogły z miłością patrzeć!

Napisałem „jak się ożenię”. Mnie doprawdy wydaje się teraz, że to zaraz, tak za tydzień najdalej nastąpi... a tymczasem... jeszcze dużo wody upłynie. No! ale zawsze lepiej jest, niż było...

Co tam! wgórę głowa, panie Antoni! jutro hukniesz dryndziarzowi: „na kolej”, jakbyś mówił „wiesziesz Cezara i jego losy”. Którego to dziś mamy? Aha! 15-go listopada...

Zainstalowałem się na dobre i jakoś źle mi nie jest. Więcej swojsko, niż w mieście. Pan dyrektor (Brandeburczyk) traktował mię początkowo zgóry, z miłą aktora w piątym akcie, ale widocznie odebrał od Werthausera list, wyjaśniający moje stanowisko, bo teraz w inną dmie dudkę i dla rowego *Herr Kolege* jest uprzedzająco grzecznym. Właściwie to zależnym jestem od niego o tyle tylko, że odbywam rodzaj inspekcji po fabryce; co do stosunku z plantatorami w razie potrzeby mam się znosić bezpośrednio z prezesem. Obecnie nie mam wiele do roboty, bo dostawy już zakończone, kampanja w pełnym biegu. chodzę sobie przeto po fabryce i zapo-

znają się z „przemysłem krajowym”. Trzeba się bądźcie bądź co bądź obzajomić z cukrownictwem, choćby po łebkach; czasem może mi się to przydać. Do tej pory wiele rzeczy *c'est du grec pour moi*, ale bo też dopiero tydzień czasu, jak tu bawię.

Istotnie, że fortuna kołem się toczy. Naprzykład do mnie odwracała się dotąd plecami, a teraz raptem uśmiechniętem liczkami błyska... Zadowolony jestem zupełnie, a nawet nabieram ochoty do pracy. Nie taki djabeł straszny, jak go malują! Już zaczynam wierzyć, że się czegoś dobiję. Jedno tylko, z czego nie zdaję sobie jeszcze dokładniej sprawy, mąci mi spokój. Ot uprzedzenie, nic więcej, bo inaczej mych obaw nazwać nie mogę. Prostu uczuwać trwożę, żeby tego miejsca nie stracić. Ale dlaczegóż miałbym je stracić? niema żadnej dobrej racji, a zresztą wezmę na kiel i będę się trzymał rękami i nogami.

A co to była za radość w Ostojni, gdy im spałem z tak pocieszającą nowiną.

— A widzisz, a widzisz... — powtarzał co chwila, zacierając ręce Ostojewicz — mówiłem, że pracą ostatecznie do stanowiska dojść można. Dla młodych świat otwarty... Co innego ja stary, ale daj mi swoje lata, Antosiu, to zobaczysz jak się jeszcze zawinę...

Uściskałem go w ramię. Pocziwy stary! dużo o tej pracy można gadać, lecz mi to wtenczas w głowie nawet nie powstało, tylko Marynia to mię na serjo swym entuzjazmem irytowała. Aż mi wstyd było, jak zaczęła unosić się nad moją pracowitością, pilnością, wytrwałością i innymi zaletami, których ja sam w sobie dostrzec jakoś nie mogłem.

— Zobaczycie państwo — zapewniała z zupełnym przekonaniem w głosie — że Antos za rok, dwa, zostanie dyrektorem cukrowni...

— Daj Boże! daj Boże! — potakiwał Ostojewicz.

wicz. Mnie nie wypadało okazać powątpiewania, ale mi te pochwały i różowe nadzieje nie były na rękę. Nuż się co zmieni! nuż inny wiatr zawieje.

Wicia także była w siódmym niebie. Zarzuciła mię tysiącem pytań. Pamiętam po obiedzie (siedziałem z Marynią w Ostojni dzień cały) Wicia wybiegła do swego pokoiku. Mania zagaduje Ostojewicza i trąca mnie, dając znak, żebym skorzystał ze sposobności i porozmawiał z Wicią sam na sam. Wymknąłem się, uchylam drzwi zlekka, patrzę, a ona stoi ze złożonymi rączkami przed zawieszonym nad łóżkiem obrazkiem Matki Boskiej, jakby zatopiona w niemej modlitwie, a lzy na rzesach świecą... Dziwna błogość ogarnęła mię całego, zrodzona przeświadczeniem, że to o moje szczęście modlitwa... Chciałem się dyskretnie wycofać, lecz dostrzegłszy mię zwróciła się z uśmiechem, mówiąc:

— Proszę, proszę dalej...

W mgnieniu oka znalazłem się przy niej i nie wiem nawet, jak się to stało, ale chwyciłem ją w objęcia i jak szalony zacząłem obsypywać pocałunkami, a szeptać:

— Dziękuję! dziękuję! Świętości ty moja! Wiciu! Wiciu!

Była to chwila czarownego upojenia, coś, czego ani słowem wypowiedzieć, ani nawet myślą objąć nie można...

Wysunęła mi się z ramion zapłoniona, drżąca jak listek mimozy... A i mnie przez serce przebiegła lekliwość, wszystkie fibry zaczęły dygotać, czułem, iż tracę władzę nad sobą, że mię jakaś dziwna trwoża ogarnia. Całą świętość mojego serca włożyłem w te pocałunki, i tylko na ustach drgało jeszcze:

— Wiciu! Wiciu!

Ale jej oczy patrzyły tak słodko, taka z nich świetlana radość biła, że powoli ów lęk zanikał a poprzednie nadziejskie uniesienie w całej pełni wró-

cito. Znowu przysunąłem się ku niej, chwyciłem za rączkę i dłoń do pulsujących nerwowo warg przyłożyłem... Nie był to już pocałunek, ale uścisk, który stwarza ogniwo czystej, nieprzerwanej miłości, co dwie istoty na zawsze ze sobą jednoczy.

Żeby nie wćibiska Marynia, co się z triumfującą miną do pokoju wsunęła, przerywając nam chwilę rajskiej ekstazy, kto wie? czy nie miałbym dziś zaręczynowego pierścionka na rękę...

Marynia znalazła się dość sprytnie, bo juścić z naszych twarzy wyczytać mogła, że tu „coś” zaczęło, a jakby nigdy nic zaczęła rozmowę na obojętny temat, aby nam dać możliwość ochłonięcia. Udałoby się jej to było zupełnie, gdyby nie to, że Wicia jakby z umysłu potraciła o strunę, która znowu musiała z serdecznym zabrzmieć dźwiękiem.

Naprzeciwko panińskiego łóżeczka wisiało to malowidło „Kwiat paproci”. Rozmawiamy w najlepsze o cukrowni; Mania paple a pod niebiosa wynosi, jakby była co najmniej członkiem syndykatu. Ja od czasu do czasu dorzucam słowo, gdy nagle Wicia ot tak ni z tego ni z owego, ukazując obraz, rzuca pytanie:

— Czy dobre miejsce obrałam? Może za dużo światła? *vis-à-vis* okna...

I zanim zdobyłem się na odpowiedź.

...Co rano jak tylko oczy otworzę, pierwsze spojrzenie moje pada na ten... ten... obrazek od... pana...

— Czy dlatego, że ode mnie? — wymknęło mi się z ust.

— Przecież słyszysz... chwyciła Marynia.

— I sam obrazek taki śliczny, patrząc, można marzyć godzinami całemi... tłumaczyła się, spłótnawszy, Wicia.

Zafaskotało mię w gardle.

— Ja mam także czarodziejski przedmiot...

drobny, malenki... ot tycił — mówiłem, ukazując na koniec palca. Na sercu go noszę, a nie tylko słodkie marzenia zsyła, lecz i szczęście przynosi...

Wydobyłem z portfela nalepioną na kawałku brystolu czterolistną koniczynę... i podniosłem do ust...

— Czy pani to poznaje?

Nachyliła się, spojrzała całą pełnią zrenic; dwie łzy przezyste, jak perelki rosy ożywczej, oderwały się z piwnych ocząt, porwała się szybko z krzesła i, jak spłoszona sarenka, wybiegła z pokoju...

...Dzwonią. To już *fajerabend*. Trzeba się przebrać i iść do dyrektora. *Herr Kolege* zaprosił na *szwajnfest*...

Nowi ludzie, nowe stosunki, nowa gałęź pracy absorbują mię zupełnie. Ot — dziś po paru tygodniach pierwszy raz znalazłem chwilkę czasu i dorwałem się pióra. Huk maszyn, świst pary, ruch gorączkowy robotników niezbyt usposabiają do marzeń. Trzeźwieje się w tym chaosie, ochota do refleksji odbiega. Nawet nie przypuszczałem nigdy, żeby mię cukrownictwo tak dalece zająć mogło...

Wstaję o szóstej rano i prawie z fabryki do wieczora nie wychodzę. Tyle, co na obiad. Działa tu do pewnego stopnia ambicja, bo chciałbym się ze wszystkim dokładnie zapoznać, niech sobie nie myślą, że za darmo będę chleb jadł. Ale i pociąga coś do tego ogniska ludzkiej pracy, nęcą mię żyłaste ręce robotników, pracujących w pocie czoła dwanaście godzin z rzędu, zadziwiał spokój, z jakim dolę swą znoszą, rozweselają żarty i śmiechy prostacze. Doprawdy, że wobec nich czuję się uposledzonym. Jabym tego nie potrafił, trułaby mię taka praca bez widoków lepszego jutra, gnębiłby fizyczny wysiłek, a bodaj, czy wytrzymałbym nawet, boć to nielada nakład mięśni i mięśniów ta praca fabryczna. Jaki to na-

przykład pyszny okaz filozofa w siermiędze taki Grzelka... Chłopak dwudziestokilkoletni, bardzo zdolny robotnik, gotuje na *vacuum*. Wdałem się z nim kiedyś w rozmowę...

— Ot — powiada — proszę Wielmożnego Pana, trzy lata już pracuję w fabryce. Zrazu to ciężko było się wezwyczać. Coraż straszny, a człek przywkl na powietrzu, ale teraz to mi już jedność. W koszuli od „aparatu” w największy mróz na dwór wylecę i nic. W pierwszym roku to dostałem w piersiach kłucia, byłem nawet w szpitalu ale chwała Bogu przeszło! Żeby tak ze sto papierków uskładać, toby już człowiekowi lżej było...

— A nacóż tobie sto papierków?... — spytałem.

— Przecie się trza żenić. Lata idą...

— A masz-że narzeczoną?

— Narzeczeni to ta jeszcze nie jesteśmy z Jagusią, ale wiemy o sobie...

— A ona nie ma wiana?

— Gdzie zaś! także w fabryce... pracuje na dyfuzji.

— A długo jeszcze czekać potrzeba, zanim te sto rubli zbierzesz? — spytałem.

— Może rok, może lepiej... Teraz po *fajerabendzie* gotuje, to się więcej zarabia, a i Jagusia także parę rubli już uzgarniała... Jak tylko na wesele starczy, to zaraz damy na zapowiedzie...

— A później?... — spytałem.

— Cóżby? Wielmożny panie! — odparł bez namysłu z niejakim zdziwieniem w głosie, że o coś podobnego pytać mogę. Później... będziemy dalej pracować w fabryce. We dwoje łatwiej już będzie.

Zaintrygował mnie stoicyzmem i skromnością wymagań. Ot, co się nazywa *chcieć* rozumnie. Takiemu nigdy ręce nie opadną. A przecież nawet w tej prostaczej naturze tkwi jedna potrzeba, ta właśnie, co granic nie zna, której w karby ująć nie można, co

się zaspokojenia kosztem największego wysiłku domaga: ten właściwy wszystkim tworam obowiązek — obowiązek miłości. Grzelka kocha Jagusię, wszystkie inne pragnienia mu nieznane, to jedno odczuwa, może „po swojemu” ale odczuwa i wyrzec się go nie jest w stanie. Miła mu: praca, trud, nie same przez się, lecz dlatego, że uważa je za środek, za drabinę, po której sięgnie po słodki owoc, co jego pragnienie ugasi... Szczęśliwy Grzela! szczęśliwy o tyle, że ma dość siły do wystrugania szczebli do tej drabiny... Sto rubli! ot wszystko, czego mu do osiągnięcia szczęścia potrzeba. Przynajmniej tak mu się wydaje... potem może się zbudzą inne żądania, ale na teraz w tej chłorskiej piersi jedna jedyna żądza kołacze. „Sto rubli i Jagusia moja!” powtarza sobie pewnie, stojąc przy rozpalonym aparacie, i nie czując uznojenia, i nie licząc spływających po twarzy kropel potu. Cdyby tak jednak wykraść temu chłopcu miłość z piersi? gdyby tam pustka szaleć zaczęła?...

Das ist eine alte Geschichte. W szylerowskim „Cłd i miłość” nawet cywilizacja nie zrobiła szczyby. Moja własna historia również prosta, jak Grzeli, a jak podobna, jak podobna! Cała różnica w skali życiowej, jemu sto rubli — mnie więcej potrzeba, lecz krańcowa suma zysku jednaka i zawód i boleść i następstwa, wszystko jednakowe, w razie chybienia celu. Płacimy *wszystkiem* co mamy, za *wszystko* czego nam potrzeba; jego sto rubli, warte tysięcy, które zdobyć zamierzam, a i zdobyte szczęście nie będzie chyba mniejszem od mego.

Mogę sobie powiedzieć, że się od biedy znam na cukrownictwie. Kiedyś dyrektor (niezłe Niemczy-sko) zadziwił się na serjo, gdy mu zrobiłem uwagę, że aparaty „wyparne” za dużo pochłaniają *direct-pary*, z czego wnioskowałem, że „luftpomp” (tu się

jeszcze wszystko z niemiecka nazywa) nie funkcjonują prawidłowo. Pokiwał głową znacząco, a gdy się okazało, że miałem rację, z nieudaniem zdziwieniem zawołał:

— *Herr Czariski! Sie kennen schon die Zuckerfabrikation ganz gut!*

Przyznaję, że mi i zdziwienie Niemca i wykrzyknik pochlebity. Tym nadsprejczykom wydaje się widać, że oni mają monopol na rozum, a nas, przynajmniej na punkcie przemysłu, uważają za istoty upośledzone.

Kampanja ukończona. Wydatek mieliśmy bardzo dobry. Werthausser powinien być zadowolony, a spodziewamy się go lada dzień. Pewnie przyjedzie, żeby raz ten zatarg z plantatorami skończyć. Łagodzę, jak umiem, ale bez ustępstw się nie obejdzie. To głupia historia! Nie wiem o ile mają rację, żądając podwyższenia ceny korca buraków, bo się w szczególności administracyjne nie wtajemniczałem, ale odbiór „na miarę” należy stanowczo skasować. To otwarte pole do przeróżnych nadużyć. Choćby ich nawet nie było, ludzie gadać będą. I sama forma kontraktów niedorzeczna.

Trzeba być głupcem, żeby nie pojąć całej perfidji tego naprzykład paragrafu: „plantujący obowiązany jest dostawić buraki na plac fabryczny, lub do składu i oddać na miarę fabryczną, której piąta część jest korcem, w razie jednak, gdyby tenże korzec nie ważył trzysta funtów, zarząd fabryki ma prawo skutecznie odbiór na wagę...”

Innemi słowy, zarząd fabryki jest panem położenia, i wybiera system odbioru według swego widzimisie, rządząc się względami większej korzyści. Wobec takiej umowy, daremną jest opozycja interesanta. A i sam odbiór *na miarę* ciekawy. Szlachcic

przysła kilkadziesiąt furmanek. Oficjalista fabryczny lustruje „na oko” wszystkie, następnie wybiera trzy lub cztery, (rozumie się te, które wydają mu się najmniejszych) i każe mierzyć. Dajmy na to, iż dostawca zadeklarował na każdej furmance po osiem korcy, a w odmierzonych brakło po ćwierci, otóż w tym wypadku na wszystkich pozostałych furmankach odtrąca się po ćwierci. Według zasad prostej sprawiedliwości i druga strona powinna korzystać z prawa wyboru równej ilości furmanek do miary, wówczas „przeciętna” mogłaby stanowić normę wartości całej dostawionej ilości. Nie praktykuje się to jednak nigdy. W razie jakiegokolwiek protestacji ze strony producenta, oficjalisci (zapewne z polecenia zarządu) trzymają się następującej metody: Każą przemierzać wszystkie furmanki. Zajmuje to tyle czasu, że szlachcic nie chcąc trzymać inwentarza przez dzień cały, gdy jeszcze ma kilka mil do folwarku, zrzeka się już wszystkiego i przystaje na fabryczny „szacunek”.

Ten paragraf stanowczo trzeba zmienić. Jest po prostu nieobyczajny i tylko zadrażnia wzajemne stosunki. Chociaż i z wagą bywają nadużycia, bo skądżeby się te superaty wzięły!

Sam schwytałem jednego z naszych oficjalistów „na składzie” na gorącym uczynku.

Kiedy przyjechałem do fabryki, dostawy były już prawie ukończone, tylko jeszcze jeden z większych plantatorów, w dodatku, jak się później przekonałem mój kolega szkolny, miał parę tysięcy korcy, które odwiózł na skład.

Jednego poranku wpada on zaperzony do dyrektora, i wykrzykuje, że go okradają. Dyrektor — rad zapewne, że się wywinąć może — umywa od wszystkiego ręce i odsyła go do mnie. Poznał mię odrazu a i ja jego.

— A, jak to dobrzel że na ciebie trafiłem —

z tymi Szwabami trudno dojść do końca. Wyobraź sobie — żali się — w mojej obecności kazałem ładować furmanki, miara rzetelna, z czubem!... a te bestje obcinają mi trzydzieści korcy na czterdziestu funarkach. To przecież przechodzi wszelkie pojęcie! Skórę z nas chcą ściągnąć! czy co? Jak cię Kocham, żeby nie ta zaliczka, której człowiek potrzebuje, plunąłbym na wszystko, tak mi już to ciągle użeranie się z nimi obmierzało... Bój się Boga! jedź i sprawdź...

Umówiłem się, że następnego dnia będę obecny przy ocłiorze jego buraków. Pojechałem do składu, a nie chcąc mu zatrzymywać długo turmanek, każę ważyć na centymalnej wadze. Ważę — szlachcic asystuje — istotnie na każdej turmance brakuje po kilkadziesiąt funtów. Cniemiał i jak zmyty pojechał do domu. Ja sam nie wiedziałem co o tem sądzić; przypuszczałem, że turmani w drodze skradli.

Wnioskując z widzianego przed chwilą faktu, zacząłem już nabierać przekonania, że większość zarzuców skierowanych przeciwko cukrowniom, o których dość często słyszałem — nie ma słusznej podstawy, gdy zbliżył się do mnie odbiorca tabryczny i, mrugnawszy iiluternie okiem, bez żenady powiada:

— Na takich panów — proszę pana inspektora (tak mi o. icjalisci tytułują) mamy sposób...

— Jako?

— Jak który chce ważyć, to na ten przykład, mamy funty *clowe* — tu wskazał na wagę... Choćby pękł! to się nie polapie i zawsze braknąć musi...

Mówiąc to zacierał ręce z ukontentowania, a mnie krew oblała.

— Więc i teraz?... — krzyknąłem.

— To się wie, panie inspektorze — bąknął zdetonowany nieco mojem oburzeniem.

— I pan mi to w oczy mówisz! — wybuchnąłem. — To jest najoczywistsza kradzież!

Zglupiał — zapewne nie spodziewał się czegoś podobnego usłyszeć. Zaczął się tłumaczyć... słuchać nie chciałem i na swoją odpowiedzialność wypowiedziałem mu miejsce, ale jak zaczął prosić, zasłaniać się żoną i dziećmi, tak mi się biedaka żal zrobiło.

— Co ja temu winien, panie inspektorze! — mówił przestraszony. — Pensja mała, żeby nie „superrata“, toły człowiek z rodziną nie miał co do ust włożyć...

Byłem między młotem a kowadłem. Ten człowiek najwidoczniej działał pod wpływem *moralnej instrukcji*... Pod kątem jego widzenia postępowanie takie musiało mu się wydać dobrem. Czy słusznem-by było karać go za to!...

Zapowiedziawszy surowo, aby się drugi raz czegoś podobnego nie ważył uczynić — napisałem do kolegi wyjaśniając, że waga źle funkcjonowała i że zadeklarowaną ilość buraków bez żadnych odtrąceń zaliczyłem na jego rachunek. W każdym razie to djabełnie niewygodna pozycja. Muszę to koniecznie przedstawić prezesowi i stanowczo tego rodzaju sprawy ukrócić.

Werthauser zasłabł i nie przyjedzie. Wezwał mię do Warszawy. Jutro jadę. Bardzo dobrze, wyluszczyć mu konieczność pewnych ustępstw, inaczej może nam kilkudziesięciu plantatorów odpaść. Jeśli znajdę chwilkę czasu, wpadnę do Steiry... Przyrzekłem jej solennie pisywać — ale dotąd to się jakoś na obietnicy skończyło...

Nie umiem sobie powiedzieć: dosyć. Jakby mię kto z tyłu popychał, szedłbym ciągle naprzód, naprzód... Żeby tylko nie przeciągnąć struny — bo, jak się nagle karta odwrócił... Teraz czepiłem się

tego wyjazdu do Brunszwiku, jak pijany płotu, i ani rusz! Zdaje mi się, że stanę na silniejszych podstawach, mając patent cukrowarski w kieszeni. Bezsprzecznie de Willdorf miał trochę racji, zachęcając mnie do kroku. Cóż zresztą wielkiego? Jeden semestr — parę miesięcy czasu, pieniądze koszta niewielkie, zwłaszcza, że Werthauser „wpisowe“ bierze na siebie... Bądź-co-bądź, jeśli już zamierzam w cukrownictwie szukać kariery, to się przyda trochę teoretycznej wiedzy.

La raison est optimiste en dépit de l'expérience — tak mówią... ale ja właściwie nic nie ryzykuję. Ostatecznie poradzę się w Ostojni. Co też oni na ten projekt powiedzą!

Werthauser istotnie polega na mojem zdaniu. Myślałem, że będzie oponował, gdy mu swój pogląd na kwestję z plantatorami przedstawiłem. Ale nie — zgodził się najzupełniej.

— Pan się lepiej ode mnie wtajemniczyłeś w tę sprawę — mówił. — Rob co uważasz za stosowne.

Przedstawiłem mu schemat nowych kontraktów, przystał — nawet na drobną podwyżkę ceny ostatecznie się zdecydował. Prawda, że go djabelnie przyparli do muru... O mały figiel, że do poważnego konfliktu nie przyszło. Mogła się plantacja o paręset morgów zmniejszyć, bo szlachta wzięta na kiel. Chwała Bogu, że się to jakoś załagodziło. Teraz obiedwie strony zadowolone, a mnie to ogromnie podniosło w oczach prezesa. Jak de Willdorf proponował, żebym w letnich miesiącach przyjechał do Brunszwiku na kursa, tak się prezes czepił tej myśli, że ani odstęp.

Powiada: „wpisowe biorę na siebie, jedź pan. Brak nam ludzi wykwalifikowanych w tym kierunku, musimy posiłkować się przybyszami, jedź pan, nic na tem nie stracisz...”

A może on ma już dosyć mego „inspektorstwa?”

i chce mię delikatnie wyforować... Chyba nie. Ot nadarzyła mu się sposobność okazania mi tanim kosztem swych względów i korzysta z niej. Będzie się może przechwalał, że popiera „siły krajowe...” ale co mi to szkodzić może? Bogiem a prawdą narzekać na prezesa nie mam prawa. Nie badając przyczyn, muszę przyznać, że zrobił dla mnie już tak wiele, iż powinienem dlań być wdzięcznym choć tyle co Stefa mnie za tę butelkę starego wina.

Jak się to biedactwo zmizerowało! kaszle i sypać nie może, a bledziutka jak trupek. Musiała ciężko chorować, lecz lekarz utrzymuje, że to tylko zwykła bezkrwistość. Uregulowałem rachunek szpitalny i kupiłem jej kilka butelek wina. To ją wzmocni, ale jeszcze, według opinji doktora, będzie musiała ze dwa tygodnie w szpitalu poleżeć.

A tak się rwie do pracy! tak jej pilno! z trudnością wybiłem jej z głowy, bo chciała zaraz „wypisać się”.

— Jabym tak chciała panu pokazać pokoik... — mówiła, a kaszel przerywał jej mowę co chwila. — Tak teraz ładnie. Kozetkę ustawiłam pod oknem, siaduję na niej o szarej godzinie i myślę o panu... A może ja już nigdy tam nie wrócę? w piersiach mię kłuje... Chciałabym dziś choć na chwilę tam zajrzeć... Zrobię herbaty... jak dawniej...

Oczy miała lez pełne, a na skroniach drgała nerwowa siatka błękitnych żyłek, które to bladły, to ciemniały naprzemian.

— Nie można! nie można, Stefo moja! — tłumaczyłem uspakajając. — Toby ci zaszkoziło, za tydzień, dwa najdalej wyzdrowiejesz.

Opuściła smutnie głowę...

— Wyzdrowieję? Na prawdę wyzdrowieję? Niech mi pan to jeszcze raz powtórzy, ja panu tylko wierzę... Tak mi się tu przykrzy, a przytem i roboty przepadnie... Dwa tygodnie jeszcze... Jabym tak

chciała dziś... dziś... później pana nie będzie. Wszystko mi już jedno... okryję się ciepło i pójdziemy zaraz... tam na trzecie piętro... Ładny... ładny... po-koik... później pana nie będzie...

— Przyjadę, przyjadę — zapewniałem biedaczkę. Kłamałem, chcąc ją uciszyć, uspokoić, bo już gorączkować zaczęła. Ujęła moją rękę w wychudłe paluszki, silnie zaciskając. Jakis uśmiech błogi przebiegł po rozpalonych ustach i zasnęła.

Lekarz utrzymuje, że kryzys już minął, ale jest wielkie osłabienie, wywołane brakiem krwi. „Musiała się źle odżywiać” zakonkludował. Wsunąłem mu kilka rubli, polecając Steię.

Biedne stworzenie! Trzeba będzie do niej parę słów napisać. Posłę jej moją fotografię, to jej zrobi przyjemność.

Zatem jadę. Zdecydowałem się ostatecznie. Zresztą wszyscy mi tak radzą — a Marynia to wprost spokoju mi nie daje. W każdym liście pisze: „jedź! jedź! bój się Boga, jedź!”

Wróciłem z Ostojni. Jak przyszło się rozsta-wać, popłakaliśmy się, jak dzieci. Jakbym na kraj świata jechał! Ostojewicz nadrabiał miną, mówiąc: „tylko się w jakiej Niemce nie zakochaj!” ale sta-rego rozebrało, że aż pobladł...

Jutro zdaję rachunki i wyjeżdżam. Trzeba ostat-ni atut wygrać, a później: basta! choćby obiecano nauczyć mię złoto robić — krokiem się nie ruszę. Dość! — tylko moje skarby zabiorę... i będę żył. Oj będę!

CZĘŚĆ II.

„Mówiono mi, że jest jednostką zdolną,
Że rozum mam... Więc rozum w pomoc wołam!
Daremnym trud! nic kochać nie podolałam,
Gdy ciebie już miłować nie jest wolno...
I świat mi dziś tak straszną pustką świeci —
A życie — tak marnym znakiem zapytania!
Iż dziwię się: czemu ciało się wzbrania
I w ducha ślad raz w nicłość nie uciecił...”

...Już chyba tydzień minął od chwili — jak prze-wieziono mię na wieś z tego... z tego... zakładu.

Mania! pocziwa Mania! utrzymuje, że mi jest znacznie lepiej, że *wszystko* już przeszło; lekarze zapewnili, że niebezpieczeństwo nie grozi, byle tylko unikać niepotrzebnych wzruszeń... Unikać!... paradni! jak? gdy przez głowę przesuwają się chaotycznie, wkółko wszystkie te bolesne wspomnienia, niby paciorki różańca w rękę żebraka — a w czaszce cięży, kłuje, jakby opiłki żelazne, nie mózg, mięsila.

W mawiają we mnie polepszenie — powtarzają ustawicznie: „lepiej ci! lepiej!” Im się tak istotnie wydawać musi.

Wyprowadzili ślepcę z ciemnicy na światło dzienne, odrzucili opaskę z wyciekłych źrenic i my-śla, że mu „lepiej” — gdy promyk świetlany słonecz-ny ciepłem w puste jamy oczne muśnie... Czyż nie było dlań stokroć większym szczęściem pozostać w ciemnicy, gdzie drgań ciepłika nie odczuwał? — bez tej strasznej świadomości kalectwa! Co po słoń-ku, błyszczącym dla innych! gdy jemu wieczysta ciemność na powiekach siadła.

I dla mnie zagasło wszystko! Poco oni w osleplą duszę rzucili promień światła? poco zbudzili z tego letargu? poco?

Gdyby tak Marynia dostrzegła, że się do pióra zabrałem i we wspomnieniach grzebię... zmyłaby mi

głowę dopiero! zmyła... a mnie dziwnie coś do tych szpargałów ciągnie. Byłem w błędzie, myśląc, że mi już nic na świecie nie obchodzi, gdy odnalazłem w kuferku te oto kartki... fotografuję... jej — i te listki... koniczyny... to mi się serce zabroczyło, ale... z radości. Jak to wszystko czas trawi i przeobrazi! papier pożółkł, fotografija zbladła... Bo też to dawno! dawno... rok — dwa — może dziesięć temu — nie pamiętam. Muszę się Maryni zapytać — przecież w rezultacie chciałbym się doliczyć, ile lat właściwie mam obecnie. Wyglądam na zgrzybiałego starca, ręce mi sztywnieją, palce skurcz chwyta, a twarz żółta, jak pergamin. Ona mi nie chce jeszcze wszystkiego opowiedzieć, jak to było... ale ja się dowiem... już nawet trochę sobie przypomniałem. Żeby nie to, że mi te wspomnienia biczuja, a w głowie zaraz huczy i kotłuje, bałwani się, niby wrzątek, a później piecze i szumi w skroniach, jakby mózg wyparowywał — to jabym bez niej wszystkiego się domyślił. Tylko nie mogę jeszcze, nie mam siły! w oczach zaraz zaczynają latać czerwone płatki, jakiś pomrok otacza mię całego i zasypiam. Jeszcze widać wszystkiego w tej głowie nie zreparowali!

Napędziłem strachu biednej Maryni. Jeszcze widzę ją, jak biegnie z rozwartymi rękoma pędem z ogrodu ku dworowi, krzycząc:

— Zaprzęgać! zaprzęgać! po doktora... pan Antoni zasłabł...

Niepotrzebnie tylko obstawili mię pijawkami, bo to było zwykłe omdlenie. Przerachowałem się z siłami, zatknąłem z bólu poprostu. Gdybym mógł był zapłakać, jedną łzę uronić, wiem, żeby do tego nie przyszło... ale mi wobec tej prawdy źrenice skołczyły... Przytem wyczerpało mię już przedtem to ciągłe udawanie przed Marynią spokoju — inaczej nie był-

bym z niej słowa wydobył, a tak uspokoiłem obawy i wygadała się siostrzyczka ze wszystkim.

Teraz wiem szczerą prawdę... prawdę — bo przecież takie kłamstwo okrutniejszemby było od najśrodszej rzeczywistości. Cóżby mi już gorszego spotkać mogło? Zresztą sam już zdołałem skołatana głowę pochwyć tę nić poplątanych wspomnień i wiem, niestety wiem, że to tak było. Marynia nie kłamała... Pamiętam... Byłem w Brunszwiku. Odebrałem telegram o śmierci Ostojewicza. Mimo najszczerzych chęci nie zdołałbym zdażyć na pogrzeb — napisałem tylko list do... do... Wicuni i pozostałem... Biedny stary! zatrul się oplakany stanem interesów... Parcelacja nie dopisała — widział ruinę i nie przetrzymał tego ciosu. Umarł prawie nagle — skreśliwszy krzepnącą ręką słów parę do Zenona... powierzał córkę jego opiece...

Tak mi mówiła Marynia... Czemuż wcześniej o tem nie wiedziałem.

Wróciłem do kraju i objąłem posadę w ukraińskiej cukrowni Werthausera. Wicia mieszkała już u dalekiej krewnej w Warszawie — a Ostojnią administrował Zenon. Widziałem ich oboje, wpadłszy na krótko do Warszawy. Wicia zmieniła się bardzo... przypisywałem to smutkowi po śmierci ojca...

Mój ty Boże! co to się w moich piersiach wówczas działo!

Później — później... wiem, że przeżywałem chwile radosnego niepokoju, liczyłem godziny, pozostałe do skończenia żałoby, poilem wyobraźnię rozkoszą tego momentu — gdy stanę przed nią — pochwycę, uniosę z tym krzykiem bezmiernego szczęścia. „Tyś moja! moja! na zawsze... na wieki!” — co go lat tyle w sercu więziłem... Nadszedł ów list nieszczęsny. I to ona sama pisała... Po co? przecież „między nami nic nie było...” Nic! że tam jej uśmiech sercem mi podrzucał, że piwne oczy wyssały duszę, że myśl do dziś

cośga się u stóp jej... cóż ona teraz winna? „Między nami nic nie było” na... piśmie, a dla... tamtego... została ostatnia wola nieboszczyka!

Czyżby on istotnie chciał tego, ten poczciwy, zacny... stary? Nie! nie! po tysiąc razy nie! To jakiś obłęd wdzięczności ogarnął sercem tej dziewczyny... Teraz to rozumiem — ale wtedy...

Wtedy...

Przypominam sobie — byłem właśnie w fabryce, stałem na galeryjce pierwszego piętra, wiodącej do filtrów i wydawałem jakieś zlecenia robotnikom... gdy nadszedł posłaniec fabryczny z poczty i wręczył mi ów list złowieszczy... Mówią o przecuciach! mną żadne nie targano.

Poznałem jej pismo — (ciekawy szczegół dla grafologa: duże wyraziste litery) pochwyliłem skwapliwie w rękę... i rozerwałem kopertę... rozkoszne mrowie ogarnęło mię całego... a potem... krew zastęgła, wzrok stężał, w mózgu wytatuowały się tylko te tak proste, a tak straszne wyrazy: „Wybacz... pan... to było złudzenie... powinnam... muszę uszanować wolę ojca... świętą mi jest...”

To były jej słowa.

Potem — nie wiem już co się stało... Tyle co od Maryni... Podobno rzuciłem się na ziemię, tarzając się, jak padalec, wijąc się z bólu... krzycząc w niebogłosość. Chciałem kasać, gryźć, rozbijać, dusić, rozrywać na ćwierci, i w tym szale, zanim zdołano mię pochwylić, spadłem z wysokości piętra, złamałem obojczyk i...

Lekarze utrzymywali, że to upadek z wysokości spowodował wstrząśnienie mózgu i przekrwienie...

Przez pierwsze trzy miesiące pobytu w szpitalu wpadłem w ponure milczenie — słowa ze mnie wydobyć nie mogli, tylko czasem nucilem pod nosem — opowiadała Marynia — tę piosenkę: „Między nami nic nie było...” Nie robiono wielkich nadziei — do-

piero po roku przejawiało się niejakić polepszenie, zacząłem rozmawiać, wybierałem się do fabryki — a o... niej... nie wspominałem już całkiem...

— „Później mieliśmy już wszelką nadzieję wyleczenia — wracałeś szybko do zdrowia. Łaska Boża! że się na tem skończyło. Straciłeś z życia dwa lata braciszku! — teraz zaczynasz żyć na nowo. Po większej próbie, Bóg zesłał pocieszenie...” — szczeniotała Marynia, a mnie już mdliło, gdy tych słów słuchałem — ale słuchałem...

Zdawało mi się, że się znowu zapadam w otchłań bezdenną, że mi się góry wałają na głowę i żywcem zasypują.

— Dwa lata!

Jak mi to powiedziała — opuściła mię reszta, wielkim wysiłkiem trzymanej na wodzy — krwi zimnej... zaczął się rwać wątek myśli, ogarnęło uczucie jakiegoś nadprzyrodzonego strachu i omdlałem...

Biedaczka! tak ją wystraszyłem! Wyrzuca sobie pewnie, że mi niepotrzebnie o tem wszystkim mówiła. Prędzej czy później byłbym się dowiedział. A tak... już po operacji. Bez usypiania się obyło — wytrzymałem, a że tam trochę w głowie zakotłowało, to nic... to przejdzie, przecież warjacji — jak gorzkiej śliny nie można wypluć odradu...

Lżej mi, iż wiem wszystko...

Oni mię jeszcze mają na oku... Lokaj Józef włóczy się, jak cień za mną... Myślą, że ja tego nie widzę... Niech tam! co mi to szkodzi?

Jednakże ja jeszcze zupełnie zdrow nie jestem... Wczoraj po obiedzie ogarnęła mię straszna senna. Położyłem się na sofie — ale sen nie przychodził. Nadaremnie przymykałem oczy... Jakieś świsty, szumy dźwięczały mi nad głową, słyszałem chichot pie-

kielny, jęki, zawodzenia... Mówiłem sobie, wiedziałem, wierzyłem, że to chorobliwa imaginacja tylko, ale opędzić się tej nadprzyrodzonej grozie nie mogłem. Chciałem się podnieść, nie mogłem, przykuwało mnie coś do tej sofy, trzymało silnie obezwładnionego, zanurzało w halucynacyjnych słuchu wrzaniach.

Boję się — gdyż mi się to już kilka razy przytrafiło, a zawsze po takich zapasach z rozpaczliwą martwością — czuję w piersiach, głowie, w całym organizmie jakiś głuchy, tępy ból, nogi drżą pod mną, cała istota zdaje się rozkładać na drobne niezwiązane niczem atomy, jakbym się za chwilę miał rozpaść w nicość i zniknąć...

Przypuszczam, że to zastyg, senne ubezwładnienie wszystkich mięśni, wywołane wycieńczeniem — bo myśl pracuje przecie, tylko wadliwy odruch molekulów mózgu nie dozwala kierować nią swobodnie. Istnieje świadomość nieświadomości, bezwładny... uczuwa się bierność jaźni, poddającej się trapiącej złudzie, a do otrząśnienia się sił brak...

Ja wiem, że mi to szkodzi, chciałbym nie myśleć o niej, ale nie mogę... Jeszcze dopóki ktoś jest przy mnie, to pół biedy, ale jedna chwila samotności a już rozpoczyna się ta wszechwładza wspomnień i widzę ją jak żywą! Czasem siadam przy stoliku i bezwiednie — ot tak... ja sam nie wiem jak można tak czucie myśli zatracić!... kreszę na papierze: Wicia, Wicunia... i lzy mi ciekną — ale ja o tem nie wiem w oną chwilę — dopiero później, znacznie później... wraca zastanowienie i żal... Ale taki żal — co to miażdży ogromem i ciemnością zasnuwa wszystko! Boże mój Boże! jak ją kochałem! jak kocham jeszcze!

Całe szczęście, iż taka dziatwa Maryni tak

przywiązała się do mnie. Malenkie... niewinne ludzkie „zera!” zachodzą do mnie, siadają na kolanach i gwarzą. Ulgę mi sprawia dziecięcy szczebiot i zapomnienie chwilowe przynosi. A jakie to okrutne pytania wybiegną czasem z tych bezmyślnych główek!...

Taka Basia! Bachna! najmłodszy dzieciak — śliczny jasnowłosy cherubinek... ciągle naprzykład pyta:

— Co wujkowi było? na co wujo chorował? ja codzień w paciorku modliłam się o zdrowie wujaszka... mama kazała...

I co tu takiej smerdzie odpowiedzieć?

Uścisk — pocałunek za odpowiedź starczyć musi, ale nawet to dziecięce pytanie jątrzy, buntuje, po piersiach jak żmija pełza, w krtań łaczoce, drażni, że chciałoby się krzyknąć ciekawemu maństwu: „Na miłość! na miłość!”

A przecież dziecko tego nie pojmie... a ona?... takiego wyznania, nigdy ode mnie nie usłyszy!

„Dwa lata”, drobny zdaje się szmat życia, a wyłobowały taką rozpadlinę między *dziś* a *wczoraj* mego istnienia. Co było, przepadło... poszło na marne i trzebaby zupełnie na nowo zaczynać. Ja to czuję, rozważyłem już dokładnie, ale mi do tego *jutra* nie-skoro. Co ono mi dać może? nowe rozczarowania — nową gorycz... Mniejsza zresztą o to... „Życie jest tylko walką o byt, której towarzyszy pewność porażki” — tak twierdzą. Zgoda — lecz, aby się do tej walki gotować, trzeba ostatecznie mieć choć złudzenia zwycięstwa, a ja ich już nie posiadam. Przed sobą nie widzę nic... zgoła nic — zwykły koniec wyczerpanego osobnika, który sam przez się nadejść musi — ale pobudek czynu nie mam i nie kwapię się też. Nie chcę nowych dźwięków, wystarczają mi echa przeszłości.

Jakby mi się źrenice wspanak obróciły, a pamięć odwróciła się na nice, spoglądam wtył, poza sie-

bie — rozpamiętywam minione chwile, a linji demarkacyjnej jutra przekroczyć nie mam ochoty. Obojętnie patrzę na wszystko, co mię otacza, a jeśli niekiedy rozlewa uczucie jakiejś potrzeby, co mi życie na jutrzejszy dzionek przenosi, to takie nikłe, bez skry, podnieć wewnętrznych, że gaśnie zaraz i bez śladu przepada.

To już nie mój świat! nie. Jabym tu długo nie wytrzymał — karmię mię ciągle nadzieją, pocieszają — nawet się za to zżymać nie mam prawa — a tych pociech przełknąć nie mogę.

Szwagier namawia mię do wzięcia dzierżawy w sąsiedztwie... POCO? Kiedyś złożyli niby radę familijną z proboszczem i nuż mi klektać nad głową, że mam obowiązek względem społeczeństwa, spłacenie długu, jaki na każdej jednostce ciąży... pracą, czynnym życiem... Obowiązek! a cóż to jest, jeśli nie przymusowa tresura sumienia? czy ja z tym obowiązkiem na świat przyszedłem! czyż takie poczucie nie wciela się dopiero pod wpływem wrażeń życiowych. A jeśli komu takich wrażeń nie dostaje — jeśli wzbudzić w sobie sankcji wewnętrznej za czyn, który oni „obowiązkiem” nazywają — nie może... To co? Ja wiem, że przez nich pocziwa życzliwość przemawia, że dobierają najwznioślejszych motywów — byle mię tylko przekonać, ale albo się jeszcze za wcześniej wybrali, lub też... ju... za późno...

Śmieszne są doprawdy te argumenty parafjalnego altruizmu wobec człowieka siedzącego na gruzach własnego szczęścia, któremu jeszcze nie przyszła chętka budowania nawet dla *samego siebie*. Także się wybrali z... dzierżawą. Co jabym tu między nimi robił — mnie potrzeba iść w świat, zniknąć z oczu tym, co widzą na mojem czole „patent na warjata”, a tutaj z nimi, co moment, co chwila...

Wozit mię szwagier po sąsiedztwach, po znajomych, myśląc, że mię rozerwie, jaką taką przyjemność sprawi. Gdzie tam! obchodzą się ze mną, jak z jajkiem, unikają drażliwych rozmów o... pani Zenonowej nikt pary z ust nie puści, co z tego? kiedy mnie to ani bawi, ani pociesza, a tak się jakoś zawsze złoży, że lada słówko draśnie w bolączkę i zaraz cały kalejdoskop nieszczęść przed oczyma... Kiedyś ten pocziwina proboszcz opowiadał jakieś najzwyczajniejsze zdarzenie i niechcący zwrócił się do mnie z zapytaniem o pewien szczegół:

— Pamięta pan? rok... najwyżej półtora temu?

Zmieszał się starowina niezmiernie, spostrzegłszy, że głupstwo palnął, bo przecież ja półtora roku temu... Chciał to odrobić, poplątał się jeszcze bardziej, a i mnie djabelnie przykro było... Jabym w tej dusznej atmosferze ciepła rodzinnego wyżyć nie mógł! Jeszcze nie wiem, co zrobię, ale stanowczo tu nie zostanę. Kocham ich... tak kocham... ale mnie z nimi, a im ze mną nie byłoby dobrze. Najprawdopodobniej osiadę w Warszawie. Żyć a raczej bytować będę miał za co. Przyznano mi osiemset rubli dożywotniej pensji za złamany obojczyk w fabryce... a prócz tego... Także traf! dziwna ironja losu — dziwna...

Do jakiego stopnia zobojętnieć musiałem, kiedy mię nawet nie uderzyła ta raptowna zmiana na lepsze w materialnem położeniu szwagra... Dopiero kiedyś, rozmawiając o tej... dzierżawie, napomknął mi o spadku po ciotecznej babce naszej... Ani ja, ani Marynia nie zaliśmy jej całkiem. Mieszkała w Wiedniu i nie komunikowała się z familją zupełnie. Z dziecinnych lat przypominam sobie tylko, że nieboszczka matka opowiadała o swojej ciotce... Trzeba trafu dalibóg! że ta kobieta umiera parę miesięcy temu, zostawiając dla nas, jako jedynych spadkobierców, czterdzieści tysięcy guldenów...

Oti egoista ze mnie... Mam żal do nieboszczki — za opóźnienie... Dwadzieścia tysięcy guldenów! dwa lata temu... a dziś, co mi właściwie po tym spadku? Już za miliony straconego szczęścia nie odkupił trochę więcej, trochę mniej... byle przeżyć — wszystko jedno...

Stanowczo zamieszkać w Warszawie. Mania oponuje, ale to się na nic nie zda.

Wczoraj, gawędziliśmy o tem przy herbacie, uniosła się i powiada:

— Ciebie coś tam ciągnie na nowe strapienie...

Zgadła. Nie chciałem jej okłamywać, a przytem podnieciła mię tą uwagą, więc bez namysłu odpaliłem:

— Tak.

A Mania nuż ręce łamać, zaklinać, żebym tego nie robił, żebym nie zakłócał cudzego szczęścia, a i sobie spokoju nie zamącał. Nieomal na kolana przede mną padała...

— Co ci to po tem, Antosiu! — tłumaczyła, a szwagier potakiwał. — Czy ci tak źle z nami? Nie obejdziesz się bez tego, żebyście się gdzie nie spotkali... po co się jątrzyć?... czy to ona jedna na świecie?

Zdenerwowały mię te szloch i zaklinania i koniec końców bez ogródki powiedziałem, że to moje niezłomne postanowienie. Przecież dzieckiem nie jestem i wiem co robię. Maryni się zaraz jakieś straszne rzeczy trąją... Egzaltacja kobieca. Dłaczegóż zaraz miałbym się spotkać... taką duże mrowisko ludzi...

A choćby nawet... to co? wszakże i tak mi codzień przed żrenicami staje, niby senne marzenie spływa, wszystkie nerwy w uścisku trzymając. Płonę są obawy Maryni, nie palnę głupstwa. Obolałem

już cały, a bodaj, że poczynam nawet miłować tę boleść — znajduję pociechę w rozmyślaniach rozbudzanych wspomnieniem; a że tam organizm cielesny chwilowo na tem cierpi, mniejsza o to! przynajmniej czuję samego siebie.

Ciekaw jestem jak też teraz wygląda? To już chyba nie ta dawna Wicunia „w polnych kwiatów koronie?...” Niepodobieństwem jest, żeby się nie zmieniła przecież... A może... Dwa lata... czas wszystko zwalcza — może uspokoiła się już zupełnie w sztywnym gorsecie małżeńskiej moralności i korzysta w całej pełni z monopolu, kupionego kosztem cudzego szczęścia? może, jako wzorowa żona modli się na klęczkach przed krucyfiksem o pomyślność dla męża i zapomnienie dla siebie!

Bóg z nią! wymazałem z duszy mojej wszystko, co ją wyrzutem obarczać mogło, popękały w pierśsiach struny wszystkich uczuć, tylko jedna jeszcze dźwięczy; ta gra, z której wieje tęsknota...

Bóg z nią!

Szukać spotkania nie będę — ale i unikać również. A jeśli kiedy spojrzymy sobie oko w oko, z mojego nie wyczyta skargi ani żalu, ni nienawiści, powitam ją jak dawną, dobrą znajomą — wyrzeknę się prawa odwetu — bo i co ona winna, że nie dojrzały wszystkie sny kwiatowe?

To on winien — bo wyciągnął rękę, po moje dobro, bo przyjął ofiarę z rąk biednej zrozpaczonej kobiety — ofiarę krzywoprzysięstwa! Przecież go ona nie kochała! nie mogła kochać... wiedział o tem, a nie zawahał się... Ujął podaną z urojonej wdzięczności dłoń i przed ołtarzem Zbawiciela zaprzysięgał kłamaną miłość, wybrał przyrzeczenie wiecznego oddania!

Co ona winna? biedne, nieszczęśliwe, wdzięczne serce!

Dziś wszystko przepadło... może już przebola-

la — może wyuczyła się chodzić w narzuconem jarzmie?... Ja to własnymi oczyma ujrzeć muszę. Przez wzgląd na nią i jemu nie zakłócę domowego zacisza, przesunę się cicho, niedostrzegalnie, jak cień, wzrokiem o jej postać otrę, ale sondy w małżeńskie piersi nie zapuszczę, nie zatargam! Bóg z nim! Choć miałbym prawo — człowiekiem jestem — miałbym prawo, prawo złamanego serca... stanąć przed nią i zapytać:

— „A co dla mnie?”

Mógłbym jej bryzgnąć w oczy szyderstwem, upomnieć się o zrabowane szczęście, mógłbym powiedzieć z piekielną nienawiścią:

— „Przed obliczem tego Zbawiciela co świąty odkupił, oddałaś moje odkupienie drugiemu... wytoczyłaś całą światłość z duszy, żeby tamtemu życie rozświetlić, odarłaś ze wszystkiego! ze wszystkiego! zdeptałaś jak suchy badył...”

Ale ja jej tego nie powiem! Świętą mi jest i nie-skałana! bo ją... kocham jeszcze — całym sercem, całym jestem! jak dawniej. Starła się w walce ta miłość na pyły — ale ja najdrobniejszej kruszyny nie uroniłem... Niepotrzebnie obawia się Marynia. Dalibóg! ja tak rozumnie myślę, że będę jeszcze w przyszłości dziatwie państwa Zenonów bajeczki opowiadał. Na przybranego „dziadunia” wyjdę...

To już nie ten pokój na trzecim piętrze. Żeby to te czasy wrócić mogły... Snuło się różową tkanekę życia. Co z tego zostało? nic szara, a i ta rwie się. Niedługa podróż a tak mię znużyła — drugi dzień wypoczywam i przyjść jakoś do siebie nie mogę. Prawda, że się nabiegałem szukając mieszkania, lecz przecie to znowu nie taka wielka rzecz... Dawniej dwa razy dziennie maszerowałem taki kawał drogi do biura i nic. A ile to razy pędziłem ze

Stefą z trzeciego piętra po bułki; pamiętam — urządzaliśmy nieraz wyścigi na schodach... Jej to nawet szkodziło... piersi miała słabe. Co też się z nią stało? Pewnie w jakim magazynie resztki płuc przy maszynie wypluwa, a może i zmarła do tej pory... Jeżeli żyje, radbym ją zobaczyć, nawet poszłę do biura adresowego dowiedzieć się. Lubilem ją prawdziwie — dobry grunt był w tej dziewczynie i serce zacne. Chciałbym ją mieć teraz obok — jak wtedy. Ot! pogawędzilibyśmy o dawnych czasach, o dawnych znajomych... i czasby schodził przynajmniej. Co też się z tym szewcem dzieje?... pewnie się rozpił... bo zakrawał na to, a po stracie tych premjówek ciągle do szynku zaglądał.

Żebyśmy się tak zeszli razem wszyscy troje, ja, Stefa, szewc, współlokatorzy z poddasza, a każde opowiedziało swoje dzieje... co życie dało?...

Ja tobym krótko na migi opowiedział, pokazując „figę”, a zdaje mi się, że i oni niewiele czemś więcej mogliby się poszczycić. Wojowało się... wojo-wało, targało siły w walce o byt, i prawdopodobny dorobek: u Stefy — suchoty, u szewca — *delirium*, a u mnie, u mnie... nic oprócz złamanego obojczyka i newralgji w twarzy. Już mię nawet drzeć zaczyna...

A jednak innym to życie dało coś więcej. Czy oni lepsi? czy rozumniejsi? czy już na świat przyszli z zarodkiem szczęścia? a jeśli tak... to dlaczego?

Taki Werthauser łaknął milionów — ma, taki Putzfirmer został już pewnie jakim dygnitarzem kolejowym i to mu starczy, Leon *ustroił* kilka uczciwych dziewcząt, Zenon — stworzył sobie domowe ognisko... każdy ma czego zapragnął! tylko mnie i tym biedakom z pięterka los odmówił zadośćuczynienia, a praca tylko wyjąłowiła zdrowie.

Ciekawym, czyby mię też teraz Stefa poznała? albo i tamta druga... Zmieniłem się ogromnie. Wicia... pani Zenonowa, to pewnie nawet nie wie, że już je-

stem w Warszawie. Z Marynią nie koresponduje,
a któż inny mógłby jej donieść?

Więc to Stefa... biedna Stefa.

Właściwie nic mię ta dziewczyna obchodzić nie
powinna. Bo skąd data? a jednak wolałbym, żeby to
prawdą nie było. Ot „wyrobiła” sobie dole!...

Początkowo sądziłem, że mi się tylko przywi-
działo — myślałem o niej (tak sobie tłumaczyłem)
i wziąłem jakąś podobną blondynkę za Stefę. Przy-
tem ta druga... jej towarzyszka zbijała mię z tropu.
A to jej siostra.

Przypominam sobie, że mi nieraz o niej wspo-
minała. Nawet podobno są z sobą bardzo dobrze.

Jednakże oko mam jeszcze dobre. Żeby tak
był nie włóczył się wtedy z nudów po Krakowskiem,
byłaby mię może ominęła sposobność ujrzenia tej
metamorfozy. Stefa... w aksamitach i w faetonie...
A jak się zmieniła... z jaką rozwierzganą elegancją
rozpierała się na poduszkach pojazdu...

Wywiedziałem się, gdzie mieszka. Zajmuje z sio-
strą bardzo ładny apartament na pierwszym piętrze,
mają remizę wynajętą miesięcznie. Prawdziwa karje-
ra „biedy”! Miałem początkowo zamysł niespodzie-
wanie zajść do niej, ale po namyśle... napisałem tyl-
ko, że jestem w Warszawie, wskazując mój adres.
Może zajdzie... powinna to zrobić, jeśli w niej jeszcze
coś z dawnej Stefy pozostało. A może wstyd ją po-
wstrzyma? zobaczymy. Stróż, którego wypytywałem,
po swojemu objaśnił:

— Tu różni panowie bywają. Ładne panienki.
Jakby wielmożny pan chciał, to można...

Prosta historia, a smutna jak iza sieroca. Za
cały dramat starczy tych kilka kartek, zapisanych
jej ręką...

Nie przyszła. Mogłem się tego spodziewać. Upa-
dła, ale nie spodlała. Z tego listu widzę, że nie.

„Nie śmiem stanąć przed panem — pisze — oto
moja spowiedź... Po wyjeździe pana chorowałam
jeszcze długo, a gdy nareszcie wypisano mię ze szpi-
tala, już w magazynie roboty nie dostałam... Cóż mia-
łam robić? nie miałam żywej duszy, do której mogła-
bym się udać o pomoc, a sama nie wiedziałam, co
począć. Wyprzedałam po jednemu wszystkie sprzę-
ty... wkońcu nie było już co sprzedawać. I maszynie
sprzedałam. Dali tylko dwadzieścia pięć rubli —
kosztowała osiemdziesiąt, a była jak nowa... Wkońcu
dostałam miejsce roznosicielki gazet i wtedy spotka-
łam się z siostrą... Później... pan pewnie wie wszyst-
ko! Stało się nieszczęście... O panie! ja codzień mo-
dliłam się do Boga o śmierć... Bo co z takiego życia,
jak moje. Mimo gniewu siostry chciałam iść w służ-
bę, za byle co, za prostą pomywaczkę... A później
i tego zrobić nie mogłam. Józik jeszcze mały... nie
mogłam własnego dziecka skazywać na nędzę i zo-
stałam. O panie mój serdeczny! Teraz już za późno,
dla dziecka! dla dziecka! Przrzekał, że się ze mną
ożeni, siostra toż samo mówiła... Wierzyłam, bo jakże
nie wierzyć, a jemu to nawet w głowie nie powstało,
a przecież to jego dziecko... także... Ja do pana zajść
nie mogę, jabym umarła ze wstydu, ze zgryzoty, ale
o parę słów... proszę, bardzo proszę... Lżej mi będzie.
Przecież mię pan nie potępi, biednej! Jak Józik od-
rośnie...”

Jakże ją tu potępić, tę matkę nieszczęśliwą, co
dla dziecka krwią własną kramarzy. W czym wła-
ściwie tkwi jej wina? a jednak społeczeństwo odwró-
ciło się już do niej plecami, życie jej jest życiem hań-
by, szydery, uragliwy śmiech tamuje jej odwrót.

Moralność większości wypowiedziała jej bezlitosną wojnę, społeczność odtrąciła od swego nieskalanego łona, jak wyrodka, a jej pozostało tylko cierpieć i znosić prześladowanie. Okrutne są te nasze prawa obyczajowe!

Biedna mała! „Jak Józik odrośnie...” To jedyna jej pociecha... Jak pelikan będzie karmić własnym ciałem... biedna!

Są natury, które kroczą po smutnej drodze obowiązku tak spokojnie, jak po usłanej kwieciami ścieżce najjaśniejszego osobistego szczęścia...

Moja, widać, do takich nie należy.

Nawet ta litość, o której głoszą, że jest podstawą miłości bliźniego, nawet ta litość nie ukoiliła we mnie popędów i pragnień nieziszczonych, nie złagodziła goryczy zawodu.

A nie mogę przecież powiedzieć, że bym się prawdziwie nie litował nad Stefą. Czuję jakąś prawdziwą potrzebę przyjścia jej z pomocą, doznawałem wewnętrznej wytnięcia, porównując jej los z moim; chwilowo rozbijała świadomość własnych nieszczęść ustąpiła miejsca pojęciu o cudzej niedoli, współczucie zaczęło w piersiach szukać ujścia dla siebie — a dziś... spłowiło pierwsze wrażenie.

Co tu gadać dużo — egoistą jestem, nawskroś egoistą. Moje „ja” zasłania mi wszystko. Napisać do niej, napiszę... ale utraciłem już zdolność żalu dla innych, czuję się tak beznadziejnie zgnębionym, że mam najszczerzą litość tylko dla samego siebie... przed cudzym bólem uciec mogę — przed własnym nie mam schronienia.

Tamta! wiecznie tamta! i nic więcej. Co mnie świat, ludzie ze swymi uświęconymi prawami, dołą i niedolą obchodzą! Mamże płakać, że inni płaczą, nie znajdując w tem żadnej ulgi dla siebie?

Zresztą czy Stefa nie jest w istocie szczęśliwsza ode mnie? Upadła, ale po chwilach złudzeń, a teraz ma cel życia jeszcze...

„Jak Józik odrośnie” pisze. W tych słowach tkwi nadzieja, myśl o szczęśliwszym jutrze, możebność zapomnienia zawodu. Mnie nawet tego nie dano. Kto z nas dwojga mniej posiada? Doprawdy, mógłbym jej tylko chyba zazdrościć... ale nie pocieszać, mnieby się raczej pocieszenie należało. Ale ona mi go dać nie może — a tamta...

Uciekłem! bo w głowie trzeszczeć zaczęło, jakby całe rusztowanie myśli runąć miało, a w piersiach tak zrobiło się pełno, że czułem, iż pęknąć mogą i ta fala wspomnień całego mię zaleje.

Uciekłem! a raczej powlokłem się krok za krokiem naoslep — bo ziemia gięła mi się pod nogami, jakbym po gąbkach stapał... Instykt zwierzęcy, instykt zachowawczy kazał mi uchodzić z tego miejsca, kazał oderwać się od widoku, co prażył, obezwładniał, w czeluście najstraszliwszych namiętności pograżył. Uciekłem! szczęście całe, że uciekłem, bo — chwila jeszcze... a nie wiem, coby się stało!

Możebym się był rzucił do nóg jej, lkał, prosił, zaklinał, u kolan się wieszał, a jego... jego zgniótł, na proch zgniótł, zdławił jak gadzinę, a potem sam padł trupem, zwycięskim trupem... a prędzej może skamieniałbym w miejscu, zastygł, zlodowaciał z tem przekleństwem dla obojga, co mi jak zgrzyt piły w mózgu हुआ, a zamierało w krtani bez dźwięku...

Może...

Lepiej jednak, że się tak stało, nie inaczej.

I mówią, że nie przypadek ludźmi rządzi. A to spotkanie, podobnie jak ze Stefą przedtem, czyż to nie zrządzenie przypadku? Umyslnie wyszedłem do

Saskiego ogrodu w godzinach rannych, kiedy to najmniejszej ludzi się kręci... najlepiej mi samemu — i...

Poznałem ich zdaleka. Szli pod rękę, jak na szanujących się małżonków przystało. Zenon, jak zwykle, sztywny, z tą uroczystą miną porządnego człowieka, a ona z jakimś cieniem smutku, pochwytnym może jedynie dla mojego oka...

Momentalnie uczułem w sercu ciepłą radość na widok drogiego oblicza, powleczonego matową bladością, z przedwczesnymi zmarszczkami pod oczami. Nie wesele zostawia takie piętna! — błyskawicą przebiegło mi przez głowę! Ale to trwało chwilę, bo zaraz zakotłowała w piersiach żalocę wielką nie siebie, ale jej... tej mojej Wici z wiejskiego ustronia; porównałem jej cichą ofiarę z samolubnym szamotaniem się własnych uczuć, jej spokojną rezygnację poświęcenia z harcami żądź mojej duszy — i jakiś niesmak wstydu i poniżenia wypełnił mię całego. A potem nie miałem w piersiach nic już, prócz... żalu.

Przyczajony za pniem rozłożystego kasztanu, jak rozbiitek przyczepiony do zrębu morskiej skały, patrzyłem, czy nie błynie skąd światło ratunkowej łodzi. A łódź płynęła opodal, tylko już dla mnie miejsca w niej nie było! Jak szpieg śledziłem z ukrycia ruchy nieprzyjaciela, uchodzącego z łupem — a wróg uchodził, to wracał, jakby się szczycił zdobyczą, jakby naigrawał ze mnie, pewny swego bezpieczeństwa, bo rozdzielała mnie od niego niezmierna, nieprzebyta przepaść praw małżeńskich, niezdobyty szaniec, zakon Boży. Bezsilny, jak skamieniały, mogłem tylko pożerać ją wzrokiem... Tego już ani wydrzeć, ani zabronąć nie mógł!...

Przeszli kilkakrotnie, spacerując obok mnie prawie, a później przysiedli na jednej z ławeczek tuż... tuż, że ich o kilka kroków miałem od siebie.

Zenon coś opowiadał z ożywieniem. Natężyłem

słuch i chwytalem chciwie pojedyncze wyrazy. Łykałem, jak ożywczy nektar, każde słowo jej ust...

— Nie może być! nie może być! — powtórzyła kilkakrotnie, potrząsając z powątpiewaniem główką, ze wzrokiem uporczywie wlepionym w ziemię, jakby liczyła ziarenka żwiru, rozsypanego po alei...

— Tak mi mówiono — twierdził Zenon. — Trzeba się będzie dowiedzieć...

— Wypadałoby go odwiedzić... — szepnęła nieśmiało.

Zenon zamyślił się, potarł czoło i z pewną niechęcią odparł:

— Jak chcesz, kochańciu! chociaż pierwszy krok właściwie on powinien uczynić...

Słyszałem najwyraźniej — tak mówił. Zrodziło się we mnie przypuszczenie, że to o mnie mowa. Wtedy chciałem wybiec, rzucić się między nich z rozpaczliwym okrzykiem: „Oto jestem! ten sam, co dawniej!” Paść do jej stóp, pierś rozdrzeć, niechby ujrzała dygoczące serce... Chciałem jemu w zimną twarz krwią bluznąć! duszę wywlec, kolanami przysiąść i paznogciami pruć żyłę po żyłę, nerw po nerwie, włókno po włóknie! i szydzić, ale tak szydzić, żeby nawet w śmiertelnej czkawce moje szyderstwo rozumiał... Chciałem... ale już sił brakło.

Coś trzymało mię na uwięzi, bez ruchu, bez przytomności. Wszystkie zmysły zastygły, a przed oczami rozlało się morze czerwieni, z piętrzącymi się falami, pogrążające w swej toni wszystko... wszystko. Zdawało mi się, że i mnie również straszny ten wir pochwylił, że za chwilę krwista fala pochłonie, zatopi... Rozkrzyżowałem ręce, jakbym chciał powstrzymać bałwaniący się nurt i... uciekłem! Uciekłem! a za mną pędził dziki łoskot, szum, echa zgrzytów, szcęknięć, chichotów, wycia...

Ktoś, zdaje mi się, że Proudpon, utrzymywał,

z prawdziwa miłość nie ma organów... Idealistyczny sofizmat!

We mnie do tej pory drga wszystko. W tętnicach praży, w mózgu kłuje, każdy mięsień dygoce, a nerwy cykają, jak sprężyna w zegarku. Już nie gło-
wa, ale każdy fibr myśli, wije się odruchem samo-
istnych wrażeń. Cały organizm wcielił w siebie jej
postać i pieści się teraz wspomnieniem.

...Czy też oni mnie widzieli? Może. Nie wiem
zresztą.

Po każdym silniejszym wzruszeniu czuję się nie-
zmiernie osłabiony. Trzeci dzień z domu nie wycho-
dę, a na dobytek trapi mnie bezsenność i twarz rwie
niemiłosiernie. Dziś dopiero trochę mi lepiej. Za-
strzyknąłem podwójną dawkę morliny, to mię uspo-
koilo. Trzeba będzie wyjść wieczorem na miasto, prze-
wietrzyć się trochę...

Wiecznie też same tyrady! „Rób coś, zajmij się,
to cię rozerwie... odrodzi...” Kochana siostrzyczka
na nic innego zdobyć się nie może. Jak jeszcze z parę
podobnych listów odbiorę, to gotów jestem dla jej
uciechy zostać choćby... filatelistą, marki zbierać —
lub zacząć się sanskrytu uczyć... dla pożytku społec-
zeństwa!...

Miano mię wtenczas za warjata, a ja właściwie
dopiero teraz nim jestem... tylko, że to warjacja dość
spokojna i dla drugich może niewidoczna. Chcę cze-
goś, a sam nie wiem czego, czekam niewiadomo na co,
chęci, myśli negują jedna drugiej. Straszliwa jest moc
nieświadomości! Rodzi zło i rozgrzesza zarazem, raz
podnosi na wyżyny nadziei, to spycha w otchłań zwąt-

pienia. I tak ciągle wkołko, bez przerwy, bez wy-
tchnienia, bez stałego punktu oparcia dla myśli i woli.

Stał przedem mną tak niespodziewanie, że ze-
sztywniałem prawie. W jednym momencie przebiegła
przez głowę cała przeszłość! Dziecinne lata, straty
majątkowe, Wicia, Ostojewicz, kantor, cukrownia,
Steta, choroba moja, upadek — wszystko.

Czy uległ jej namowom, czy też z własnej woli
przyszedł? nie wiem, ale kiedy wyciągnął do mnie
rękę ze słowami „bądźmy przyjaciółmi — jak daw-
niej, panie Antoni!” to stałem już wobec niego bez-
bronny, wyzuty z wszelkich uczuć, skamieniały. Wy-
dało mi się, że tego człowieka pierwszy raz widzę,
że obojętnie będzie wszystko, co mi powie. I rzeczy-
wiście przez czas jego bytności słuchałem wszyst-
kich zwierzeń, wynurzeń, bez zrozumienia, obojętnie,
milcząc. Dopiero gdy wyszedł, rozpoczął się ferment
duchowy... walka straszna, z której teraz zaledwie
zdaję sobie sprawę... „Bądźmy przyjaciółmi jak daw-
niej...” — a więc bądźmy. Dajesz mi okruchy, przy-
jacielu. Biorę.

Zmogłem samego siebie. Trzeba będzie iść. Za-
prosił w swoim i żony imieniu! Jego żony...

— Mój syn!...

To były pierwsze jej słowa, a w nich mieściło się
wszystko... wszystko, co mogła mi powiedzieć. Był
rozkaz matki, przestroga kobiety:

— Zostaw nas w spokoju!

Ja to pojąłem, skoro tylko wyszła do mnie z tem
maleństwem na rękę; pojąłem i zaprzysięgłem w du-
chu spełnić jej prośbę.

Panowałem zupełnie nad sobą, kiedym dłoń jej
do ust swych przyciskał. A zimne musiały być, jak

lód... Spojrzała na mnie tym wzrokiem łagodnym, pełnym serdecznego współczucia... co duszę wypatrzyć może, i wyszeptala cicho przerywanym głosem:

— Dzień...kuję.

A później dodała:

— Za to... żeś pan przyszedł...

I to zrozumiałem. Co odpowiedziałem — nie pamiętam. Najprawdopodobniej nic... Odwróciła się szybko i złożyła pocałunek na rumianym buziaku malca. Zenon stał na uboczu zakłopotany, zasępiony. Czuł może, że jest niepotrzebny w tej chwili, że najlepiej zostawić nas samych... troje, bo zakręcił się po pokoju i wyszedł pod pozorem przyniesienia papierosów z biurka.

I zostaliśmy z sobą bez... świadków, tylko ten maleńki... Anioł Stróż czuwał nad nami...

Czuwało... jej dziecko...

Malec wyciągał różowe rączka, trzepotał, jak pisklę skrzydełkiem, roztwierał drobniutką buzię, mrużył figlarnie oczki, przebierając paluszkami w złoty puklach matki, a ona patrzyła weń jak w tęczę, szepcząc pieśczośliwie:

— Moje! moje... skarby jedynel moje świąty!... — i tuliła się do niemowlęcego ciała, przykładając blade policzki do lepkich warg rozigranej dzieciny, czerpiąc z macierzyńskich uścisków moc i ukrzepienie. Raz tylko jeden zwróciła się do mnie z pytaniem:

— Prawda? jaki ładny — mój... mały?

— Prawda... — odpowiedziałem; bodaj że to było jedyne słowo, jakie z ust moich podczas nieobecności Zenona usłyszała. Wzamian za to zacząłem do jasnowłosego pośrednika przemawiać, jak mogłem, jak umiałem najtkliwiej, bo wiedziałem, że ona to odczuje i wdzięczna mi będzie, a tego tylko pragnąłem w tej chwili. Przypomniały mi się pieśczośty z dziatwą Maryni, począłem wabić malca, ukazując brelok od zegarka i pośpiewując:

Kosia, kosiał kosiana!
Pojedziemy do pana!
Pojedziemy do mamy
Po garnuszek śmietany!

I mnie tak niegdyś śpiewano... Dzieciak początkowo marsowato, z niedowierzaniem patrzył na te umizgi, sznurował usteczka, ale powoliabrał zaufania, zachichotał, a wkońcu pochylił się całym ciałkiem ku mnie. Z ostrożnością najwprawniejszej nianki ująłem dziecinę pod paszki i począłem ścisnąć, całować w ten buziak, na którym przed chwilą jej spoczywały usta. Wydało mi się, że to matkę trzymam w objęciach...

Uniosłem malca w górę, począłem podrzucać, huścić, dzieciak śmiał się do rozpuku, nóżkami przebierał, świergotał, a do ramion matki, która stała opodal zapatrzona z rozwartymi rękami, nie kwapił się wcale. Począłem niby uciekać przed nią, pokrzykując: „nie dam mamie... nie dam...” a ono objęło mnie rączkami, raz po raz ku matce karczek naginało, a zanosilo się od śmiechu.

I tak bawiliśmy się we troje chwil kilka, szczęśliwi — bo i na jej twarzy zajaśniał promień radości, a ja... ja poprostu straciłem poczucie rzeczywistości. Nie było to marzenie, ani senne upojenie pragnień zrodzonych na jawie, lecz jakaś wybujałość myśli, co unieprzytomnia, w zaświaty przenosi, rajskim czarem pierś i serce przepelniając.

Zenon wrócił. Pamiętam... Zbliżył się do mnie, podając papierosa i mówiąc pół żartem:

— Zbałamucilesz nam pan syna...

Mrugnął znacząco na żonę i dodał:

— Wiciu! jakże można... weź Janka, zamęczy pana Antoniego...

Oddałem maleństwo i zaraz cała cierniowa przeszłość stanęła mi przed oczyma. Machinalnie zapaliłem podanego papierosa i ostatnim wysiłkiem

woli usiadłem na krześle, ale nadaremnie szukałem wątku do jakiegokolwiek rozmowy.

I im widać było niesporo, bo Wicia niby to doprowadzała ubranko Janka do porządku, a Zenon przebiegał parę razy po pokoju, zanim usiadłszy obok mnie, zdobył się na jakieś obojętne pytanie...

Zapytał: ile płacę za mieszkanie? czy coś podobnego — bo tego nie pamiętam; ja odpowiedziałem, Wicia dorzuciła jakąś uwagę i tak ostatecznie skleiła się szara, zwykła pogawędka, do której każde z nas z zastrzoną ostrożnością dobierało wyrazów, aby dźwięk nawet nie zahaczał o drażliwą strunę. Jakas obawa krępowała nam usta i kazała omijać wszystko to, co się na wargi cisnęło, głuszyło szept serca formułkami konwenansu. Wymienialiśmy zdania, nie myśli.

Cedziliśmy tę „letnią wodę“ aż do wieczora prawie. Zenon, widocznie najmniej wrażliwy, najlepiej trzymał się w tonie, wiążąc raz po raz nici urywającej się rozmowy. Opowiadał o swoich kłopotach gospodarskich, narzekał, że rozpoczęta sprzedaż częściowa jednego folwarku idzie tępo, uważał się na duże koszta administracji, którą osobiście zająć się nie może, gdyż musiałby zrezygnować z posady bankowej.

— W zeszłym roku dołożyłem do Ostojni zgórą tysiąc rubli, a i teraz chyba mi to nie minie — mówił. — Nie chciałbym wyzbyć się kawałka ziemi, lecz trudno będzie dać sobie radę. Nic się na lepsze nie zanosí...

Chciał coś więcej mówić na ten temat, ale spostrzegł się w porę, że żonie zrobić przykrość może i urwał. Rzeczywiście spostrzegłem, że Wicia na samą wzmiankę o Ostojni splonęła, zasepiła się i zaczęła bez żadnej potrzeby, przyciemniać to rozjaśniać lampę, aby zyskać moment czasu do ochłonięcia... Urwał, a ja zacząłem rozpowiadać o Maryni, o dzieciach, o upiększeniu Warszawy, nawet o po-

litykę zawadziłem, słowem plotłem, co mi ślina na język przyniosła. Nie spodziewałem się doprawdy, że się tak *porządnie* zachować potrafię. Do ostatniej chwili trzymałem się na wodzy, a i oni także. Tylko przy pożegnaniu...

Chcieli mię zatrzymać na herbatę, ale wymówiłem się jakimś pilniejszym interesem, bo czułem, że już dłużej na tej uczcie nie wytrzymam. Pamiętam... na wychodnym, Zenon ściskając mię za rękę, mówi...

— Zachodź-że pan jak najczęściej... prosimy całym sercem.

A Wicia:

— Całym sercem, o którego życzliwości wątpić pan nie powinien...

— Dasz nam pan jeszcze tem dowód, że nie żywisz żadnej urazy... — przerwał żonie Zenon, ale się widocznie stropił tem powiedzeniem, bo jakby pragnąc je zatrzeć, zwrócił się zaraz do Wici:

— Proś-że Wicuniu od siebie — niech ci pan Antoni przyrzecze.

Splonęła i rzuciła na mnie jedno z tych spojrzeń głębokich co za najserdeczniejszą prośbę starczy...

— Jeszcze się państwu naprzykrzę... Nie zabawny jestem — powiedziałem, aby coś powiedzieć.

— Co też pan wygadujesz! — przerwał Zenon i z niezwykłym u niego uczuciem w głosie dodał:

— I ja i żona będziemy panu zawsze prawdziwie radzi. Nie żyjemy prawie z nikim... starzy znajomi, nagawędzimy się przynajmniej... Nikt nam przeszkadzać nie będzie...

— Nie będzie... — powtórzyła jak echo.

— Chyba Janek... — dodałem, siląc się na uśmiech.

— To także pański przyjaciel! — zaśmiał się Zenon.

...Mój przyjaciel! ot została mi tylko przyjaźń ludzka!

Częstują mię tą przyjaźnią — trzeźwią, jak dogorywającego piżmem i sami oszołamiają się również, wdychając atmosferę sztucznie rozbudzonych uczuć. Upajamy się surogatem... Pomaga to, ale chwilowo tylko. W głębi duszy ona i ja, Zenon nawet, nosimy ciężar, co nas gniecie, jak niewydobyta z rany kula. A jednak kulę tę kiedyś wydobyć trzeba. Ja to czuję, pragnę tej chwili i boję się jej razem.

Ilekróć zjrzę do nich, ciśnie się na usta chęć, chęć wybadania, dowiedzenia się, czy i ona cierpiła, cierpi, tak jak ja tem cierpieniem tajonem, ostrem, którego nie widać, które dopiero w refleksjach samotności wybucha. Wydaje mi się, że nie byłoby dla mnie większej rozkoszy, większego ukojenia, jak usłyszeć z jej ust wyznanie wszystkich bólów, smutków, wstrząśnień... ale gdy spojrzę w jej oczy, wielkie, słodkie, w te źrenice czyste, błyszczące, jakby po nich dopiero co łza zbiegła, to czytam w nich niemy zakaz, błagalną prośbę: „nie czyn tego, nie pytaj! nie wolno... nie wolno!” i jestem posłuszny, a raczej pytać nie mam siły. Czuję wtedy obezwładnienie nie umysłowe — bo inteligencja i wrażliwość trwają w całej pełni, ale cielesne, przekształcam się wtedy w jakieś ciało nieruchome, utracam stopniowo władanie zmysłem po zmyśle, narządem po narządzie, jakby mię żywcem w trumnie zamknięto. A jednak przytomny jestem — bo stan swój czuję i oceniam, tylko jakaś moc nieprzewyciężona każe mi kamienieć pod natryskiem jej spojrzenia i kamienieję.

Zdarza się to zawsze prawie ilekróć zostajemy sami.

Idąc wczoraj na Długą, bo tam się Zenonowie od kwartału przeprowadzili, spotkałem Werthausera.

— Kopę lat nie widzieliśmy kochanego pana! kopę lat! — wykrzyknął, poznawszy mię odrazu. —

No! jakże tam! lepiej? prawda? wszystko już dobrze?

Podziękowałem mu za łaskawą pamięć. Szliśmy razem kawałek drogi, bo i on w tym kierunku podążał. Zaczął mię namawiać, żebym do dawnego zajęcia powrócił. Tłumaczyłem się brakiem zdrowia, potrzebą wypoczynku przez czas pewien.

— Ha! zdrowie przedewszystkiem — mówił przy pożegnaniu — ale skoro pan uczujesz się już kompletnie na siłach, proszę o mnie nie zapominać...

Podziękowałem.

— Tymczasem, żeby się panu bez zajęcia nie przykrzyło, zapiszę pana na członka instytucji dobroczynnej, zostającej pod protektoratem córki mojej de Willdorfowej. Trzeba coś dla ludzkości zrobić — wygłosił sentencjonalnie. — Zgoda?

Chciałem się go pozbyć i odpowiedziałem: dobrze.

Co mi to szkodzi.

Na tamtem mieszkaniu nie podpadło mi to tak pod oczy choć przecie tyle razy byłem u nich, a tutaj dostrzegłem dopiero, że się nie przelewa.

Mieszkają ubogo, skromnie, meble podniszczzone, sługa jedna. Obserwowałem ręce Wici. Gdzie się to te dawne różowe, delikatne paluszki podziały! Widocznie sama zajmuje się kuchnią, a w dodatku i Janek niemało opieki i starań wymaga, a biedne matczysko, piastuje, dźwiga swoją pociechę, nie czując może trudu, chociaż ten na organizmie widoczne zostawia ślady.

Nawet nianki, nie trzymają...

Zenon od dni kilku stracił na humorze, gryzie się w duchu. Początkowo sądziłem, że moje zbyt częste wizyty nie są mu na rękę. Ale nie. Zresztą zabezpieczył się wybornie. Dziecko, ufność jaką mi okazuje, stosunek zażyły, wszystko wyklucza moż-

ność zamącenia mu ciszy. Opancerzył gniazdo domowe miłością macierzyńską... przyjaźnią i pewny jest swego. Gdyby jeszcze Wicia była jedną z owych *grandes amoureuses*... kto wie? ale temu biednemu potulnemu stworzeniu, znoszącemu z anielską rezygnacją swoją dołę, nie godziłoby się rozdmuchiwać przyćmionych iskier. Cóżbym zyskał, wyrrywając ją z tego cichego, choć niewesołego ustronia? Po pierwszych chwilach rozkosznego rozpędu, stanęłoby między nami wspomnienie legalnego związku — pamięć człowieka, co jej ojca w nieszczęściu ratował i tży wyrzutu...

Nie godzi się! nie godzi! A jednak...

Czasem, gdy na nią patrzę, budzi się we mnie dzika pokusa, wyżera z duszy wszystkie myśli szczytne, pełza jak wąż po piersiach i syczy: „Jego nie ma! ona bezbronna, słaba! któż ma większe prawo od ciebie! Nuże, nie wyrzekaj się dla urojonych praw uzurpatora, dla czczych obowiązków przyjaźni swego szczęścia! Schwyć w objęcia, wskrześ uściskiem dreszcz zakazany i chłoń całą piersią, upajaj się! Ten szal da wam w sekundzie tyle szczęścia, że wart będzie łez — całego życia”.

W takiej chwili, zatrutej namiętą podniętą, nie jestem doprawdy sobą i żeby nie kwilenie tego malca...

Ale co mię kosztuje to gwałtowne uśmierzenie szalejącej w piersiach burzy!

Wracam do domu zdruzgotany, wyczerpany, ale samotność nie przynosi ukojenia.

Bo też i samotnym nie jestem. Całe to gniazdo rodzinne przenosi się za mną, rozplywa widmem po pokoju, po ścianach ślizga, pod przymknięte powieki wgląda, po nerwach chodzi... Widzę każdy fałd sukni, każdy ruch, stąpnięcie rozbijała wyobraźnia odtwarza... I jest mi jeszcze gorzej...

Na czym się to skończy?

Zenon wyjechał na dni kilka do Ostojni. Prosił, żeby żonę odwiedzać. Ten człowiek kusi mię bezwiednie. Waham się jeszcze, czy korzystać z tego zaproszenia.

Lękam się...

Co to ma znaczyć? Zaszedłem, służąca powiada: „pan wyjechał, a pani wyszła na miasto...” Zawsze o tej porze bywa w domu, czyżby to było udanie? Może obawia się przyjąć mię pod nieobecność męża... Ha! jeśli tak — nie będę jej niepokoił.

Przeszliśmy oboje ogniową próbę. Chwała Bogu, że się na przestraczu skończyło. Zostawiłem ją zupełnie spokojną. Dziecku istotnie nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo; zwyczajnie jak przy ząbkowaniu malec miał trochę gorączki. Żeby jeszcze Zenon jak najrychlej wrócił, wszystko byłoby dobrze. Telegrafowałem, pewnie dziś nocnym pociągiem zdąży.

Teraz dopiero oceniam cały ogrom macierzyńskiego przywiązania. Miałem żywy przykład przed oczyma — ta kobieta poprostu odchodziła od zmysłów... Prawda, że i ja zgłupiałem narazie i zamiast bieć po doktora, ją zacząłem utulać. Tak przeraziła mię jej boleść, że dalibóg nie wiedziałem co robić — ręce opadały...

Żeby nie choroba Janka byłbym jej prawdopodobnie do powrotu Zenona nie widział. Nie chciałem się narzucać, przypuszczałem nawet, że i ona życzy sobie tego, skoro mię raz nie przyjęła. Było to jakoś po południu — siedziałem w domu, bo na miasto nie wychodziłem prawie, gdy wpadła sługa z krzykiem:

— Pani prosi. Janek zasłabł...

Osiół ze mnie, zamiast zabrać pierwszego lepszego lekarza po drodze, to ja wprost na Długą. Wbiegłem...

Stała przy łóżeczku malca z załamaniem rękoma; włosy w nieładzie, na twarzy gorączkowy rumieniec, w oczach morze łez — statua boleści. Odwróciła się usłyszawszy moje kroki i przykładając palec do drżących warg prawie szeptem spytała:

— Doktor?...

Nim zdołałem odpowiedzieć, miałem ją u kolan...
— Doktora! na Boga doktora! prędzej! prędzej! mój Janek! — zaklinała, staniając się cała.

Jeszcze dziś dźwięczy mi w duszy rozpaczliwe brzmienie jej głosu. Podniosłem niebogę, zacząłem uspakajać, pocieszać — nie było sposobu. „Po doktora! po doktora!” błagała rozpaczliwie... Popędziłem i w kwadrans sprowadziłem trzech, czy czterech nawet. Przed konsultacją zakleła mnie na wszystko, by jej szczerą prawdę powiedzieć. „Oni będą taci! — szlochała. — Mój Janek! moje skarby!...” Przyrzekłem, choć w duszy postanowiłem okłamywać ją do ostatka, gdyby tego okazała się potrzeba... A jak ona obserwowała każdy ruch, każde wejście lekarzy. Wlepiła wzrok i tak uporczywie wpatrywała się w ich twarze, że chyba najmniejszy szczegół nie mógł ująć jej uwagi. Truchlałem, żeby przypadkiem...

Kamień spadł mi z serca, odetchnąłem swobodniej, gdy najsędziwszy z konsultantów po opukaniu dziecięcy zapewnił uroczyście, że dziecku nic a nic nie grozi — dodając żartobliwie, że Janek po prostu ma ochotę zmienić menu i natura zaopatruje go w odpowiedni przyrząd do gryzienia.

Odetchnęła głęboko i rozemiała się przez łyzy...

Po odejściu lekarzy nie chciałem jej samej zostawić i postanowiłem przesiedzieć noc w sąsiednim sypialni saloniku. Malec pogrymasił jeszcze trochę, pokwilił a potem zasnął. Przez uchylone drzwi widziałem, jak na palcach cichutko jak cień podeszła

do okna, zapuściła stopy... potem zapaliła lampkę nocną i przykłębia nieopodal łóżeczka.

Modliła się...

Patrzyłem jak w obrazek święty. Jakieś niezziemskie piękno biło z czoła tej matki, korzącej się w boleści niezgłębionej. Patrzyłem w błogim zachwycie bo i we mnie zrodziło się nagle dziwne uczucie, jakas potrzeba skargi... uzalenia... prośby, coś, czego dotąd nie odczuwałem nigdy...

...Całą noc nie zmrużyliśmy oka.

Malec gorączkował nieco, przewracało się biedactwo z boku na bok, a ona nachylona nad kołyską poprawiała koderkę, przykładając rękę do rozpalonej główki, łyzy tykając, oddech tamując. Biedna! Parę razy uchylwszy drzwi i przywoławszy mnie gestem, dzieliła się spostrzeżeniami:

— Janek śpi spokojnie... Janek przewrócił się na prawy boczek...

A ja odpowiadałem, uspokajając:

— To dobrze! Chwała Bogu! To dobrze!...

Tak zeszło do rana. Chciałem uniknąć zbyt licznych podziękowań i wymknąłem się ukradkiem. Przed południem komisjoner przyniósł mi karteczkę. Biedactwo pisało: „Janek zdrowszy. Czekam pana z obiadem. Proszę przybyć nieodzwrotnie... zawsze wdzięczna — Wicia”.

Poszedłem.

Czekała na mnie w tym samym saloniku, blada, z sinemi obwódkami pod oczyma, ale spokojna, tylko na twarzy odbijało się nieodwołalne postanowienie czegoś — o czym w tej chwili nie mogłem wytworzyć sobie pojęcia.

— Pan znużony, a ja pana wezwałam — rozpocząła.

Chciałem przeczyć, ale mi przerwała:

— Jeszcze panu nie podziękowałam. nie powiedziałam... jaki pan dobry... a ja!

Zasłoniła dłonią oczy i wybuchnęła płaczem. A potem owaładnawszy sobą nadludzkim wysiłkiem cicho, ale dobitnie mówiła:

— Chciałam dawno... dawno powiedzieć... przepraszyć, przebłagać... wynagrodzić...

Nie wiedziałem co mam począć. Dzika radość wstrząsnęła mną całym... ale na chwilę na krótką chwilę, a później znikła bez śladu, jak opar tchu z polerowanej stali. Łzy strumieniem puściły mi się z oczu... Nie był to już płacz, ale wylew łzawy bólu, tęsknoty, smutku i radości zarazem. Te łzy tamowały mi mowę — obezwładniały.

A ona mówiła dalej:

— Stało się. Zawiniłam... Nie powinnam może tego mówić, ale ja się czuję winną bardzo winną... a nic panu ofiarować nie mogę — nic oprócz dozgonnej, wiernej przyjaźni złamanego serca. Tem wolno mi rozporządzać... reszta należy do...

Ukazała ręką na pokój Janka.

Zrozumiałem. Nie chciała w tej chwili wspominać męża i byłem jej wdzięczny za tę cząstkę, która się mnie dostała...

Byłem wdzięczny — bo ta cząstka nie była najmniejszą.

I zaczęły uciekać z mej duszy te myśli ciemne, mgliste, milknąć syki zjadliwe, przestało w pierśsiach szarpać, dręczyć, tylko smutek i rozrzewnienie ustąpić nie chciały, bo w sercu nie było jeszcze dość miejsca na wesele, aby ono wzlecieć, rozskrzydlić się i tętnem cichego szczęścia uderzyć mogło. Jeszcze tam smutek niepodzielnie gościł — ale żalu już nie było, a i łez nie zatruwała gorycz...

Byłem jak człowiek, któremu straszny ciężar z ramion zdjęto, ale wrażenie ciężaru pozostało i bark rozprostować nie może.

I staliśmy długo naprzeciw siebie oniemieli, bo ona powiedziała już wszystko, a ja nie umiałem spoić myśli ze słowem, bo rozbiegały się, rozpylały pod

czaszką dla dźwięku niepochwytne, ślizgały się po strunach głosowych, cofały wstecz, warg nie dotykając, i głuchły...

A tyle miałbym jej do powiedzenia!

Może lepiej się stało, że w milczeniu przeszły te chwile, pierwszego naprężenia, może lepiej. Mogła się jakaś nieopatrzna skarga zabłąkać a Bóg mi świadkiem! skarżyć się nie chciałem, a przebaczyć — przebaczylem wszystko z pierwszą łzą, z pierwszym pocałunkiem, złożonym na jej dłoni...

Była Wicią! moją dawną Wicią — niczem więcej wtedy — więc może lepiej, że słowa nie spłoszyły złudzenia, nie przerwały kojącej ciszy co nam ukołysała serca, nie trącając o strunę, co się zgrzytem odezwać mogła.

Ona i tak wie...

O mały włos, że mię przy pisaniu nie przydybał.

Dziwny człowiek! Zamiast do żony, to on z kolei wprost do mnie. Wbiegł z sakwojażem w rękę, stanął na środku pokoju, jakby miał zamiar zaraz wyjść zpowrotem i pyta:

— Co się stało?

A głos mu drżał, że mi się go żal zrobiło.

W kilku słowach, opowiedziałem. Zaczął dziękować — serdecznie dziękować, powtarzając „chwała Bogu! chwała Bogu!” Chciał jeszcze coś mówić, zwierzyć się z czegoś, wywnętrzyć, bąknął nawet słów parę o interesach — ale się zawahał, urwał i uściskawszy oburącz wyszedł. Nie zatrzymywałem go. Zgnębiony jest i przybity. Nigdy go dotąd takim nie widziałem. Gniecie coś w sobie, zasklepia, przyobleka w udany spokój, ale już nie panuje nad sobą, jak dawniej i z oczu mu strapienie patrzy.

Czy aby nie jest zmuszonym sprzedać Ostojni?

Byłby to dla niej cios wielki; pocziwie robi, tając to przed nią, jeśli tak jest w istocie, ale przede

mną nie powinien ukrywać prawdy. Możeby się jaka rada znalazła... Jemu się pewnie upokorzeniem wydawać musi szukanie pomocy u mnie, a może obawia się odmowy... Bóg świadkiem przez wzgląd na nią uczyniłbym wszystko...

Co sobie taka Willdorfowa o mnie pomyśli? Niema co mówić! ładnie się wywiązałem z dobroczynnego dygnitarstwa.

Pojąc nawet nie mogę skąd się we mnie tyle siły znalazło. Wziąłem ją jak piórko na ręce i wyniosłem omdlałą z kościoła, przeprowadzony ciekawem spojrzeniem obecnych. Biedna Stefa! tylko dzika boleść może tak z nóg zwalić!

Ona mię nawet widzieć nie mogła, bo gdy ją dojrzałem, jak z podniesioną głową, z wyzywającym spojrzeniem, przeciskała się przez tłum modlący do stolika, przy którym siedziały kwestujące panie a ja z niemi, wstałem i naumyślnie wyszedłem do bocznej kaplicy, aby się z nią oko w oko nie spotkać, bo mię wstrętem przejmowała — ta nędza... co upadku swego już nawet wśród jarzących światel świątyni nie dostrzeża.

Tak ją osądziłem, w pierwszym wrażeniu niesmaku i ostatecznie osądziłem niesprawiedliwie, bo po chwili i uśmiech i szyderstwo i bezwzględność znikły z jej oczu. Przystanąła, poczęła wzrokiem wodzić naokół... Pochyliła głowę, westchnęła kilkakrotnie głęboko, bo, choć zdaleka, zauważyłem, jak jej pierś falowała, i znowu postąpiła kilka kroków. Ktoś położył datek na tacy; machinalnie sięgnęła do kieszonki, wydobyla torebkę...

Patrzyłem uważnie w jej twarz.

Ból, żal, skrucha, błagalna prośba, niepokój, wahanie, błysk nadziei, ufność w miłosierdzie, wstyd, zwątpienie, rezygnacja, tęsknica, rozpacz i znowu przebliski nadziei, cały chaos wstrząsających uczuć

rownocześnie, wszystko co serce mieściło, zbiegło na policzki przejrzyste, blade, bielsze od pokrowców, rozciągniętych na mensach ołtarzy.

...Wypróżniła w dłoń całą zawartość torebki, zawahała się jeszcze na jedno mgnienie, a potem szybko, nie patrząc, wyciągnęła rękę i pieniądz posypał się na jałmużniczą tacę...

A potem... ozwał się jęk, krótki, urwany poród boleści, ale tak straszny, że pełno go było w całej świątyni od posadzki do sklepień.

I padła zemdlona.

Zrobił się tumult; „och“ „ach“ rozległo się po kościele. Zafalowało w tłumie, modlący porwali się z kolan, kilka osób najbliższej stojących podbiegło do omdlałej, inni zaczęli się wspinać na palcach, aby dojrzeć, co się stało.

Uprzedziłem wszystkich.

Bez zastanowienia rzuciłem się ku niej, rozechnąłem ciżbę i nie zwracając na nikogo uwagi, wziąłem ją w pół i poniosłem ku wyjściu. Zdumienie obecnych musiało być ogromne, bo słyszałem za sobą gwar głosów, szepty szydercze. Nie zważałem na to. Szwajcar kościelny, stojący w kruchcie kościoła pośpieszył mi z pomocą. Poleciłem zawołać dorożkę.

Zebrana przed kościołem zbита gromada ciekawych nie szczędziła złośliwych komentarzy o wypadku, który im się dziwnym wydawać musiał. Dopiero się roznieśie po mieście! gotowi mię jeszcze w „Kurjerze“ opisać... Niech tam!... Bałem się tylko, aby Stefa nie dosłyszała przypadkiem, którego z tych zdań zjadliwych, bo kilkakrotnie otwarła szeroko oczy, potoczyła błędnym wzrokiem dokoła, przychodziła do siebie. Szczęściem nadjechała dorożka.

Wskazałem woźnicy adres, usadowiłem ją z pomocą kościelnego w ekwipażu, a sam przysiadłem na przodzie i począłem rozcierać zlodowaciałe ręce...

Ruch i świeże powietrze orzeźwiły ją nieco.

Wstrząsnęła się cała, podniosła zmęczone powieki i wyszeptwała cicho:

— Gdzie ja jestem? co się stało?

A później z radosnym okrzykiem „to pan! to pan!” rzuciła się do moich rąk, z taką jakąś natarczywością, że nim zdążyłem je cofnąć, już drżącymi wargami przyłgnęła.

Był to dla mnie moment przykry nad wyraz.

Pamiętam... Staaliśmy przed domem; popatrzyła na mnie błagalnie, wyciągnęła ręce przed siebie, jakby jakieś zbliżające się widmo odpędzić chciała, jakby mówiła „nie tutaj! nie tutaj!” a potem jęknęła głucho:

— Józik! — i zrezygnowana wysiadła z pojazdu...

Zapłaciwszy dorożkarza miałem początkowo zamiar oddalić się zaraz, pożegnałem się już bodaj, wypowiedziawszy kilka pocieszających frazesów, ale gdy spojrzałem w jej twarz, po krótkim wahaniu, postanowiłem zajść do jej mieszkania, takie serdeczne życzenie, taką niemą prośbę, której wyjawić nie śmiała — wyczytałem. Gdy zapytałem: „czy pozwolisz pannu Stefo odprowadzić się na górę?” myślałem, że mi do nóg padnie. Kurczowo chwyciła się moich ramion i zaniosła się płaczem...

...Siostry nie było — Józik spał.

Pozamykała wszystkie drzwi na klucz, a potem do kolan moich przypadła łkając:

— Jakaż ja biedna! ja panu wszystko powiezieć muszę!... — Posadziłem ją prawie gwałtem na kanapie, zacząłem łagodnie perswadować, krzepić, pocieszać. Uspokoiła się wreszcie... Rozpoczęła w urywanych słowach opowiadać historję swej doli, zwykłej, powszedniej, a strasznej właśnie przez tę prostotę rządzeń losowych. Słuchałem nie przerywając, bo widziałem, że jej to ulgę przynosi, ale serce się krajało. Czułem, czuję dotąd wyrzut sumienia, że zaraz po tym liście nie zaszedłem do niej. Mogłem

przecie użyć jej, wyrwać z tego błota... mogłem. Biedactwo! z jaką to naiwną szczerością opowiadało każdy bolesny szczegół! nie skarżyła się, nie wyrzekała, raz tylko głos jej się załamał, gdy wspomniała o spotkaniu z siostrą. Zerwała się, a w oczach miała taki rozpaczliwy błysk niepowściągniętego bólu, że myślałem, iż jej źrenice z orbit wyskoczą... Ale to trwało chwilę, a później znowu martwy spokój siadł na bladej jak chusta twarzy.

— Ach! panie! panie! — mówiła — ile to razy przychodziły mi złe myśli... Chciałam skończyć — bo przecież ja wiem, że źle zrobiłam... ale ten dzieciak — mój biedny Józik! coby się z nim stało?

Łzy przez nią mówiły — bo też i łzawą była cała ta opowieść biednego dziewczęcia. Siedziałem, jak na rozżarzonych węglach, w przygnębieniu moralnem, bo litość wydała mi się spóźnioną... współczucie niewczesnem, bezowocnem. Przebiegłem myślą te chwile spędzone na piętorku...

Minęły bezpowrotnie! na zawsze.

A Stefa opowiadała dalej:

— ...Dziś od rana miałam przecucie, że mię spotka... radość... wielka radość! — Zarumieniła się przy tych słowach.

— ...Tak dawno nie byłam w kościele... tyle ludzi szło... wielki tydzień, chciałam się pomodlić... Przecież modlić się wolno każdemu... Pana nie widziałam wcale.

Westchnęła głęboko i zamyśliła się. Widać ciężko jej było wypowiedzieć, oskarżyć samą siebie, bo to co rzekła później, było już oskarżeniem, wyznaniem bolesnem, które tylko bezdenne żal z serca wyrwać i przez krtani przepchnąć może.

Okrucieństwem było doprawdy słuchać tego, a jednak słuchałem; coś trzymało mię na uwieży, przykuwało... Prosta litość nakazywała przy pierwszych wyrazach tej strasznej spowiedzi zamknąć jej

usta, zmusić do zaprzestania, ale samolubna ciekawość wzięła górę...

Słuchałem.

Obnażała przede mną, całą zboląłą duszę aż do skaz...

— ...Chciałam się modlić, a coś mi nie dało — szeptała zakrywszy twarz rękoma. — Ludzie tak dziwnie patrzyli na mnie, myślałam, że ubrana... ale nie. Przecie przyzwoicie byłam ubrana. Co oni we mnie widzieli takiego proszę pana?... A może to ja nie umiałam już patrzeć w takim miejscu... Tyle czasu nie byłam w kościele i tak mi się tylko wydało?...

Niepojęta groza tkwiła w tym szepcie, w tem pytaniu.

A rzuciła mi w czasie rozmowy takich pytań kilka...

— ...Kłuty mię te spojrzenia... Zrazu było mi przykro — bo przecie nie na widowisko tu przyszedłam... nie na oględziny... A potem — to już sama nie wiem... chyba to był gniew... tak mię coś opętało, że chciałam się śmiać... chciałam pokazać tym ludziom, co mi się modlić nie dali, że ich się nie boję, że mam dość siły spojrzeć im w twarz! Może się i śmiałam nawet... ale modlić się nie mogłam. To nie było dobrze... prawda panie?... A dlaczego mi nie dali się modlić, dlaczego? dlaczego zagrozdzi mi drogę do Boga? za co? czyż ja chciałam być tem czem jestem?

Cóż jej miałem odpowiedzieć? Nie była to już dla mnie odosobniona skarga, ale wyrzut całych tysięcy kobiet, które mają prawo rzucić społeczeństwu, wzywając sprawiedliwości i obrony.

— ...Zaczęłam — i patrząc mi w oczy mówiła po małej przerwie, dysząc ciężko — i naumyślnie poszłam w sam środek kościoła, gdzie ludzi najwięcej... Stałam koło tego stolika... widziałam, jak inni składali datki na tacę i zrobiło mi się wtedy dziw-

nie słabo. Myślałam, że na nogach nie ustoję... I ja chciałam...

— Czy pan mnie widział?

Skinąłem głową.

— ...Chciałam i ja... Miałam tylko trochę drobnych przy sobie, bo po drodze zadatkowałam ubrancko dla Józka... wysypałam wszystko z torebki i dałam... Później już nie wiem — bo mię nagle ścisnęło, w głowie zaczęło szumieć, zdawało mi się, że się wszyscy ze mnie śmieją, szydzą... że krzyczą: „precz! precz! od tacy!“ wydało mi się, że takich pieniędzy nie godzi się... nie wolno oliarować, że je nawet miłosierdzie odrzuci... I tak mi wstyd było... tak wstyd! Myślałam, że umrę, że mię gorycz zaleje! Żeby nie pan... A może naprawdę nie godziło się?... Może tak jak ja nie powinna zbrukanego grosza...

Słów jej brakło, o mało powtórnie nie omdlała.

Wstrząsająca tragedia... odrodzenia!

Z litością położyłem rękę na jej głowie i najserdeczniejszym, na jaki się zdobyć mogłem, tonem mówiłem: „Miałaś! miałaś prawo... Uspokójże się moje dziecko. Ten co w ludzkich sercach czyta i twoje przejrzał. Nie trzeba wątpić w miłosierdzie... nie trzeba“.

Szczera litość podsuwała mi wyrazy i zdania. Mówiłem jak kaznodzieja, z wiarą zupełną, że tak, a nie inaczej jest w istocie... Wierzyłem, że nie może być istnień skazanych z góry na pastwę rozpaczcy, bytowań bez ożywczego promyka nadziei, bo takie wywłaszczanie byłoby niesprawiedliwością... przedwieczną! Mówiłem jej to, czego sobie samemu nigdy dotąd powiedzieć nie śmiałem — wpajałem z głębokim przekonaniem wiarę w czujną bacność Opatrzności, nie dlatego tylko aby ją uspokoić, z przygnębienia podnieść, nie dlatego...

Słuchało biedne stworzenie! dygocząc jak w febrze... Wkońcu popłakaliśmy się oboje. Aż wstyd! jaki się ze mnie beksa zrobił.

Chciałem odejść — widząc, że się uspokoiła, uciekła nieco, bo zdenerwowałem się i czułem potrzebę samotności, aby przebyte wrażenia przetrwać i obmyślić jaki środek podźwignięcia biedoty, ale tak żałośnie błagała „jeszcze chwilę... jeszcze chwilę“, że jej odmówić nie mogłem. Zostałem.

...Już przeszedł ten pierwszy huragan wstrząsnień, już nam obojgu lepiej było, spokojniej, gdy w sąsiednim pokoju usłyszeliśmy najpierw kroki a potem wesoly śmiech... To jej siostra wróciła. Stefie o mało krew nie trysnęła z policzków, zerwała się z kanapy, załamała ręce...

— Widzi pan! widzi pan! — poczęła gorączkowo szeptać, nie podnosząc opuszczonych ku ziemi oczu. — Gotowa tu przyjść! Niech pan już idzie! proszę! ja nie chcę, żeby ją pan widział... nie chcę... Mój Boże! mój Boże! jaka ja nieszczęśliwa! nawet na chwilę zapomnieć nie można...

A po chwili:

— Albo nie! zostań pan. Ja jej tu nie puszczał! O pani! wyrwij mię pan z tego domu! wyrwij, bo mi serce pęknie. Służyć do śmierci panu będę...

O! i wyrwę cię z pewnością! Powiniennem był dawno to uczynić. Będę miał przynajmniej jakiś cel w życiu. Założę jej — dajmy na to, sklepik z wiktuałami — przecież to chyba tego świata... cnotliwych nie zgorszy!

Jutro się zaraz tem zajmę. Myślałem, że się już na nic nie przydam... a tymczasem... Żeby jeszcze Zenon chciał... Jemu może się zdaje, że to byłoby ofiarą z mej strony, a prawdę mówiąc, to on zrobiłby mi dobrodziejstwo, przyjmując pożyczkę... Takbym chciał! takbym chciał... Co mi po tych pieniądzach... Choćby nawet procentu nie płacił — wszystko jedno. Na takie życie, jak moje „złamanego obojczyka“ starczy... a dla nich... dla niej... Ona tak kocha tę Ostojnię — a bodaj, że nawet nie przypuszcza, że się z nią rozstać może. Onaby nie prze-

niosła tego... Pójdę do Zenona — zrzucę pychę z serca i sam mu zaproponuję. Musi przyjąć — żeby miał na kolanach błagać — musi przyjąć! Żeby tylko nie było za późno...

Stefa w sklepiku! Zenon się zgodził! jakim szczęśliwy, jakim szczęśliwy!

Tak... Oni wszyscy mieli słuszność. Nawet Marynia z tą płaską praktycznością, ze swem stereotypem „trzeba coś robić...“ Trzeba.

Nie można obracać życiem wyłącznie około osi własnego „ja“ — nie wolno odkroić swego jestestwa od innych... Byle cierał ruch tej osi zatrzyma i to „ja“ osadzone w jednym punkcie, kołysane bólem zastój, chwiać się będzie w miejscu, paść nie mogąc i równowagi nie znajdując, bo straciwszy siłę ciężenia ku innym, kūrce się i pręży w sobie tylko — pokąd zagubionej linii spójni nie odzyszcze. Będzie się to szamotać w ciemni i pustce, bo, gdy w jego piedestale nadzieje pogasły, gdy samo promieniować przestało, zabielmionym wzrokiem żadnych przeblysków nie obejmie — wyziębłe — lodowatą pierśią wszelkie ciepło odbija i cierpi — wirując bez przerwy w tej strasznej próżni, w której tylko poroniona miłość własna łomocze. Żyje, ale tylko wydziałinami cierpień, których twórcą jest i zjadaczem zarazem, oddycha skargą bez echa, rozbrzmiewa rozpaczą bez wtóru litości, bo już i echa nie chwyta, a współczucie do zagnitych blizn miłości własnej przylega, jątrząc je tylko nie łagodząc. Nie będzie to już życie, samo, ale przymus, który im prędzej się skończy, tem lepiej.

Ja to wszystko rozumiem teraz — uznaję — i biłbym się w piersi i wołał: „moja wina! moja wina!“ gdybym się nie bał spłoszyć tej wielkiej rado-

ści, co w nich po tyłu, tyłu ciężkich chwilach niby przedświt dni lepszych, do serca zapukała, gdybym się nie trwożył, że nawet uczucie skruchy może mi ten skrawek jasności, co się wreszcie w sposepniałą duszę przedarł, zaćmić... A ja się tego boję, bo pojmuję, oceniam, że uzyskałem wiele... wiele — wytechnienie.

Już wtenczas... u Stefy... poczęła kielkować w skołataną głowę otucha, świtać zaranie błogiego spokoju, a słowa, któremi jej boleść koilem i mój łagodziły smutek... A kiedy przyszli Zenonowie oboje... — nawet to śliczne bobo, Janka, przywiedli ze sobą! — kiedy zaczęli dziękować, to uczułem, że wyzwolenie nadęszło, że zbawienny przewrót nastąpił, że można, że trzeba żyć nie dla siebie tylko...

Zakłopotalem się początkowo ich przyjęciem. Domyśliłem, że Zenon nie dotrzymał obietnicy i wtajemniczył żonę w bieg interesów, a przecież prosiłem go szczerze, żeby jej o tem nie wspominał. Pierwsze wejrzenie na nią przekonało mię, że się nie myliłem. Zanim cokolwiek oprzytomnieć zdołałem, podeszła ku mnie i z niewysłowionym wdziękiem, z tą anielską tkliwością w głosie podając rękę, przemówiła:

— Wiem wszystko. Niech ci... niech panu Bóg stokrotnie zapłaci!...

A ja machnąłem tylko ręką, jakbym znak dawał, żeby zaprzestała podziękować, bo mię taka rzewność zdjęła, że tylko... ryknąć... Dość mi było! dość!...

A potem zacząłem machinalnie podsuwać krzesła powtarzając „bagatela! niema o czem mówić...” ale w głębi czułem, że tak nie jest, że ja istotnie wart jestem podziękować, że mi się należy nagroda — nie za te kilka tysięcy pożyczonych, lecz za walkę z bolesną przeszłością, za niepamięć zawiedzionych nadziei, za miłość, wreszcie wielką, co jedna do takiego zaparcia wiedzie...

I miałem tę nagrodę w świadomości, że ona to pojmuje, ocenia, że serce jej odczuło przebieg tych zapasów, podziwiała może. Miałem nagrodę w jej wejrzeniu, w uścisku ręki, w dźwiękach głosu, co mi jak rajska melodia w piersi sływały, a obecność Zenona potęgowała ją jeszcze, łakomszą, słodsza czyniła. Czułem się wyższym odeń, potężniejszym... — Ale to była już ostatnia nić z tej szaty Nessusa, co mi tyle czasu skórę raniła, krew wysysała, mózg zawicią żarła — ostatnia... a i ta rozpadła się zaraz jak zmurszałe włókno, które samo od zdrowego ciała odlata.

I nie widziałem już w nim nic — tylko człowieka, który mi wdzięczność winien i wdzięczność tę spłacił.

...Zabawili ze dwie godziny. Tak nam jakoś dobrze było, że niewiadomo kiedy one zbiegły. Rozmawialiśmy prawie ciągle o Ostojni. Wicia przypominała różne szczegóły; tę altankę obrosłą bluszczem, swój pokój paniński, ławkę darniową pod lipami — pytając już bez obawy „pamięta pan?” a ja odpowiadałem spokojnie „pamiętam... pamiętam” — ale bez troski, bez żalu, bo tych już w pamięci nie było. Zenon usiłował kilkakrotnie zwrócić rozmowę na temat interesu, bo mu może te nasze przypomnienia przykre mi były, chciał mi sumę hypotekować, czy coś podobnego — ale rozumie się przyjść mu do słowa nie dałem. Zmusili mię wkońcu do przyjęcia kwitu z podpisem obojga. W pierwszej chwili miałem zamiar w ich oczach zniszczyć rewers, ale po namyśle — dałem pokój. Wyglądałoby to na darowiznę i słusznie mogliby się obrazić. Trzeba się będzie z tem inaczej urządzić... Jeszcze nie wiem jak, bo i dziatwy Maryni nie chciałbym skrzywdzić... a Stefa także...

Co to się naraz serdecznych obowiązków znalazło! szkoda, że nie wcześniej trochę!... ale to już

niczyja, tylko moja jedynie wina. Nie umiałem szukać! nie umiałem...

...Przy pożegnaniu, Zenon wszczął znowu kwestję procentów.

— Będę obiadami u was odjadął zaległości, a ostrzegam, że jestem bardzo wymagającym wierzycielem... i żona będzie miała nielada kłopot z moją osobą... — zażartowałem.

— W takim razie gotowam męża do nieregularnego płacenia zmusić — aby miłego stołownika najczęściej mieć u siebie — wtrąciła Wicia.

— A będzie bigosik?

— Jaki bigosik? — spytała.

— Taki — z jabłkami, jak wtenczas... Nie pamięta pani? kiedy to raz z fabryki zmarznięty do Ostojni wpadłem... Niech pani sobie przypomni, sama go przecież pani z obiadowej pieczeni przyprawiła bo świeżego mięsa nie było...

Roześmieliśmy się oboje i Zenon także, a już chciał się chmurzyć, jak zwykle, gdy mu coś nie na rękę...

...Ot! mogę sobie powiedzieć, że miałem piękny dzień w życiu!

Stefa utargowała dzisiaj całe sto złotych! Muszę za nią do czasu książki rachunkowe prowadzić, bo sobie jeszcze biedactwo nie może z tem dać rady. Doprawdy nigdy tak zajęty nie byłem, jak teraz... nawet do tych kartek niema czasu zajrzeć. Cały dzień schodzi na bieganie. Do sklepiku tyle jeszcze różnych rzeczy potrzeba — że sam o tem nie miałem dokładnego pojęcia. Ale mi się nie przykrzy jakoś... tylko nogi nie służą, a wczoraj to i twarz darła nie-miłosiernie. Musiałem się przeziębic wracając od Zenonów...

Kwękam, a wysiedzieć w domu nie mogę... Ciąży mi samotność. Z samego rana, wymykam się, idę do sklepiku — pomóc Stefie, potem do Zenonów i tak dzień schodzi jakoś — szaro, ale spokojnie. Ze-

by tylko zdrowie dopisywało — ale coś się widocznie w organizmie psuje. Uciekła rozterka wewnątrz, to znowu nazewnątrz dolega. Zakłosa się skorupa cielesna, czy co? Dopóki w niej wrzało, kipiło, póki w tej bolącej pulsowała boleść i żal, nie czułem, że się zużywam — wrzód pękł, wygniotłem wyśięk i zostały szczyrby...

Najgorzej w nocy. Niby spokojny się kładę, a sny mię trapią dziwaczne. Tyle szczęścia, co we dnie... co przy nich...

W księżycowych blaskach budzi się niepokój, chodzi po mózgu jak lunatyk, z brzaskiem dnia znika — i znowu mi dobrze. Tak pasuję się już od dwóch tygodni, ale widzę, że się bez lekarza nie obejdzie...

A to mię złożyło. W łóżku pisać muszę, bo ten pocziwina wstawać zakazał i jestem posłuszny, jak dziecko. Co mi to zresztą szkodzi? Zenonowie zachodzą codzień — Stefa także wieczorem przesieduje i mam dwie siostry miłosierdzia na zmianę... Obie dobre... kochane... kochające. Nie robiłem przed Wicią tajemnicy, opowiedziałem o Stefie... Zenon to już dawno wiedział... Polubili ją bardzo... kupują w sklepiku — zyskała nową klientelę z mojej poręki...

Wczoraj Zenonowa przyniosła dla Józka sukienkę. Malec jeszcze niechrzczony — tylko z wody, mamy go oboje do chrztu trzymać, czekają jedynie na moje polepszenie...

Stoczyłem dziś zaciętą dysputę z doktorem. Tym powagom medycznym wydaje się, że zdrowie ma stałą siedzibę tylko w żołądku... Opukuje mię codzień, osłuchuje, już prawie każdą niedzielką wymacał, a ciągle powtarza wkółko jedno:

— Odżywiaj się pan tylko dobrze! odżywiaj. To grunt...

Wkońcu mię to zirytowało, bo mam przecie wilczy apetyt. Nagadałem mu, co mi ślina na język przyniosła. „Odżywiaj się! odżywiaj!” cóż on myśli, że będę w łóżku leżał, póki się w bryłę tłuszczu nie zamienię... Sądziłem, że się obrazi, nawet radbym się go pozbyć, gdyż zaczyna mię już ta troskliwość nużyć, a on mój wybuch w żart obrócił.

— Dobrze! dobrze! że się już gniewamy! znać zdróweczko powraca...

Śmiał się i zacierał ręce. Jutro znowu będzie toż samo. Żeby mi tak o Zenonów nie chodziło, dalebóg rzuciłbym całą kurację do diabła! Co ma być — niech będzie...

Ale ona tak prosi, tak prosi, żeby się nie narażać, żeby się nie podnosić z pościeli, póki zupełnie do siebie nie przyjdę. I słuchać trzeba...

„Mamusia” pozwoliła wstać. Nazwałem kiedyś Wicię „mamusią”, bo mię pielęgnowała, jak małego Janka, i teraz już inaczej do niej nie mówię...

...Niby to postawili mię na nogi, zdrutowali ciągną pieczołowitością. Istotnie newralgja ustała, twarz nie boli, śpię jak suseł, a jadłbym za trzech! Tylko że to wszystko jak za płot rzucał. Sił brak.

Stawiam się, jak mogę, bo mię drażni własne niedołęstwo — ale na nic. Rano wyszedłem po raz pierwszy, chciałem przejść piechotą do Zenonostwa, lecz w połowie drogi ustalem. Musiałem sięść w dorozkę, takie na mnie poty uderzyły. A i w głowie mi się mąci — nie mogę ani z okien, ani z balkonu patrzeć na ulicę, bo zaraz zawrotu dostaję. Tak mię coś wtedy ciągnie, tak popycha, kusi poprostu, żeby skoczyć wdół, że aż strach zbiera... Kazałem i we dnie story zapuszczać...

Nie wspominam im o tem, bo i poco? jeśli to osłabienie, to przejdzie, a jeśli już tak ma zostać do końca, to trudno! Może jaka sprężyna w organizmie pękła i przestała funkcjonować? Spytałbym się tego pocziwca doktora — ale się gotów wypłacić i znów mię do łóżka zapakują, a to się na nic nie zda. Przecie wyglądam, jak ćwik, a mimo to sił brak...

Ja czuję, że inna musi być przyczyna tych „zawrotów”, ale nie chcę jej szukać, nie chcę! Dość już miałem jednego ćwieka, ten drugi mógłby zagłębić się silniej i zostać... na zawsze. Nie chcę! Szkoda i tych resztek życia — jakie ono jest, to jest — ale jest.

Zresztą „mamusia” pogniewałaby się. Nie trzeba nawet myśleć o tem.

Spokój! spokój!... tylko spokój. Czyż nim można wypełnić życie? Chleb z trocin nie bodzie, ale i nie nasyci...

Miałoby być prawdą, że życie jest kresem, dokąd zdążają, oraz środkiem, z którego wychodzą namiętności? że spostrzegamy w nich niekiedy zwolnienia — nigdy zaś przerwy?

Więc i ten mój spokój — co mi się odkwittem lepszego istnienia być zdawał — byłoby tylko le-targicznym uspieniem burzy, co przez życie prze-falowała? Więc ona nie zmyła śladów za sobą? więc to jedynie chwilowe zwolnienie?

Opędzałem się wspomnieniom, uciekałem przed niemi, jak przed dzikim zwierzem, głuzyłem naj-cichsze tętna, z własną wolą tocząc zaciętą walkę, a jednak wróciły, wróciły... stokroć nielitościwsze jeszcze, sroższe, bo brzemiennie zgryzotą.

Już od powrotu z Ostojni miejsca sobie znaleźć

nie mogę. A tak się cieszyłem z tej wycieczki — pragnąłem, żeby najrychlej przyszła do skutku!

Fizycznie, to zyskałem na zdrowiu — ale tam w głębi...

Teraz drepczę znowu we wspomnieniach, rozbudziły się pragnienia, roznieciły żądze i koła, gnębia, szarpia, a odstraszyć ich nie można ani współczuciem, ani przebaczeniem...

Bo jakże przebaczyć samemu sobie!

Dawniej — niby rozgrymaszony dzieciak, co to tupiąc nogami napiera się cacka — zapytywałem siebie samego: „dlaczego?” „poco?” „skąd?” Chciałem wszystko wiedzieć, wszystkiego dociec — analizowałem kroki własne i cudze — a teraz pytam znowu: dlaczego tak robiłem? Naco mi się ta cała świadomość przyczyn i skutków zdała? czy była potrzebna? czy wreszcie istotną świadomością była?...

I odpowiedzi znaleźć nie mogę — a w duszy słyszę tylko krzyk straszny: „nie wiem! nie wiem! nie wiem!”

Tak mi jakoś boleśnie... tęskno... pusto...

Zrana wziąłem się do rachunków Stefy, myśląc, że zajęcie, jak wizykatorja, odciągnie tę okropną zmore, co mi się pod ciemię wgryzła. Gdzie tam! zamciło mi się zaraz w oczach, cyry zaczęły niknąć, rozpląnęły się, przeobraziły w jakieś widma czarne. Dwu do dwóch nie byłem zdolny dodać.

Chciałem się rozerwać, poszedłem do Zenonostwa, ale i tam wysiedzieć nie mogłem. Jej widok — co mi zawsze taką ulgę przynosił — dziś rozgorczył tylko jeszcze silniej. Nawet pieszcoty Janka nie pomogły. Patrzyłem na tę matkę i dziecko inaczej, niż zwykle. Coś szeptało mi z wyrzutem: „ta kobieta tobie była przeznaczona — w jej dziecięciu twoja krew płynąć mogła... A ty — zmarnowałeś wszystko! wszystko! i nic ci już danem nie będzie!...”

To „nic” dźwięczy mi w mózgu do tej pory, a takie ostre, siekące, zimne, jak mroźny wichur, aż myśl ścina, pojęcie odrętwia, aż nerwy trzaskają...

...Czyż ja rzeczywiście zmarnowałem wszystko? czy ja tylko, wyłącznie ja winny jestem?

A jeżeli tak! jeżeli z życia, z tych okrawków dni, jakie mi jeszcze pozostały, nic nie wycisnę więcej, prócz mętów, zgryzoty, zwątpienia... jeśli tylko „nic” ma być moim udziałem... jeśli na ostatniej karcie tej „naturalnej historii” bólu wyczytam także „nic!” — czyż warto domęczać się do końca?!...

...Tak mi duszno! straszno, boję się tych myśli czarnych, co mi się pod pióro cisną...

...Boże mój! gdybym miał przed kim uskarżyć się, wyplakać! gdybym to wszystko, co w tej biednej głowie jęczy — mógł wyrzucić hen daleko za siebie! Gdybym mógł odnaleźć jaką dźwignię dla skołatanej duszy! Ale gdzie? do kogo pójdę? gdzie znajdę?... U niej?... czy tam?...

EPILOG.

Dzień był skwarny, słoneczny, zwyczajnie, jak w sierpniu.

Przed dworzec kolejowy w N. zatoczyła się wyciągniętym kłusem czworokonna karetka. Gruba warstwa pyłu, okrywająca pojazd, spienione konie — kazały się domyślać, że podróżni przybywali zdaleka.

Z karety wysiadły z pośpiechem dwie kobiety. Starsza donośnym głosem zaczęła przywoływać posługacza, a młodsza, widocznie córka, z pomocą furmana wydobywała paczki, torebki, pakunki i zawiątki.

— Tylko też czego nie zapomnijcie — upomniała starsza dama, wchodząc na kamienne schody, wiodące do bufetu. — Posłańca zaraz przyszlę...

Po chwili zjawił się, przebudzony z poobiedniej drzemki, posługacz. Odebrał bagaże, najskrupulatniej co do sztuki odliczone, i pod konwojem młodszej z przybyłych pań odniósł do poczekalni...

— Niema się co śpieszyć — mówił, ustawiając pakunki. — Do pociągu jeszcze dobre dwie godziny, dopiero towarowy odszedł...

— Nie może być! słyszy mama, co on mówi? dwie godziny będziemy jeszcze czekały!

— A nie mówiłam, że tak będzie. Ale tobie zawsze pilno... — odparła mama, ocierając rzęsisty pot z czoła.

— Przepraszam, ale mama sama nagliła, zawsze tak bywa, jak gdzie wyjeżdżamy...

Zanosilo się na sprzeczkę — wejście dzierzawczyńi bufetu rozpedziło nadciągającą burzę.

— Czem mogę paniom dobrodziejkom służyć? Może kawki... herbaty? — pytała bufetowa, kłaniając się uniżenie. — Taki upał, możeby mleka z lodu...

— Dobrze, prosimy. Istotnie straszne gorąco. Niech będzie mleko — dysponowała mama.

— W tej chwileczce...

Zadzwoiła na służącą i niebawem przyniesiono dwa talerze zsiadłego mleka. Bufetowa czuła się w obowiązku bawić przybyłe, starając się zawiązać stosowną pogawędkę...

— Szanowne panie pewnie do Warszawy?

— Tak jest. Jedziemy robić wyprawę... — z dumą wygłosiła mama.

— Wyprawę? Powinszować, powinszować. Pani dobrodziejka z tych stron?

— Mam majątek ziemski w okolicy...

Bufetowa skłoniła się nisko, pytając w dalszym ciągu:

— Jeśli wolno spytać, zapewne córeczka idzie zamaż?

Mama skinęła głową, a córeczka (panna doletnia, rumiana, przysadzista) uważała za stosowne spiec raczka.

— Powinszować! powinszować! — powtarzała, dygając, bufetowa. — Może jeszcze mleczka? Do pociągu daleko...

— Niepotrzebnie śpieszyliśmy się tak. Ale — pani rozumie, że córce pilno było. Taki ważny akt w życiu...

— Nic dziwnego! nic dziwnego... — wtrąciła tolerancyjnie bufetowa.

Jeszcze dwa talerze mleka zjawiły się na stole.

— A słyszały panie o tym strasznym wypadku, jaki w tych dniach miał miejsce w Warszawie? — pytała gadatliwa jejmóść.

— Cóż takiego? — zagadnęły obojętnie mama z córką, chłodząc się podanym nabiałem.

— Jakiś młody człowiek wyskoczył oknem i zabił się. W dzisiejszych gazetach piszą o tem.

Przy tych słowach wydobyła z kieszeni zwitek dzienników.

— Zabił się? — powtórzyły słuchaczki, nie przerywając jedzenia.

— Podobno z tutejszych stron pochodził. Ale oto opis — rozpowiadała bufetowa, podsuwając gazetę.

— Z tutejszych stron? To może być coś ciekawego. Przeczytajno na głos, kochanko, — rzekła starsza z pań, zwracając się do młodszej, — bo ja okulary mam w torebce...

Panna pośpiesznie opróżniła talerz i, odłożywszy tyżkę, wzięła z rąk bufetowej podawany dziennik.

— Ot tutaj, proszę pani — ukazywała ostatnia.

— Czytajże, kochanko — nalegała mama. — Prędzej czas przejdzie...

Panna czytała.

„Szczegóły dramatu. Dziś jesteśmy w możności podzielić się z szanownymi czytelnikami szczegółami bolesnego dramatu, który się przed trzema dniami rozegrał w domu pod Nr. 000 przy ulicy Z.

Nieszczęśliwy pochodził ze staroszlacheckiej ziemiańskiej rodziny zskiego — nazywał się Antoni Czar...”

— Mamo! to Antoś Czarski! — wykrzyknęła panna.

— Antoś Czarski! — powtórzyła jak echo mama.

— To panie go znały? — wtrąciła zaciekawiona bufetowa.

— Troszkę... — uprzedzając córkę, wygłosiła starsza z pań. — Wieczny odpoczynek daj mu, Pani! Znałyśmy... Rodzice jego i on kiedyś mieszkali w sąsiedztwie. Zawsze mu coś... brakowało...

Mówiąc to, puknęła palcem w czoło.

— Czytajże dalej, duszko... bom ciekawa.

„...nazywał się Antoni Czarski — czytała nieco drżącym głosem panna. — Początkowo obywatel ziemski, po stracie majątku pracował jako buchalter w domu bankierskim M. Werthausera. Zdolny i energiczny, przez zwierzchników wysoko ceniony, został niebawem wice-administratorem cukrowni. Na nowem stanowisku, uzupełniwszy fachową wiedzę ukończeniem kursów cukrowniczych zagranicą, uważany był za pożądaną siłę i ze wszech stron rokowano mu świetną na tem polu przyszłość...”

— W istocie! w istocie! — potwierdziła mama.

„...Jednakże los zrządził inaczej. Niebezpieczny upadek ze znacznej wysokości w fabryce spowodował, oprócz złamania obojczyka, wstrząśnienie mózgu, wskutek czego ś. p. A. Cz. zapadł na chorobę umysłową. Po długiej kuracji w szpitalu, dzięki troskliwej opiece lekarzy, władze umysłowe powróciły, choroba jednak ujemnie oddziaływała na organizm i do zupełnego zdrowia nigdy już nie wrócił. Jakiś czas zamieszkiwał na wsi u rodzonej siostry paniskiej.

następnie zas osiadł w Warszawie, utrzymując się z procentów od odziedziczonego spadku i z wyznaczonej mu przez b. zwierzchnika, p. M. Werthausera, pensji. Cichy, małomówny, żył prawie w samotności. W ostatnich czasach zapadał często na zdrowiu, a odwiedzający go znany lekarz X. zauważył objawy cierpienia, zwanych „agorafobją”, które istotnie stały się przyczyną smutnej katastrofy...”

Mama powątpiewająco poruszyła głowę, jakby chciała mówić:

— Albo to prawda! Wiemy coś o tem...

„...Nieszczęśliwy, po wyskoczeniu z okna pierwszego piętra, poraniony boleśnie, żył jeszcze w stanie zupełnej przytomności blisko dwie godziny i, rozdysponowawszy posiadane mienie, po przyjęciu Olejów Świętych, skonał na rękę p. Zenonowej ...ej”.

— Aha! — wyrwało się z ust czytającej.

„...Zawiadomiona jedyna siostra nieboszczyka zdążyła przybyć wraz z mężem na pogrzeb, który się odbył przy udziale nader licznej publiczności. Na trumnie złożono kilkanaście wieńców: „Od Kochającej siostry i szwagra”, „Od firmy Werthauserów — b. współpracownikowi”, „Od baronostwa de Willdorf” i wiele innych; przedewszystkiem zwracały uwagę — olbrzymi wieniec z róż białych i fiołków z napisem: „Szlachetnemu człowiekowi — Zenon i Wincetyna ...scy” i misterny wianuszek z bratków i niezapominajek z lakonicznym: „Od Stefy”. Po mieście krążą wersje o jakiejś romantycznej historii. Śmiertelne szczątki ś. p. A. Cz. spoczęły na cmentarzu Powązkowskim. Niechajże mu ziemia lekką będzie!”

Skończywszy czytanie, panna wymownie spojrzała na matkę i nie mniej wymowne odebrała wejście. Bułetowa chciała dorzucić jeszcze od siebie kilka komentarzy, ale ozwał się dzwonek sygnałowy i równocześnie zjawił się posłaniec z zawiadomieniem, iż kasa otwarta, więc pożegnawszy podróżne.

oddaliła się do obowiązkowych zajęć. Panie zostały same.

Czas pewien panowało milczenie. Przerwała je mama:

— Widzisz, duszko! Opatrzność Boska, że do tego nie przyszło. Mnie się odrazu ten marjaż nie podobał. Tylko nie chciałam tej biednej Maryni robić przykrości, więc...

Panna wzruszyła ramionami.

— Trzeba będzie dać na Mszę Świętą, że nas to nieszczęście ominęło.

— Dobrze już, dobrze, niechże mama da pokój tym wspomnieniom — odburknęła córka. — Mnie teraz akurat to w głowie.

— Ależ duszko! wypada, zawsze to znajomy. Moja droga, zapisz to w konotatce, bo gotowam zapomnieć.

— Będę pamiętać! — zapewniała zniecierpliwiona panna.

— Ależ zapisz, kochanko! Wyjdzie nam z głowy przy tylu zajęciach. Mszę Świętą... pisz-że! proszę cię! i co to jeszcze? ha! — dyktowała, przypominając sobie — moją pluszową mantylkę trzeba dać do odświeżenia.

Córka zapisywała zlecenia w wytwornym, wycięтым w kształt serca, oprawnym w różowy aksamit, notatniku.

Podróżniami temi były: pani Wykolska z córką Izą.

KONIEC.



258707